



- XIX -
SPEKTRUM



Almanach
Unii Polskich
Disarzy Lekarzy





-XIX-

SPEKTRUM

Almanach
Unii Polskich
Dysarzy Lekarzy

2024

Zespół Redakcyjny XIX Almanachu UPPL:

Majka Maria Żywicka-Luckner

Waldemar Hładki

Copyright by Unia Polskich Pisarzy Lekarzy, 2024

ISBN 978-83-967601-2-8

Druk: Wydawnictwo Diecezjalne i Drukarnia w Sandomierzu
Skład i opracowanie graficzne: Elżbieta Zawadzka
Korekta: Zofia Mikuła

Szanowni Państwo

Drodzy Czytelnicy, Członkinie i Członkowie
Unii Polskich Pisarzy Lekarzy

W 1978 roku ukazał się I Almanach SPEKTRUM Unii Polskich Pisarzy Lekarzy. W roku 2024 wydajemy już XIX Almanach, który swoją treścią udowodnia nieustającą literacką wędrówkę, w której od pięćdziesięciu siedmiu lat biorą udział pisarze lekarze. Przyszedł mi zaszczyt napisania kilku zdań na temat obecnego Almanachu. Książka zawiera utwory literackie trzydziestu sześciu poetów i prozaików, członków UPPL. Z radością zauważyłem wśród autorów także nowe osoby, które przystąpiły do naszego stowarzyszenia w ostatnim czasie. To bardzo cieszy, że tak szybko weszły aktywnie w nasze środowisko i mogły już wziąć udział w tworzeniu literackiej historii naszej Unii. Tematyka prezentowanych tekstów jest urozmaicona, dotyczy spraw osobistych, egzystencjalnych, filozoficznych. Porusza doświadczenia życiowe autorów, którymi zdecydowali podzielić się z Czytelnikami. Jest tu miejsce na fabułę opartą na osobistych przeżyciach i historiach stworzonych z potrzeb wyobraźni. Żywię nadzieję, iż lektura tego Almanachu sprawi jego Czytelnikom wiele przyjemności i estetyczno-literackich doznań.

Chcę bardzo podziękować wszystkim Autorkom i Autorom utworów za chęć udziału w akcie stworzenia tego Almanachu. Osobne podziękowania kieruję do niezastąpionej naszej unijnej koleżanki *Majki* Marii Żywickiej-Luckner i pozostałych osób, które przyczyniły się do stworzenia tego wydawnictwa.

Życzę miłej lektury

Prezes UPPL
Prof. Waldemar Hładki

Twórczość
literacka
członków UPPL

Jerzy Andrzejczak

Fotografują mnie gołębie

Poranne światło.
Stado gołębi
błyska srebrnym brzuchem.

A wy tam w górze,
zbiorowy dronie
poganiany szmatą na kiju,
namierzacie mnie,
jakkbym był ważnym obiektem.

Czy wasz nietrzeźwy operator
z przedmieścia
nie poczęstuje mnie
niby przypadkiem
czymś gorszym
niż znaną amunicją ptaków?

Poranne światło.
Niedziela.

Spopielenie

Węgiel
dobrawszy trochę tlenu
dla lekkości

nieznacznie przyćmił światło

wodór
dobrawszy nieco tlenu
dla ciężaru
opadł rosą na ziemię

i taki jest być może skład
wszystkiej duszy

pozostało kilka garści minerałów
które powinny zasilić glebę
ale wyłączono je z obiegu
zamknięto w czymś w rodzaju
puszki Pandory

oszczędzono też światu
zapachu lotnych substancji
zwojujących nawet z dala
czarne ptaki

i wypełniło się słowo
o prochu

Wódki

Wódki jeśli dobrze zmrożona
to bym się napił
bo znieczuła
język gardło i tak dalej
mogłaby być i mętna siwucha
i krystaliczna skandynawska
obie zresztą zimnego wychowu

Wódki jeśli dobrze zmrożona
to bym się napił
bo znieczuła nerw błędny
od jądra po ostatnią synapsę
mogłaby być i z ziemniaków
i ze zboża
byle obie oszroniałe jednak

Wódki byle nie cieplej
bo to już upadek
to bym się napił
i w ciemnej speluncie
z duszą na ramieniu
i dajmy na to w ambasadzie
z pewnym skrępowaniem

kiedy zapada spokój
i budzi się chłodny wiatr
a mój południk ukrywa mnie
w cieniu

Sierpień 2023 r.

Ostatnia akcja

No i po akcji. Jeszcze nie ma siódmej, ludzie dopiero wychodzą do pracy, a my już po robocie. I znowu pudło, pomyłka, poczucie klęski. Dalej się tak nie da, zwariować przyjdzie! Trzeba iść do lekarza i to od razu do psychiatry, nawet dzisiaj – napisze tylko raport i poszuka w Internecie jakiegoś gabinetu. Musi być prywatny, bez kontraktu z NFZ. Wszyscy koledzy tak robią. Nikt z szefostwa nie może wiedzieć o takiej wizycie. Inaczej żegnajcie nieźle zarobki i adrenalina, ona też jest potrzebna do życia, tyle że teraz jej za dużo. Wiadomo to, jaki program skanuje świadczenia i do kogo trafiają sprawozdania?

Tak rozmyślając Józef Ś., jedzie w kolumnie czarnych samochodów z zaciemnionymi szybami. Niby tajne, a wszyscy wiedzą, że albo mafia, albo służby. Zwłaszcza jeśli folia przyciemniająca odłazi trochę od szyb. Mafia jest lepiej doinwestowana.

Jasne, do zadań superspecjalnych przeznaczone są, wyglądające na bardzo stare, busy z oknami wylepionymi zdjęciami ludzi, którzy jadą do pracy o świcie i cieszą się z wynegocjowanej (dobre określenie!) stawki godzinowej. Szczytem zmyłki jest zaś auto, które zamiast szyb posiada ultracienkie zakrzywione kineskopy wyświetlające film z udziałem radosnych aktorów i statystów. Nie, nie jest to ulubiony *Świat się śmieje* towarzysza Stalina. Jakiś przypadkowy medioznawca twierdził, że *Brygada szlifiarza Karhana*, bo późniejsze Nowa Fala i Szkoła Polska radosnych dzieł raczej nie tworzyły. Ostatnią w ogóle wesołą falą była Wesoła Lwowska Fala, tak mówił ten medioznawca, ale potem jakoś zamilkł. A za tegoż Stalina jeździły po ulicach samochody z napisem „chleb” i „mięso”, a w rzeczywistości były to więźniarki. No, do bry kamufaż to podstawa.

Miasto widziane zza takich mocno przyciemnionych szyb wygląda szaro i przynębiająco niezależnie od pogody. A dokładniej – nawet najbardziej słoneczny letni dzień sprawia wrażenie szarego, ołowianego. W głowie czai się przecucie grudniowego gradobicia i zalega smutek. Dopiero po otwarciu drzwi w oczy uderza blask. Dlatego w dzień, prawie stale trzeba nosić ciemne okulary. Za to w nocy – noktowizor, ale on też nie poprawia nastroju.

W porze, kiedy lekarze po pracy w szpitalach, docierają do swoich gabinetów, spółek medycznych i innych lecznic, czyha na nich z reguły tłumek niedoleczonych gdzie indziej pacjentów. Józef Ś. zasila to grono pod jednym z gabinetów psychiatrycznych. Czeka w niedużej kolejce.

Wchodzi po godzinie i jeszcze przed założeniem historii choroby, podsuwa lekarzowi wyjęty z aktówki formularz.

– Tu jest z grubsza o tym, że pan nie powtórzy ani słowa z tego, co pan ode mnie usłyszy.

– To chyba jasne, przecież kieruję się zasadami kodeksu etyki, tym bardziej że jestem psychiatrą – odpowiada doktor i przygląda się rubrykom.

– Przecież to wygląda jak zobowiązanie do współpracy! Co to, czasy TW wracają? Terapeutyczną w zamysle rozmowę już na początku zakłóca oburzenie lekarza.

Józef Ś. spokojnie, w oszczędnych słowach wyjaśnia cel wizyty, swoją sytuację i to, że właściwie działa odruchowo, jak w pracy. Po prostu się obawia, że przypadkowo wymknie mu się jakaś tajemnica, a wie sporo... Wygląda, jakby to on wspierał i pocieszał. W końcu uzyskuje podpis, przecież zna metody.

Teraz z kolei psychiatra używa swych niedostrzegalnych sposobów nakłonięcia pacjenta do wyczerpujących wypowiedzi. Gabinet ze zwykłego „pokoju zwierzeń” przemienia się w długi jasny korytarz, a później w aleję wiodącą do miejsca, gdzie osiągnie się pożądaną ulgę.

Oczyszczająca opowieść Józefa Ś. przypominałaby historię Avadero, gdyby nie to, że nic jej w zaciszu gabinetu nie zakłóciło, że była krótsza i od początku do końca prawdziwa. Zabrakło też w niej niezwykłości i magii. Józef Ś. nie spędzał czasu w tajemniczych grotach, choć owszem, życie wiódł nie całkiem jawne.

Ostatnio znowu mamy dużo realizacji, a wie pan, jak to u nas – wkroczenia wyznaczane są na szóstą, to w bazie trzeba być o czwartej – odprawa, strój, pobieranie sprzętu. Tyle razy już mówiłem, żeby zmienić godzinę wkraczania. Teraz, jak ktoś ma coś za uszami, to o szóstej już nie śpi, każdy jest co najmniej w majtkach. Gołej laseczki już od miesiąca nie widziałem. Ludzie wyglądają, jakby na nas czekali, jakby ktoś nas zapowiedział. A niektórzy od razu adwokatów przedstawiają, śpią z nimi, czy co? No i te pomyłki... Akcji jest tyle, że często dostajemy złe adresy, naszym przełożonym wszystko się pieprzy! Dwie ekipy potrafią się spotkać pod tym samym lokalem, a innym razem jadą na jakieś zadupia, w pustostany – a miał być elegancki penthaus w atrakcyjnej dzielnicy z zaporowym czynszem, żeby się uczciwa hołota nie plątała, tylko sama śmietanka przestępczego świata. Albo taka historia (bo my też jesteśmy namierzani, czy nie mamy jakichś kontaktów): coś się w komputerze pokręciło, jedziemy, wywalamy drzwi, a tam moje mieszkanie! Zaspany byłem, w goglach, nie poznałem. Dobrze jeszcze, że żony nie było (też na służbie, nockę akurat miała) i że pies mnie poznał, bo inaczej jatka by była, z rotwailerem i ze zdenerwowaną kobietą żartów nie ma. Za drzwi na szczęście firma zwróciła. Nie dalej jak dzisiaj: jedziemy, wkraczamy – ewidentnie finał imprezy po zebraniu założycielskim filii kartelu narkotykowego, pełno Latynosów, o – i tu mój błąd, bo parę panienek bez niczego akurat było, a my mamy zlecenie na jakiegoś sędziego Sądu Najwyższego. Znowu pomyłony adres. No... ile teraz przeproszania ambasady kolumbijskiej?! I za drzwi też trzeba oddać, a to nie były takie zwykłe – dwie warstwy dykty, kłamka i judasz. Łatwo zgadnąć, że po sędziego pojechali ci, co mieli zamiar na kartel, tak? Czyli wszyscy się wymigają i jeszcze powództwo cywilne będziemy mieli za bezprawne najście.

Relacja powyższa wcale Józefowi Ś. ulgi nie przynosi. Przeciwnie – im dłużej opowiada, tym bardziej się „nakręca”, tym większe pretensje ma do przełożonych. Szar-

żuje, niemal obwiniając samą „górkę”, krytykuje metody walki z przestępczością, ba – nawet politykę penitencjarną. Dostaje się i najważniejszym prawnikom w państwie.

Kiedy widzi, że za daleko się zapędził, że jakby znowu jakieś drzwi razem z futryną zostały wywalone, czuje się przez chwilę osamotniony – on wkroczył, a reszta ekipy nie poszła w jego ślady, ani kask, ani kuloodporna kamizelka nie pomogą.

Zaraz jednak odzyskuje tę niezbędną odrobinę zimnej krwi:

– No i chuj! Miało być inaczej, ale teraz to niech pan napisze, że ja się do tego burdelu nie nadaję! – mówi do psychiatry jeszcze z desperacją w głosie i wskazuje błoczek *Zaświadczeń o stanie zdrowia* – proszę o przeniesienie do prawdziwej pracy biurowej! Robię w końcu w biurze, tak? I to w centralnym – miarowo wali pięścią w biurko doktora – w Centralnym Biurze Śledczym!

Jolanta Bulzak

Potrzeba miłości

Potrzeba miłości
Ot, zwykłe kochanie,
W rozmowie o zmierzchu
I w kromce chleba
Co ją tobie, kroję na śniadanie.
W prostych gestach,
Gdy dotykam twojej dłoni
I chociaż ciężko, i życie goni,
Nie traćmy siebie,
Niech świat nas nie skłóci,
Wypalone uczucie nigdy nie powróci,
Mijamy się tylko
W drzwi ciasnej przestrzeni,
Potrzeba miłości
– Czy jeszcze nas zmieni?

Samotność

Samotność, którą mi dałeś, trwa.
Myślałeś – jakoś będzie.
Odjeżdżałeś, przyjeżdżałeś,
Coś mówiłeś w biegu.
Nie ważne o czym,
Nie stałam w pierwszym szeregu.
Spychałeś na margines,
To co nas łączyło.
Nie ma uczucia – zimno,
Nie ma dotyku.
Nie znaczą nic,
Wszystko się skończyło.

Urodziny

Jest w roku jeden dzień,
Co cichutko przychodzi.
Zabiera kolejny rok,
To dzień moich urodzin.
Już się nie ekscytuję,
Ukradkiem liczę zmarszczki.
To lustro jest zepsute,
A zdjęcie – mojej matki.
To przecież niemożliwe,
Odbicie nie jest moje.
Ja jestem pełna życia
I w świat idę przebojem.
Czasami tylko siądem
Przy lampce mdłego wina
I myślę – tu mnie boli,
Zadyszka – oj zły klimat.
I jakoś pusto w domu,
Bo młodzi odjechali.
Do lustra wznoszę toast,
Obyśmy doczekali!

Zauroczenie

Zakochałam się w tobie,
Zwyczajnie, po prostu.
Motyle w mojej głowie
I tęczowe kręgi.
Kocham cię, serce odpowie.
Lecz ty tego się nie dowiesz.
Nie żądam niczego w zamian.
Ot – platoniczny blamaż.
I łza co policzek ocienia.
Wiem, że dla ciebie
Nic nie znaczę.
W głębi duszy pozostają
Nieśmiałe marzenia,
I wspomnienia –
Tęskne wspomnienia.

Kręgle

Kula – jak życie
Po torze się toczy.
– Jedna szybko, druga z drogi zboczy,
By wrócić w takim samym stanie.
Która lepsza?
Kto wie?
Zadajesz pytanie.
Obydwie krągłe i ciepłe
Dotykem rąk silnych.
One nie chcą
Troszczyć się o innych.
Puszają się i wdzięczą neonu barwami.
– Ja piękna, nie, ja lepsza,
Wybierz między nami.

Konserwanty

Sok na pół pomarańczowy
W połowie sztucznością nadziany.
Smakuj kolor i zapach
Świeżością pierwszą nazwany.
Wypij, może przeżyjesz.
Ssanie w żołądku cię czeka.
Masowej produkcji dzieło,
Zagładą ciała człowieka.
Poddaj się, taka potrzeba,
Przymykaj oczy na świństwa.
Nie krzycz, protest twój zbędny,
Cywilizacji, to siła.

Masmedia

Wzięłam do ręki gazetę,
Tytuły grozy budzące.
Wojna, porwanie dziecka,
Trup znaleziony na łące.
Agresja i lęk podsycane
Językiem, kolorem, myślą.
Uważaj, nie ciesz się życiem,
Koszmarne sny ci się przyśnią.
Wycofaj się, nie miej marzeń,
Scenariusz życia jest dany.
Zamknij się w sobie, nie planuj.
Jesteś ich pionkiem, poddanym.

Joanna Czajkowska-Ślasko

Przystanek końcowy – pętla

i znów zbyt szybko

przebiegłam przez amfiladę letnich miesięcy
by zdążyć na autobus który nie przyjechał

do butów lepią się przejrzałe mirabelki

tak to już teraz
rusza coroczny kurs starzenia się
zmieniania wszystkiego w skład rupieci

zeschłe trawniki
pordzewiałe liście
nawet te późne róże
zwiędnięte jak niedbale obgryzione kości

i znów zbyt szybko przebiegłam
by zdążyć na autobus który nie przyjechał
czekam

wypatruję rozkładu

Z rozmyślań kuchennych

było minęło
a teraz spływa
niknie w ścieku przeszłości

co pozostało?
przypięty na drzwiczkach
wyblakły obrazek malowany dziecięcą ręką
na kartce
ze śladami mleka i miodu

a za nim
w lodówce
to co zawsze –
wędnące owoce z wczoraj
i wciąż jeszcze hermetycznie zamknięte
gotowe dietetyczne danie
na jutro

Recykling

zawsze stroniłam od rzeczy nieodwracalnych
a tu – złamana róża stłuczony wazon
rozlana woda
która nikogo już nie napoi
zbędna – jak i te łyzy – mówisz

ale wierząc w recykling
różę wyrzuci się na kompost
z odłamków szkła można zrobić mozaikę
ozdobić nimi gipsową ramkę
na archiwalne zdjęcia

łyzy
może wypłuczą kiedyś
wszystkie nasze belki
wszystkie nasze żdźbła

Popielec – wczesny marzec

z prochu w proch
my – krew z krwi
kość z kości
światłość ze światłości

wiosna za wiosną
dzika śliwka cała w bieli
a jeszcze w nas pozostał
powidok jej poprzedniego kwitnienia

drzewa nie pytają o sens
co roku niezmiennie
wydając kwiaty gotowe na zagładę
aby ich krótkotrwały wdzięk
oswajał nas z ostrzem czasu
krążącym
coraz bliżej i bliżej

gdy otwierając oczy na świt
czytamy w nim przyszły zmierzch

Lekcja wizażu – zima

najpierw peeling
z porywistego wiatru i piasku
a potem pianka śniegu
wydepiluje trawniki ogrodów i parków
lakier mrozu powlecze włosy drzew

w tym sezonie obowiązuje bladość
nieba dróg i powietrza
jeśli ptaki – to
nie za dużo
czerwień tramwajów
raczej matowa – zgaszona

słońce – tylko
trochę brokatu
dla zwieńczenia całości
ale z umiarem
na koniec lód
transparentny błyszczyk
na wszystko

Janusz Stanisław Czarnecki

Gamoń

Mieszkali w Monachium od 1880 roku, a to już było równe pięć lat. Tutaj urodziła im się córeczka, której dali imię Maria. Jej matka Paulina wyglądała z okna na ulicę, oczekując bardzo ważnej osoby, która się spóźniała. Okno było szeroko otwarte i świeże powietrze masywnie dostawało się do pokoju. Paulina pomyślała, że wołałaby, aby sąsiedzi nie widzieli wchodzącego mężczyzny, a już na pewno, by nie wiedzieli, kim on jest.

Było cicho, gdy nagle z korytarza doszedł dźwięk upadku jakiegoś przedmiotu i krzyk kobiety:

– Gamoń!

– Niech pani go tak nie nazywa i tak głośno nie krzyczy. Ludzie tu wszystko słyszą.

Służąca weszła do pokoju i powiedziała na swoje usprawiedliwienie:

– Nie mogę pozwolić na jego ekscesy i napady złego humoru. Kilka dni temu Albert rzucił krzesłem w nauczyciela i jak pani wie, od tego czasu nauczyciel jeszcze się u nas nie pojawił. A wie pani, jak on przy tym się złości, aż całą twarz ma bladą, a zwłaszcza koniuszek nosa.

– Niech pani uspokoi dziecko, tym bardziej że mamy dzisiaj wizytę ważnego gościa.

Służąca wyglądała na zmartwioną, opuściła głowę i rzekła:

– Ja nie przygotowałam dodatkowej kolacji dla tego gościa, tylko dla państwa.

– Nieważne, nieważne... To nie jest taki gość do goszczenia się. To jest taki konsultant i nie chcę pani bliżej o tym mówić, aby to nie rozniosło się pośród sąsiadów w kamienicy. No, niech pani idzie do dziecka i zajmie się nim, tak aby było grzeczne, zwłaszcza jak przyjdzie dzisiaj ten gość. Zrozumiała pani?

Służąca kiwnęła głową, zrobiła lekki dyg i wyszła. Po jej wyjściu do salonu wszedł mężczyzna i zapytał Paulinę:

– I co, ciągle go nie ma?

– Jeszcze nie przyszedł – odpowiedziała Paulina z niepokojem w głosie.

– Jak myślisz, weźmie duże honorarium? – zapytał mężczyzna.
– Nie potrafię powiedzieć. Czy on jest taki dobry?
– No wiesz, jest najlepszym psychiatrą dziecięcym w Monachium – rzekł mężczyzna o imieniu Herman i dodał – nasze małżeństwo jest takie udane, a najczęściej z kłopotów wychodziliśmy w udany sposób. Chociaż gdyby nie twoi rodzice i ich pomoc finansowa, byłoby nam trudno.

– To, że splajtowałeś na sprzedaży pierza, tego można było się spodziewać. Teraz sprzedaż tych urządzeń elektrycznych i wodno-kanalizacyjnych jest trafiona w samą dziesiątkę. Interes idzie bardzo dobrze.

Mąż odwzajemnił się komplementem:

– Twój ojciec zbił pokąźny majątek jako kupiec zbożowy. Dziedziczyłaś po nim zmysł praktyczny do pieniądza. Za to mały Albert, chyba po dziadku odziedziczył sarkastyczny humor, umiejący zranić prawie każdego.

Pan Herman skrzywił głowę i przez chwilę przysłuchiwał się uważnie:

– Chyba ktoś idzie po schodach.

– Może to jest on.

Po chwili usłyszeli dzwonek do drzwi i szybki tupot nóg służącej, która oczekiwała przyścia gościa.

Pani Paulina pomyślała z lekkim strachem o tej wizycie. Postanowili z mężem dać ich synowi Albertowi, to co jest możliwe, zwłaszcza w okresie, kiedy jest jeszcze dzieckiem, gdy dojrzeje, będzie sobie sam musiał radzić. Oczekując na człowieka, który za moment przekroczy próg, zastanowiła się, czy dobrze zrobiła, zapraszając na konsultację najbardziej renomowanego profesora psychiatrii z Monachium.

Właśnie wszedł i popatrzył z przenikliwą uwagą na gospodarzy. Był to średniego wzrostu mężczyzna, po sześćdziesiątce, z siwiejącymi włosami, niebieskimi oczyma i skórą na twarzy z bliznami po przebyłym trądziku.

– Witam szanowną panią – powiedział, podchodząc do pani Pauliny i podając jej rękę.

Poczuła lekki uścisk, chłodnej dłoni, ale obyło się bez wylewności, bez całowania ręki. W taki sam sposób przywitał się z panem Hermanem. Chwilę potem rozglądnął się po salonie, a gospodarz rzekł:

– Panie profesorze. Jesteśmy zaszczyceni pana wizytą. Myślę i mam nadzieję, że pan nam pomoże.

– Postaram się – odrzekł z uśmiechem doktor.

– Proszę, niech pan siada, może tutaj na kanapie.

Lekarz pokręcił głową, mówiąc:

– Nie, dziękuję. Wolałbym na krześle.

– Proszę, niech pan doktor siada.

Doktor siadł, wyciągnął z teczki duży notes, okulary, pióro i położył to na stole. Pan Herman przyglądał się uważnie lekarzowi i przez chwilę zastanawiał się, jak dużo psychiatra zarabia. Był przygotowany na wysokie honorarium i wyciągnął dodatkowe

pieniądze ze swego konta bankowego. Marzył, aby w przyszłości Albert po ukończeniu odpowiednich handlowych szkół, objął jego przedsiębiorstwo i jeszcze je rozbudował, a najlepiej powiększył o firmy w innych miastach. Ale cóż, na razie były to tylko marzenia; bo chłopiec miał trudności z mówieniem. Proste budowanie zdań robiło mu kłopoty, a już zupełnie nie potrafił się płynnie wypowiedzieć. Nie umiał się bawić z dziećmi, separował się od innych oddając się rozmyślaniom, nie wiadomo o czym i guwernantka sąsiadów nazywała go „nudziarzem”, a służąca wykrzykiwała na niego w ciągu dnia kilkakrotnie – „gamoń”. Uzmysłowił sobie, że kocha swojego syna i pragnął mu pomóc w życiu, tak aby on przeżył je szczęśliwie, bogato i długo.

– Czy zawołać dziecko? – zapytał, zwracając się do lekarza.

Doktor podniósł się, dał znak ruchem przeczącym i rzekł:

– Nie. Absolutnie jeszcze nie teraz. Teraz powinniśmy porozmawiać sami, bez dziecka. Dopiero potem je poprosimy.

Rodzice skinęli twierdząco głową i oczekiwali na dalszy ciąg wydarzeń. Lekarz zwrócił się twarzą do ich obojga i powiedział:

– Państwo pozwolicie, że zadam kilka pytań, chcąc poznać środowisko, w jakim wychowuje się dziecko. Dobrze?

– Oczywiście – powiedziała pani Paulina.

Doktor popatrzył na twarz pana Hermana, na jego lekko zgarbiony nos, duże wylupiaste, czarne oczy, mały podbródek i zapytał:

– Przepraszam, ale czy państwo jesteście Żydami?

– Tak. Nie kryjemy się z tym. Nie widzimy przyczyny, aby się kryć.

– Rozumiem – odpowiedział lekarz i zapytał – jak dziecko ma na imię?

– Albert. Albert, panie doktorze – odpowiedziała szybko pani Paulina.

Lekarz popatrzył na nią przenikliwie i powiedział:

– Ale to nie jest imię ze Starego Testamentu, na przykład takie jak Dawid, czy Natan?

– Tak. Nie jest, ale my nie przywiązujemy, aż takiej wagi do tradycji. Wtapiamy się w to społeczeństwo i uważamy, że wszyscy jesteśmy dziećmi jednego Boga. Co prawda początkowo chcieliśmy dać naszemu synowi na imię Abraham, po pradziadku, ale to brzmiało dla nas zbyt żydowsko.

– Rozumiem – odpowiedział krótko psychiatra – a od jak dawna jesteście w Monachium?

– Od pięciu lat – odpowiedział z zadowoleniem w głosie pan Herman.

– A przedtem gdzie mieszkaliście i gdzie chłopiec się urodził?

– Mieszkaliśmy u podnóża Alp. Mała miejscowość o nazwie Ulm. Albert urodził się 14 marca 1879 roku, chyba było to w piątek? – zwrócił się do żony.

– Tak. Już w niedzielę świętowaliśmy narodziny z moimi rodzicami – wspomniała.

– Państwo macie inne dzieci?

– Tak – odrzekła gospodyni – córkę.

– W jakim wieku?

– Pięć lat, czyli dwa lata młodsza od Alberta.

Psychiatra popatrzył na kobietę, aby sprawdzić, jakie robi wrażenie odnośnie drugiego dziecka. Zapytał:

– A jak ma na imię?

– Maria. A zdrobniale mówimy Maja.

– No, to zupełnie nie imię ze Starego Testamentu.

Pan Herman włączył się z komentarzem:

– Jak wspomnieliśmy, to nie przywiązujemy wagi do tradycji. A imię Maria, po prostu podobało się nam i w decyzji wyboru nie kierowaliśmy się Starym Testamentem.

– Rozumiem – odpowiedział psychiatra.

Nie wiem, czemu on ciągle powtarza: rozumiem, rozumiem – pomyślał pan Herman i spostrzegł, że lekarz przyglądał się im z dużą uwagą. Ale może właśnie tak zachowują się psychiatrzy? – dodał w myślach.

Psychiatra popatrzył wnikliwie na gospodynię i zapytał:

– A co panią najbardziej niepokoi u chłopca?

Kobieta odpowiadała, zastanawiając się, jakie wymienić ważne cechy i w jakiej kolejności.

– Jest inny, aniżeli inni chłopcy – odpowiedziała ogólnie z pewnością w głosie, aby na razie nie precyzować poszczególnych nieprawidłowości w zachowaniu.

Lekarz patrzył na nią z uwagą, pytając:

– Co to znaczy, że jest inny?

Matka chłopca przez chwilę zastanawiała się i zaczęła powoli mówić:

– Od początku był inny. Już we wczesnym okresie życia, kiedy miał dziesięć, czy dwanaście miesięcy z powodu niewielkiej błahostki potrafił wpadać w złość i płakać długi czas.

– Jakiej błahostki? – zapytał psychiatra, marszcząc czoło.

Kobieta chwilę zastanawiała się i rzekła:

– Na przykład, kiedy pił butelkę mleka z kaszą i zapchała się dziura od smoczka, wówczas wpadał w złość; płakał, szybko poruszał rękoma i nogami, następnie robił się na twarzy cały bład, a najbardziej bład był koniuszek nosa.

– I co wtedy pani robiła?

Pani Paulina odpowiedziała natychmiast:

– Brałam go na ręce, tuliłam do siebie i całowałam.

– I pomagało?

– Czasami, a zdarzało się, że dopiero przystawienie chłopca do smoczka z odblokowaniem otworu i płynącej swobodnie kaszy z mlekiem powodowało uspokojenie się dziecka.

Psychiatra przysłuchiwał się pilnie odpowiedzi i szybkim ruchem pisał w notatniku. Po chwili zapytał:

– W czym jeszcze był inny?

Kobieta odpowiedziała:

– Rozumiał słowa i zdania wcześniej. Miał jednak ogromne trudności z budowaniem zdań i ich wypowiedzeniem. Kiedy jego rówieśnicy, dwu lub trzyletni chłopcy mówili swobodnie, nie tylko pojedyncze zdania, ale opowiadali całe wydarzenia, on ledwie wydusił z siebie dwa lub trzy słowa. Po trzech latach wyraźnie widział, że robi nam tym przykrość. Wówczas stawał w kąciku, poruszał wargami i powtarzał po cichu kilka razy zdanie, aby później wypowiedzieć je głośno. Miał ogromną ambicję wypowiadania całych zdań.

– Czyli był wytrwały? – zapytał z ciekawością w głosie lekarz.

– Oj, tak. Lubił układać puzzle i nie zszedł z dywanu, dopóki nie ułożył całego obrazu, całej kompozycji, nawet gdyby miało to trwać dwie godziny.

– A z innymi zabawami?

– Z innymi zabawami podobnie wznosił skomplikowane budowle z klocków lub kart. Potrafił budować z nich czternastopiętrowe wieże z niezwykłym uporem.

Lekarz znów coś pisał w notesie i kobieta delikatnie pochyliła się w jego stronę. Zauważyła z przyjemnością, jak doktor napisał: „wytrwałość i konsekwentne dążenie do celu były już od dzieciństwa pozytywnymi cechami charakteru”.

– No, dobrze. Ale, czy było coś w jego życiu, co zrobiło na nim ogromne wrażenie, co lubił i długo pamiętał?

Tym razem pan Herman przysunął się bliżej doktora i zwracając się do żony powiedział:

– Pozwolisz, że tym razem ja powiem?

– O kompasie?

– Tak. O kompasie.

– Zaczynaj.

Psychiatra z zainteresowaniem popatrzył na małżeństwo i pomyślał, że musiało to być coś ważnego, jeżeli obydwójce tak pamiętali. Pan Herman spojrzął na lekarza, który rzekł:

– Dobrze. Niech pan mówi.

– Albert miał wówczas pięć lat i zachorował na anginę. Miał wysoką temperaturę i gorączkę zbijał miśmy obfitym pojeniem dziecka i nakładaniem na kończyny wilgotnych ręczników. Był zmęczony chorobą. Chciałem uprzyjemnić mu ten trudny, nieprzyjemny okres i pokazałem mu kompas. Był nim zafascynowany. Powiedział: *tato, igła wie, gdzie się obrócić, mimo że nic ją nie porusza*. Następnie powtarzał to kilka razy i kazał przynosić sobie kompas kilkakrotnie w ciągu dnia.

– A nie bawił się na przykład żołnierzami, czy karabinem?

Pan Herman natychmiast odpowiedział jednym tchem:

– Absolutnie, nie. Żołnierzyki, walki, krwawe bitwy budziły w nim pogardę. A kiedy był starszym chłopcem, to na parady wojskowe patrzył z politowaniem.

Psychiatra ponownie napisał coś w notatniku. Po chwili podniósł głowę i rzekł:

– Jest jeszcze delikatne pytanie. Czy mogę zadać je pani? – zapytał, kierując twarz ku pani Paulinie.

– Oczywiście. O wszystko można mnie pytać, byle tylko pomóc mojemu dziecku.

– Jaka jest różnica wiekowa pomiędzy waszą córką a chłopcem?

– Dwa lata. Marysia, czyli Majka jest równe dwa lata młodsza.

– A jak zareagował syn na urodzenie siostry?

Kobieta zakryła twarz rękoma i wpadła w atak śmiechu. Podobnie zachował się jej mąż.

– Czy o coś niewłaściwego zapytałem? Czy było to dla państwa nietaktowne? – zapytał z niepokojem psychiatra.

– Ależ nie – odpowiedziała kobieta i dodała: czy wie pan doktor, co syn powiedział, kiedy pierwszy raz pokazaliśmy Maję jak noworodka? Ile wtedy miała, dwa lub trzy dni? – zwróciła się na potwierdzenie do męża.

– Drugiego dnia – odpowiedział.

Kobieta kontynuowała:

– Albert powiedział: *Ach tak, ale gdzie ona ma kółka?*

Psychiatra zrobił zdziwioną miną i rzekł:

– Nie rozumiem.

– No, kiedy Maję trzymaliśmy na rękach, położoną poziomo przyjął ją jako zabawkę i dlatego zapytał o kółka.

– Teraz rozumiem – i dodał – nie widział, że to dziecko?

– Widział.

– Ile miał wtedy lat?

– Cztery – odpowiedziała matka i uważnie patrzyła na zdziwioną twarz psychiatry.

– To dziwne – rzekł lekarz.

Pochylił się nad stołem i coś pisał w tym swoim czarnym notatniku, tym razem dłużej.

Lekarz z uwagą popatrzył na rodziców i zapytał:

– A jak zachowuje się w szkole?

Matka miała zmartwioną twarz i odpowiedziała:

– Nudzi się na lekcjach. Nauczyciele nie są dla niego autorytetem. Mówią o nim: ty niesforny chłopcze. Ponadto uważają go za ospałego.

Psychiatra powtórzył:

– Za ospałego? To może on nie wie, co się na lekcji dzieje?

– Wie – broniła go matka.

– Nie jestem pewien.

Lekarz chwilę milczał, a potem zapytał:

– Czy jest jeszcze coś u chłopca, co wam się podoba?

– Tak – odpowiedzieli obydwój rodzice.

– To może najpierw pani.

– Albert powtarza dwu lub trzykrotnie różne zdania – powiedziała kobieta.

Psychiatra poruszył się na krześle i na twarzy pojawiło się ogromne zainteresowanie.

– Tak? A jak często się to zdarza?

– Codziennie – odpowiedziała cichym głosem matka.

– Niedobrze – mruknął pod nosem lekarz, ale nie na tyle, żeby było to niesłyszalne.

– Dlaczego niedobrze? – zapytała kobieta.

Lekarz z ociąganiem się rzekł:

– To jest objaw zwany echolalią i dodał: czasami występuje u osób opóźnionych umysłowo.

Kobieta patrząc uważnie na lekarza, natychmiast zapytała:

– To on jest opóźniony umysłowo?

– Jeszcze tego nie powiedziałem – i dodał, zwracając się do pana Hermana – pan chciał coś powiedzieć?

Mężczyzna rzekł:

– Tak. *Á propos* nauczycieli. Kilka tygodni temu zatrudniłmy nauczyciela.

Drugiego dnia, po bardzo głośnej i ostrej wymianie zdań pomiędzy nimi, nasz Albert chwycił krzesło i rzucił nim w nauczyciela.

– I co?

– Nauczyciel miał obrażenia głowy, barku i nie wrócił do pracy.

– I trudno się dziwić – powiedział cicho lekarz.

– To przecież dziecko – próbowała bronić syna kobieta.

Psychiatra popatrzył na nią długo i nic nie powiedział.

Po chwili rzekł:

– Przeprowadźcie chłopca.

Matka uchyliła drzwi, zza których odskoczyła służąca:

Pani Paulina zdenerwowała się i rzekła:

– Jeszcze raz przyłapię panią na podsłuchiwanie, to zwolnię panią. A teraz proszę odejść.

Służąca odpowiedziała coś w rodzaju „uhm”, co oznaczało, że przyjęła do wiadomości.

– Już idę po tego gamonia.

– Ile razy mówiłam, że nie wolno pani odzywać się tak do niego.

– Dobrze, dobrze – usłyszała z oddali korytarza.

Nie tyle pomyślała o Albercie, ile poczuła przyływ miłości do niego. Z przeszłości pojawiły się obrazy z okresu, kiedy był niemowlęciem i w pierwszych miesiącach łączywie czepiał się jej piersi, potem z braku pokarmu przeszła na karmienie sztuczne. Po roku zaczął chodzić i nieporadnie czepiał się jej sukienki. Często podno-

siła go na ręce i całowała, a on mocno małymi rączkami obejmował jej szyję. Bała się tej dzisiejszej wizyty profesora psychiatrii, aby nie odebrał jej nadziei na przyszłość dziecka. Najgorzej to było z jego mówieniem i nagłym wpadaniem w złość, kiedy nie mógł chwycić powietrza w usta oraz robił się bardzo błądy. Wierzyła, że małe dzieci mają swój ogromny potencjał i mogą z biegiem czasu nadrobić pewne zaległości, bo nawet zaległe lekcje w szkole można odrobić później i nawet lepiej. Czuła, że on kocha ją również i nie tylko, kiedy obejmuje ją mocno za szyję, ale wtedy gdy całuje w policzki mokrymi wargami, tak że czasami jest cała obsłiniona, ale jest to miłe i pozostawia w człowieku uczucie. To ono dodawało jej energii do działania, aby mu pomóc z tym mówieniem i z tą nerwowością. Wierzyła, że nie ma sytuacji beznadziejnej, bo Albert według niej był takim małym indywidualistą, a to, że przeciwstawiał się autorytetom, wynikało stąd, że dorosłych denerwowało, to jego opóźnione mówienie i słaby kontakt z rówieśnikami.

Drzwi otworzyły się i służąca wprowadziła chłopca o spokojnej twarzy, ciemnych włosach uczesanych z przedziałkiem na lewą stronę, łagodnych ciemnych oczach. Ubrany był, jak na przyjęcie gości: w białą koszulę i marynarkę w kształcie surduta z trzema rzędami guzików naszytych od szyi ku dołowi. Spodnie sięgały nieco niżej kolan, a na stopach miał jasne buty.

Matka popatrzyła na niego i powiedziała ostrym tonem, jakby przewidując opór dziecka:

– Albert ukłoń się. To jest pan doktor.

Chłopiec negująco pokręcił głową i opuścił ją, a wzrok utkwił w dywanie. Psychiatra wyciągnął w jego kierunku prawą dłoń i powiedział:

– Jestem i chcę się z tobą przywitać.

Ponownie potrząsnął przecząco głową.

– No, to w takim razie powiedz, ile masz lat.

Cisza.

– Czy lubisz chodzić do szkoły?

Po raz trzeci potrząsnął przecząco głową. Psychiatra chwilę zastanawiał się i zapytał:

– Słyszałem, że podoba się tobie kompas z igłą magnetyczną, która sama wie, gdzie się poruszać.

Albert trzykrotnie powtórzył cicho zdanie:

– Kompas wie, gdzie się poruszać. Kompas wie, gdzie się poruszać. Kompas wie, gdzie się poruszać.

I wreszcie powiedział głośno:

– Kompas wie, gdzie się poruszać.

Lekarz uważnie przypatrywał się chłopcu i z jego wyrazu twarzy emanowała gotowość zadawania następnych pytań. Pochylił się ku Albertowi i powiedział:

– A żołnierzyki lubisz? A walki żołnierzy interesują cię?

Albert zbliżył się do lekarza, raptownym ruchem chwycił jego duży, czarny notes, podniósł ku górze i rzucił w kierunku psychiatry. Ten, gdyby nie odskoczył w bok, otrzymałby uderzenie w głowę. Następnie chłopiec odwrócił się w stronę matki, podbiegł do niej i przyłgął do jej ciała.

– Panie profesorze, my pana bardzo przepraszamy. Albert naprawdę nie chciał tego zrobić. On czasami działa tak nagle i spontanicznie, że nie jesteśmy w stanie wszystkiego przewidzieć do końca.

Doktor miał wyraz twarzy pokazujący zaskoczenie i urazę. Popatrzył na obojga rodziców i powiedział:

– Otóż chciałbym państwu zakomunikować diagnozę na temat chłopca. Może nie będzie ona dla państwa miła, ale natomiast prawdziwa.

Rodzice z ogromną uwagą patrzyli na psychiatrę:

– Otóż chłopiec cierpi na niedorozwój umysłowy z cechami echolalii i napadami agresywności. Będzie miał problemy w szkole, najprawdopodobniej nie przejdzie do wyższych klas, a o szkole średniej można nawet nie myśleć. To wszystko, co mam o chłopcu do powiedzenia.

Pan Herman nieśmiało zapytał:

– A, leczenie? Może jakieś leczenie. Może wysłać go na jakąś kurację?

Lekarz popatrzył najpierw na chłopca, przesyłając mu wrogie spojrzenie, potem zwrócił się do jego ojca, mówiąc:

– Chłopiec nie ma żadnych szans.

– Żadnych nadziei na przyszłość, gdyby na przykład medycyna poczyniła postępy, albo... albo... nastąpił jakiś cud? – zapytał ojciec.

– Żadnych – odpowiedział krótko psychiatra.

Rodzice popatrzyli na siebie ze smutkiem.

– To ja już będę wychodził – powiedział lekarz.

Rodzice ponownie popatrzyli na siebie, wiedząc, co to oznacza.

– Herman, koperta – rzekła pani Paulina.

Ojciec wyciągnął z szuflady kredensu białą kopertę z przygotowanym honorarium i położył na stole przed lekarzem. Ten szybkim ruchem pochwycił kopertę i schował do kieszeni marynarki.

– Dziękuję. To ja już wychodzę – powiedział.

Pani Paulina poprosiła służącą o odprowadzenie lekarza, kiedy pan Herman wtrącił:

– Ja odprowadzę.

Albert nadal przylegał przytulony do matki. Po krótkiej chwili pan Herman wrócił, bo służąca odprowadziła gościa do wyjścia. Powiedział do żony:

– Wiesz. Nie podobał mi się ten psychiatra. Lekarz nigdy nie powinien odbierać pacjentowi nadziei.

– Mnie też się nie podobał – odpowiedziała kobieta.

Mocno przytuliła syna do siebie, czule pocałowała w oba policzki i powiedziała:

– Czego oni od ciebie chcą. Ja ciebie tak kocham, że zawsze będziesz mój, a co do przyszłości to jeszcze nie wiadomo. Moja intuicja podpowiada mi zupełnie co innego, niż to, o czy mówił lekarz.

Nagle posłyszła pukanie do drzwi. Ciekawa podeszła do drzwi i otworzyła je. W drzwiach stał psychiatra.

– O, przepraszam. Zapomniałem parasola. A tak naprawdę, pani Einstein to proszę nie myśleć, że on będzie w klasie na końcu. Wasze nazwisko zaczyna się na literę E, a więc będzie w dzienniku pewnie w pierwszej dziesiątce uczniów. Wyczytaj go do tablicy: podejdź Albercie Einsteinie i dodaj:

– Szkoda tylko, że to taki ograniczony umysłowo chłopak.

Profesor uklonił się z dużą grzecznością, wzięty parasol i wyszedł. Pani Einstein mocno przytuliła swego syna. Chłopiec uniósł ku górze głowę i popatrzył w jej oczy. Żałowała, że tę negatywną opinię słyszał jej syn. Postanowiła mu coś ważnego powiedzieć, aby zapamiętał na całe życie.

– Kocham ciebie i nigdy nie przestanę kochać, kimkolwiek będziesz. Czuję, że będziesz kimś dobrym i bardzo ważnym. Może kiedyś, jak będziesz dorosły, ktoś zapamięta twoje imię i nazwisko: A l b e r t E i n s t e i n.

I nie wiedziała zupełnie, dlaczego to powiedziała.

Po chwili pomyślała, że podpowiedziała to jej intuicja, nadzieja i miłość, w które zawsze wierzyła.

Opowiadanie nagrodzone I miejscem na Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Profesora Andrzeja Szczeklika „Przychodzi wena do lekarza” Kraków 2014.

Ilona Dzisiaj

Kiedy płomienie strawią
moje szczątki doczesne,
nie zamykaj mnie w urnie na wieczność,
nie lubię ciasnych pomieszczeń.

Zabierz mnie w góry wysokie,
gdzie błękit nieba i przestrzeń
tam rozsyp moje prochy,
niech się rozwieję na wietrze.

Zamknęłam się w sobie.

Z wieży z kości i skóry
wyglądam na świat
przez szpary między powiekami.

Jestem więźniem z wyboru.

Śmierć

nie ma krzty taktu
ni za grosz wychowania –
wpada bez zaproszenia,
przerywa komuś w pół zdania,
nie pozwala dokończyć deseru.

Po życie sięga jak po swoje.

Nieobecność

wypełnia każdy kąt mieszkania.
Wskakuje na drapak,
przysiada przy miskach,
wciska się na kolana.

Wyciągnięta ręka
zastygła bezradnie.

Szafy mam pełne niespełnionych marzeń,
szuflady planów odłożonych na później.
Na półkach piętrzą się tęsknoty.

W przedpokoju buty
gotowe do drogi
wciąż cierpliwie czekają.

Jutro

przychodzi bladym świtem,
przeciska się między żaluzjami,
razi oczy światłem.

Nie pomaga zaciskanie powiek.

Ewa Gluza

Wdzięczność

Niech będzie pochwalony ten dzień
Obudzony ciepłym promieniem Słońca
W dostatku i poczuciu miłości do Świata.
Pełen wdzięczności, która wypełnia serce,
Zrozumienia, że choć wiele brakuje,
Jeszcze więcej zostało podarowane.

Niech będzie pochwalone życie,
Które dało tyle doświadczeń,
Żeby udźwignąć wszystko, co nadejdzie
I przyjąć to ze zrozumieniem.
Czy trzeba żyć aż tak długo, żeby to pojąć?
Ze starej fotografii ktoś patrzy na mnie krytycznie,
Nie poznają siebie, tyle lat, tyle snów.

Pożegnanie

Jeszcze niedawno byłaś tutaj cichym gasnącym szeptem,
Odchodząc, wyróciłaś życie na lewą stronę,
Świat oglądany przez wytartą podszewkę,
Wyblakły i samotny, niekompletny.

Bzy zakwitły w tym roku jakoś inaczej i pachniały mniej,
Pierwsza wiosna bez Ciebie, tęsknota rozmyła kolory.
Nalałam wody ptakom w Twoim imieniu
I przez chwilę poczułam się lepsza, niż jestem.

Ławeczka, na której ostatni raz siedziałaś,
Jak porzucony but stoi samotnie na deszczu,
Już nie sprawdzam wieczorem poczty,
Ale wciąż mam wiadomości od Ciebie.
Przyjaciele nie powinni odchodzić.

Piszę do Ciebie gotowa na pożegnanie,
Z nadzieją, że znalazłaś po drugiej stronie kogoś, kim się opiekujesz,
Kto doceni Twoje wielkie serce.
Mam nadzieję, że gdziekolwiek jesteś, ktoś opiekuje się Tobą.
W przestrzeni gdzie miłość się nie kończy i trwa zrozumienie.

Wieczorna rozmowa

Każdej nocy, kiedy budzisz wspomnienia,
Idziesz mrocznym labiryntem na spotkanie z Minotaurem.
Pamięć nieposłuszna krąży po orbitach czarnych Słońc
I już nie uwierzy w blask świtu.

Starość jest jak pełna filiżanka kawy, na białym obrusie,
Każda kropla jest przerażającym nadmiarem.
Pomaga tylko nagły zwrot akcji i powrót do bezpiecznych przestrzeni,
Wygodnych pantofli i dźwięków życia za ścianą.

Strach przed śmiercią przesłania każdy dzień istnienia,
Niezałatwione sprawy są jak górskie szczyty.
Przemijasz z rezygnacją, powoli i bez skargi,
Skupiona na tym, żeby nikt nie zauważył, jak szybko się oddalasz.

Wiesz, że niewiele życia już pozostało i boisz się, że to nie wystarczy do jutra,
Wieczorna rozmowa jest jak odroczenie wyroku, obietnica poranka.
Kiedy zaśniesz w dzień, jest nadzieja, że nie obudzisz się w mroku.
Jesteś wiecznym światłem, jestem przy Tobie.

Instrukcja obsługi życia dla zaawansowanych.

Rozważania filozoficzne dla potomnych

Przed 2020

Każdy stan naszej świadomości i każdy nastrój śpiewa swoją pieśń, to mowa wewnętrzna, której trzeba się przyjrzeć. Nawykowe myślenie kieruje czynami jak autopilot, więc warto mówić głównie to, co sami chcemy usłyszeć. Umysł jest jak echo i lubi gry.

Wszystko, co się wydarza, jest nagrodą albo nauką, wygodniej tak postrzegać życie niż narzekać. Krytyka bowiem najwięcej mówi o krytyku. Czy to, co usłyszałeś od krytyka, jest Twoją prawdą czy jego? A może niechący opowiada swoją historię? Nie reaguj gniewem, bo wtedy to już będzie Twoja opowieść. Trudne sytuacje są jak próba bohatera, dają okazję do przekroczenia własnych granic, a pesymizm to lęk przed rozczarowaniem, które nie musi się przecież wydarzyć. Bądź swoim najlepszym przyjacielem wszak nikt nie zna Cię lepiej.

Gniew jest podszytym strachem wołaniem o miłość, więc nie oceniał gniewnych, ale bądź obiektywnym obserwatorem. Wybaczej i bądź wdzięczny, to nie słabość, tylko siła. Umysł nigdy nie wybacza, umysł pamięta złe doświadczenia, ale Ty jesteś Czymś więcej niż umysł, jesteś jego właścicielem. Wybacj więc, choćby po to, żeby być wolnym i zapomnij. Najpierw jednak wybacj wszystko sobie, to co zrobiłeś i czego nie zrobiłeś, bo brak decyzji to też decyzja. Niczego nie oczekuj i płyn przez życie. Przykre sytuacje wracają nie po to, żeby udręczyć, tylko nauczyć decyzyjności i uwolnić. Tańczą i bawią się nami, ten teatrzyk ze wzbudzaniem winy i wstydu, to obrona traconego terytorium.

2020

Nasze lęki są jak dzieci, mają tyle lat co my, kiedy powstały, dlatego nie pozwól, aby kierowały Tobą. Nie pozwól, żebyś w ich imieniu podążał za zabawką z dzieciństwa, która wtedy była potrzebna. Dorosły, raczej już jej nie potrzebujesz. Poznaj swoje prawdziwe potrzeby, wybieraj miłość wokół siebie i otaczaj się dobrem, nie wchodź w konflikty. Odpuść sobie i pokochaj siebie, wtedy uzyskasz przestrzeń, żeby odpuścić innym i ich pokochać. Obwinia innych, kto ma sobie wiele do zarzucenia, a kto osądza innych, ten źle życzy sobie. Zawsze znajdzie się szyderca, on nie umie kochać, a nienawiść to zagłodzona miłość. Akceptuj życie jakie jest, ale nie rób niczego, tylko dlatego, żeby zostać zaakceptowanym. Nie komplikuj, tylko upraszczaj. Kiedy szanujesz siebie, nikt nie ma nad Tobą władzy, bo nie jest w stanie Cię prawdziwie zranic. Można cały świat oszukać, ale nie siebie.

Obraża się ten, kto nisko ceni swoją wartość, nie kocha się wystarczająco. Żądanie to tylko duża prośba, co zrobisz, jeśli ktoś Ci odmówi? Przecież ma prawo do wolnej woli. Odmowa to nie atak. Może ktoś nie ma czasu, przestrzeni albo energii do wydania. Ile lat ma to zranione dziecko, które teraz się obraża?

Nie nadawaj rangi błahostkom. Oczekujemy od innych zbyt wiele, podobnie jak od siebie, a to nie od nich zależy nasze szczęście. Ludzie przecież często uważają innych za głupców, którzy nie mają nic do powiedzenia, dlatego ciągle mówią o sobie i rzadko słuchają. I nie ma w tym nic złego, żyją swoim życiem. Nie będziesz mieć potrzeby, żeby oceniać innych, kiedy zrozumiesz, że każdy inaczej zaspokaja swoją ważność i ma do tego prawo. Ludzie często walczą o rację i szacunek, a nie dają tego samego innym, nie należy zatem wchodzić z nimi w polemiki. Nie ma winnych, są tylko odpowiedzialni.

Nie można się pozbyć doświadczeń, są częścią dojrzewania, ale na drodze spotykamy różnych ludzi, często destrukcyjnych, oni też istnieją, żeby doświadczać i uczyć się życia. Zastanów się, dlaczego wchodzisz z nimi w rezonans.

Trudno rozpoznać emocje i uczucia, ale warto spróbować. Uczucia; radość, współczucie i wdzięczność podobnie jak miłość są wszechobecne, narastają powoli, niosą z serca szacunek i ciepło. Emocje są najczęściej reakcją na zdarzenie, alarmem, odpowiedzią na głos autodestrukcyjnego oskarżyciela, który mieszka w umyśle i przekonuje, jak niewiele jesteś wart. Masz umysł, ale nim nie jesteś, nie pozwól sobą rządzić. To emocje, żądają lub oczekują czegoś od innych. Rozróżnij strach i lęk. Strach może się pojawiać w odpowiedzi na sytuację i szybko wygasa, natomiast lęk jest najczęściej obawą przed czymś, co może, ale nie musi nadejść i sami go dokarmiamy. Rozumiesz teraz, że być z kimś związanym emocjonalnie to nie to samo, co uczuciowo. Nie delektuj się dawną przykrością, bo sam nadajesz jej znaczenie. Bądź dla siebie troskliwym i akceptującym ojcem, a nie gadającym w głowie wewnętrznym krytykiem. Obserwuj krytyka z czułością, wszak sam go stworzyłeś.

Jeśli nie podejmujesz nowych wyzwań w obawie porażki, nie dajesz sobie prawa do przegranej, ale też nie poznasz smaku wygranej. Co się stanie, jeśli się nie uda? A co by było, gdyby się udało? Nie odmawiaj innym pomocy, choćby to było tylko ciepłe słowo, pilnuj, byś nikogo nie upokorzył, ufaj swojej intuicji i nie uszczęśliwaj nikogo na siłę, bo każdy ma prawo iść swoją drogą.

2021

Są ludzie, przy których się kurczysz, unikaj takich ludzi. Nie bądź dla siebie tyranem. Nie zasilaj tej nieudanej przeszłości swoją uwagą. Pamięć dawnych przykrości jest bardzo silnym wirusem i zawłaszcza. Jeśli pozwolisz, przetrwa całe Twoje życie.

Ignoruj powroty wspomnień chwil, które kiedyś uznałeś za trudne, bowiem z perspektywy dorosłego życia już nie są tak przytłaczające, a w autorze Twojego cierpienia zobaczysz ułomnego człowieczka. Czy jest wart, żebyś przez lata myślał o nim z bólem? Całe życie uczymy się miłości, dobroci i szacunku do siebie. Nawet jeśli kiedyś byliśmy mistrzami walkowerów – zmieńmy ustawienia fabryczne skłaniające do autosabotażu i zadbajmy o siebie. Mózg nie lubi wyzwań, bo są wymagające, a on jest nastawiony na oszczędzanie energii. W Twoim wewnętrznym świecie możesz myśleć i mówić co chcesz i ten wewnętrzny dialog wskaże Ci, co powiedzieć głośno. Nie zawsze możesz powiedzieć innym to, co myślisz, ale sobie powinieneś. Dosłowność emocjonalna wobec siebie, ale brak tej dosłowności wobec innych to oszczędność energii. Gniewaj się więc mądrze i krótko. Nie zaśmiecaj swojego wewnętrznego świata.

Zastanów się, czego potrzebujesz, bo nie stanie się nic czego o sobie nie wymyślisz.

Obserwuj, kto Cię doprowadza do stanu, kiedy ciągle się tłumaczysz i unikaj tej osoby. Jesteś wtedy w defensywie, jesteś dzieckiem, ofiarą, którą już być nie musisz. Tylko jako dorosły możesz zarządzać sobą i umiesz poznać, kto jest dzieckiem, z którym negocjować się nie da, bo będzie tupać nóżką lub kopytem.

Każdy śni swój sen sam, ale czasem potrzebuje przewodników.

„Sam sobie z tym poradzę, nie potrzebuję pomocy” – oznacza często – „zawiodłem się na ważnych dla mnie osobach” i jest nieudolnym wołaniem o pomoc.

2022

Życie to entropia, strumień zdarzeń z zaplanowaną pulą energii, który biegnie z punktu A do punktu B. Drogę wybierasz sam. Na tej drodze będą węzły, utrudnienia i przeszkody, kto im nie podola, może wypaść poza margines społeczeństwa. Zawsze należy się spodziewać powtórek nieudanych prób. Przechodzenie przez trudności na bieżąco zwykle niweluje napięcia. Brak problemów na spokojnej linii życia powinien jednak skłonić do wprowadzenia własnych wymagających zadań, bo jeśli stworzy je organizator tej przestrzeni z konieczności rozładowania nagromadzonego potencjału, to może to być to mocne doznanie.

Potraktuj przeszłość jak szkołę. Cały czas spotykasz nauczycieli. Bądź wdzięczny za udzielone lekcje, wyciągaj wnioski i nikim nie pogardzaj. Szanuj wolę i życie swoje, i innych, i nie uszczęśliwiał na siłę. Nie wchodź w konflikty. Wybieraj tak, żebyś nie musiał oceniać. Marek Aureliusz powiedział, że życie człowieka utkane jest z jego myśli. Zatem miej cele i płyn do nich, nie szturchając nikogo wiosłem. Nie dryfuj zgorzkniały i oczekujący, że ktoś pomoże. Dla innych jesteśmy bowiem zwykle niewidzialni, za wyjątkiem tych krótkich chwil, kiedy stajemy im na drodze. To nie znaczy, że są źli, tylko że żyją dla siebie. I pamiętaj, żeby siebie kochać prawdziwie takiego, jakim jesteś, bo jesteś wartościowym człowiekiem i zasługujesz na każde szczęście.

Nasza wartość kryje się w naszych słowach i czynach, i choć ich drogi czasem się rozchodzą, to liczy się wynik ostateczny. Każdym dobrym i złym czynem tworzymy przyszłość. Każdy dobry uczynek, który choć trochę zmienił bieg czyjegoś losu na lepsze, jest czymś więcej niż kroplą w morzu jego życia.

Poczucie bezpieczeństwa to pewność w działaniu

Przed laty, kiedy mój rodzinny dom opustoszał, rzuciłam się w nurt psychologii. Przez lata doświadczeń, w trudnych momentach, mniej lub bardziej wytrwale, praktykowałam wiedzę odnalezioną w książkach Kena Willbera, Berta Hellingera, Izabeli Kopaniuszyn, Davida R. Hawkinsa i wielu innych. Wszystko, co opisałam, sprawdziłam na sobie, jeżeli ktoś dzięki temu, co napisałam, przeżyje łatwiej choć jeden dzień, warto było to napisać.

Jerzy Gronkiewicz

Idę

Idę tam, gdzie mnie nie ma –
parasol gwiazd nad głową mam;
jak zmęczone się to dobra rzeka,
zawiedzie mnie, gdzie ogień trwa.
Idę tam, gdzie mnie nie ma –
przyszłości nie mam w miejscu stać;
tam bory szumią, strumyk śpiewa,
w słonecznej kuli błyszczący ptak.
Idę tam, gdzie mnie nie ma –
człowieka po drodze odgadnę;
wody ze źródła popiję,
zarobię na pajdę chleba,
do siebie na chwilę wpadnę.

Kanikuła

Nie wiem, czy byłem tu snem czy marzeniem,
Nie wiem czy myślą, czy myśli wspomnieniem.
Idąc przed siebie drogą lazurową,
Jak ten wędrowiec nie widzę nikogo.
Z góry oglądam zatoki spokojne,
Podziwiam skały, krystaliczną wodę;
Tam rybak łajbą ciągnie wąż sieci,
By w letniej suszy nakarmić swe dzieci.
Nad tonią ciemną płyną białe mewy,
Tańczą przed sobą, słysząc głośne śpiewy;
A słońce pali oliwne gałązki,
Słup powietrza stoi, płoną jego cząstki.
Żagiel majaczy w oddali nieduży,
To dmuchnie zefir, a droga się dłuży;
Latorośl winna płoży się po skałach,
Będzie jesienią w słońcu dojrzewała.
Na cyplu widzę ciekawe zjawisko,
Dom wedle domu, czyli siebie blisko,
Ceglane dachy, szaro-białe ściany,
To kanikuły obraz malowany...

Ławeczka w Arboretum Wojsławice

Ławeczka w Arboretum Wojsławice pamięta moje wizyty w różnych latach, o różnych porach roku, w różnym czasie. Jest ona taka, jak wiele innych, z naturalnego drewna dębowego, stabilna i masywna; rzekłbym – tradycyjna i nieodbiegająca wiele od ławek w innych parkach, starówkach i rynkach większości miast. Za każdym razem odnajduję w niej kolejne pęknięcia, jakby rysy zmarszczek pojawiających się na mej skroni. Jednak dla mnie jest wyjątkowa, jedyna w swoim rodzaju, gdyż jest otoczona pięknymi, dorodnymi drzewami, orientalnymi krzewami, paprociami, bylinami, wrzosami, kwiatami, które tworzą naturalne piętra, poprzeplatane gustownie dzikim winem, bluszczem w wielu odmianach i innymi ciekawymi pnączami, które otulają ławkę zielenią i plejadą barw kwiatów i liści. Moja ławeczka jest jak łoża w ekskluzywnym teatrze z widokiem na inspirujące i wzniosłe przedstawienie. Widnieje z niej wspaniała perspektywa na wykwintny, dorodny wieniec kwiatów, iglaków, rododendronów, azalii oraz zmieniających się jak w kalejdoskopie kompozycji drzew iglastych i liściastych. Ciągnie się on półokręgiem wyznaczonym przez niedokładne półkole zielonego trawnika z dokładnie przystrzyżoną trawą. Zwykle tak organizuję sobie czas, aby dwukrotnie na niej przysiąść, a właściwie posiedzieć – na początku i pod koniec mojej wędrówki po parku.

Bywałem tam w LECIE, gdy było niezmiernie uroczo, zielono i kolorowo. W stawie pływały i pluskały się złote i kolorowe rybki – zwykle karpie koi, krasnopiórki i karasie, klenie i jesiotry; kłóciły się barwne przekupki – kaczkki krzyżówki, dostojne perkozy płynące zdecydowanie i równo, nadawały rozchodzącym się za nimi falom obraz żaglówki płynącej po spokojnej tafli jeziora. Wyrafinowany kształt i piękno śnieżnobiałych łabędzi podziwiała młodziutka para zakochanych, karmiąc je drobnymi kawałkami obwarzanka. Barwa zieleni tysięcy gatunków drzew, krzewów, paproci, traw, bylin, kwiatów, skalniaków i pnączy była odmienna od tej jasno – jaskrawej zieloności wczesnowiosennej, bardziej stonowana, ciemniejsza, czasami wręcz szarawa, ale przełamana kwitnącymi, tu przecież cały rok, cudnymi okazami flory. Słychać tu było przemożny, kojący brzęk pszczół, os, bąków, trzmieli, szerszeni, trzepot ważek i nachalny, charakterystyczny pisk komarów, zwłaszcza w jarach i wąwozach, gdzie wilgotność powietrza jest zawsze najwyższa. Okresowo rozchodziły się odgłosy kumkających żab. Zewsząd dochodziły do mnie śpiewy i ćwierkanie ptasząt, czasem krzyk bażanta i serie stukotu dzięcioła. Pod rozłożystym bukiem bawiło się stadko wróbli i sikorek, nagle pojawiała się sroka, to znów sójka, które widocznie przylatywały po jakiś smaczny kąsek, a śmiałość do mnie miały mniejszą. Spojrzałem w górę i zobaczyłem zawieszoną w jednym punkcie szarobrazową sylwetkę myszołowa, który trzepocząc skrzydłami, szukał zdobyczy swym sokolim wzrokiem – nie widząc nadziei, po dłuższej chwili odleciał na inne stanowisko. Na czubku potężnego świerka syberyjskiego usiadł nieruchomy kos, któremu zazdrościłem tak wspaniałego punktu widokowego. Raz w raz wzmagający się podmuchami wiatr grał swe melodie drżącymi liśćmi topoli, spajał

się z łkającą muzyką warkoczków płaczących wierzb i brzoź, szumiął swoją monotonna pieśnią pod batutą potężnych konarów jodeł, świerków i sosen. Kosy i drozdy, z większych ptaków najchętniej chyba pokazywały się turystom, nic sobie z nich nie robiąc, podchodziły blisko, licząc na kawałek skórki lub kruszkę chleba; synogarlice gruchając na gałęzi rozłożystego wiązu, wprowadzały sielski klimat, zwłaszcza że słońce było w tym dniu łaskawe i gra promieni przebijających się przez gęste korony stuletnich drzew robiła swoje. Okresowo, pomimo słońca widać było miłe memu sercu jaskółki, zataczające koła, elipsy, a nawet ósemki. Całość wieńczyły mały strumyk, który szemrał cicho, a krople wody spadając z niewielkich kaskad, dopełniały całości kształtu muzyki filharmonii w bajkowym pięknie natury. Sporadycznie, zwłaszcza pod koniec dnia spotykałem nietoperza, który swoimi radarami celnie namierzał większe muchy i ćmy, robiąc zwroty w swoim locie tuż nad moją głową, co wzbudzało we mnie strach, a nawet zagrożenie. Zniewalający zapach traw, ziół, kwiatów, kwitnących krzewów i drzew mieszał się przemyślnie i dobitnie z wielorakim zapachem żywic, grzybów, porostów, próchnicy, zgniłych liści i powalonych drzew. Podsychnięta trawa na jednym z większych skwerów pachniała swoistym zapachem siana, znanym mi z również z innych miejsc. Jednakże obraz milionów kwiatów – narcyzów, irysów, maków, konwalii, azalii, różaneczników, bzów, magnolii, liliowców, kasztanów, glicynii i kalin był już tylko cichym wspomnieniem, przebrzmiałą kartą corocznego wielowiekowego kalendarza parku botanicznego.

JESIEN to jest moja ukochana, sentymentalna pora roku. Cóż może być wspanialszego jak usiąść na mojej ławeczce w Arboretum pod konarami uwielbianych przeze mnie lip, ukochanych kasztanowców, płaczących siwych brzoź i starych, spróchniałych wierzb. Tak więc wtuliłem się w kąć ławki obsypanej różnymi liśćmi, rozgościłem się, a moim oczom przedstawił się bajkowy świat moich rozmazanych pastelowych barw i znanych mi kształtów natury z poprzednich okresów życia parku; na krzewach i drzewach liściastych, nieco już wyłysiałych i mocniej konturowanych oraz wszędzie wokół mnie kipsały, błyszcząły i szeleściły bogate w złoto, purpurę, zieleń i brązy drobne liście brzozy i topoli, palczaste liście kasztanowców, lancetowate buków i grabów, ząbkowane arcydzieła klonów, liście lipy w kształcie serca i pozwijane w trąbki liście wierzby. Siedziałem w skupieniu i ciszy, i czułem się najlepiej i najwspanialej na świecie. Liczyłem wszystkie, które cichutko i delikatnie tańcząc, spadały mi na głowę i nogi, układały się przed moimi oczyma w cudowne arcydzieło malarza przyrody. Lekki wietrzyk bawił się z nimi, tworząc to małe trąby, to wprowadzał je w piruety i wszystkie inne figury taneczne, to znowu gnał je na wprost, mieszając je na wizerunek toczącego się, szemrzącego walca. Dwie rude wiewiórki, okresowo zlewające się z kompozycją liści krzątały się, zbierając dorodne żołędzie i kasztany, była to cała ceremonia, gdyż nie było im bardzo spiesзно, raczej więcej bawiły się i być może pokazywały mi swoje możliwości i urodę, gdyż w tej krainie obfitości ich dziuple z pewnością już były wypełnione po brzegi zapasami na zimę. Dzieci pojedynczo i w gromadkach rzucały się w rozkoszne, lekkie, pachnące jesienią kolorowe pierzyny, przewracały się niegroźnie, obsypywały się złotem, purpurą, miedzią i brązem – zbierały bukiety liści i przechwalały się nawzajem swoim bogactwem. Zrobiłem wiele,

przynajmniej w mojej samoocenie ciekawych i ciepłych fotek. Wstałem goniony czasem, odszedłem kilka kroków, jeszcze spojrzałem wstecz na moją ławeczkę i odszedłem stamtąd znowu na jakiś dłuższy czas – chyba do wiosny, bo w zimie arboretum jest nieczynne.

No tak, ale wreszcie przysza WIOSNA do Wojsławic! Sam środek maja! Najlepszy i najpiękniejszy czas w Arboretum! Coś pięknego, coś niezwykłego, wręcz niemożliwego! Arboretum jest po prostu niebem! Tak niebem! Nie wyobrażam sobie, żeby w niebie było piękniej, lepiej, bardziej malowniczo i sielsko, piękniej pachniało, piękniej śpiewały ptaki, a dotyk kwiatów skąpanych w rosie, kory starych drzew i krzewów był bardziej przyjemny. Miliony milionów buchających liści, pędów, pęków i kwiatów tworzących zapierający dech w piersiach niesamowite kompozycje łączących się, przeplatających się ze sobą kwiatków, pnączy, krzewów, drzewek i monumentalnych stu i więcej letnich buków, grabów, dębów, lip, jodeł, świerków, sosen, cisów, daglezi. Wszystko to jest rewelacyjnie i naturalnie zaplanowane i wkomponowane w park dendrologiczny, którego początki sięgają pierwszych lat dziewiętnastego wieku. W dodatku ukształtowanie terenu położonego na łagodnym wzniesieniu daje nieprzebrane możliwości oglądania i fotografowania tego cuda natury z różnych perspektyw. Tak więc chodzę czystymi i zadbanymi alejkami, drewnianymi mostkami, granitowymi schodami łaknąc wszystkimi zmysłami to, co możliwe i robiąc setki zdjęć, tak aby nie umknęło mi żadne ciekawe ujęcie. Robię także nowe dla mnie eksperymenty fotograficzne, by oglądając później moje ujęcia wyciągnąć konstruktywne wnioski. Jak niespokojny duch latam z aparatem w różne miejsca, pragnąc uwiecznić chwile z perspektywy wielu punktów odniesienia. Kadruję tak, aby zdjęcia były wielopłaszczyznowe, z przednim zwykle nieostrym planem, interesującym obiektem w centrum, ciekawym tłem, a zarazem zwracam uwagę, aby nie było efektu nakładania się motywów. To jest raj dla mnie, ponieważ możliwości są naprawdę przeogromne. Trochę zmęczony dochodzę i siadam na swojej ławeczce, aby wstępnie posortować zdjęcia i zatrzymać się nad widokiem znanej mi z innych pór roku rozpościerającej się przede mną cudownej perspektywy. Tak, to coś wspaniałego, obraz się nie zmienia, ale warto się tak zatrzymać chwilę. W tym miejscu uzmysławiam sobie, jakim jestem szczęśliwym człowiekiem, że to wszystko jest mi dane oglądać, że mogę wciągać w nozdrza upojne zapachy wiosny, słuchać śpiewu przeróżnych ptaków, czuć w rękę prawdziwego drobnego kwiatka, z którego sypie się żółty lub biały pyłek i który jest tak piękny, wonny i tak doskonały, że zawarta jest w nim tajemnica wszechświata. Niestety nagle z amoku i sielanki wyrывa mnie donośny odgłos niewielkiego dzwonu. Gospodarz obiektu stanowczo obwieszcza zakończenie zwiedzania ogrodu.

Spokojny, spełniony i radosny kieruję się ku wyjściu, zostawiając moją ulubioną, ławeczkę stojącą skromnie wśród najpiękniejszych roślin z całego świata, najupojniej pachnących i najmocniej odczuwalnych cudów – krainę Arboretum w Wojsławicach...

Waldemar Hładki

Nadal istnieję

Wynajmuję moje ciało tymczasowo,
z niepoprawną nadzieją
na przetrwanie.
Niestety ubyvam uparcie.
Coraz trudniej w nim mieszkać.
Wchodzić na wzgórza przyjemności.
Dźwigać ciężary dni.
Nosić wodę ze źródła życia.
Nie jestem konserwatorem zabytków.
Nie potrafię naprawiać uszkodzeń
ludzkiego przemijania.
Gdy powracam do mego ciała
z podróży w dobre wspomnienia,
przypomina mi,
że nadal istnieję.

Rzeszów, 12 czerwca 2022 r.

Została mi po tobie laska

Ojcu

Została mi po tobie laska.
Twoja wierna towarzyszka.
Taka zwykła
na fundusz zdrowia.
Ścisłałeś ją po męsku.
Pomagała w każdym kroku.
Wspólne spaceru.
Wspólne zakupy.
Wspólne chwile.
Teraz oczekuje na mnie
oparta o ścianę pokoju.
Planujemy wspólne przechadzki
po nieznanym ścieżkach
do kulejącej przyszłości.

Brodła, 15 lipca 2022 r.

Jeszcze wymyślam fantazmaty marzeń

Ożywić moje skrzydła
przydeptane goryczą.
Znowu uderzyć wiatrem w pióra,
by zapisały nową treść.
Patrzę na moje słowa wymyślone.
Pasą się na papierowej łące.
Posłuszne stada liter
ustawione karnie rzędami
jak żołnierze w szeregach,
co walczą w śmiertelnej bitwie.
Jeszcze chwytam za broń kiedy
watahy demonów obgryzają mnie do kości,
rozrywają charczące gardło
i we krwi tonię mój oddech.

Kraków, 27 lutego 2024 r.

Pytania w kwietniową noc

Leżę odarty ze snu
w chłodzie pełnym niepokoju.
Tak wiele pytań zadaje samotność.
Księżyc znowu nie zdąży dzisiaj.
Daremnie czekam odpowiedzi.
Złowroga cisza
panoszy się męcząco.
Tyle prawd już pochowano.
Były niewierzące,
nie dla nich nadzieja.
Na moim życiu coraz więcej kurzu.
Ta kwietniowa noc taka zmarznięta.
Wtargnęła z łatwością przez drewniane ściany.

Brodła, 29 kwietnia 2023 r.

Kochaj mnie bez lęku

Kochaj mnie bez lęku
o mój ból, trudniejszy oddech
i krok nagle niepewny.
Kochaj bez strachu
w chwilach twego zwątpienia.
W czarnych myślach
o kruchej nadziei.
Kochaj bez warunków wstępnych
za okaleczone życie.

Rzeszów, 29 kwietnia 2022 r.

Bożena Hoffman-Golańska

Refleksja

Posadzona w pociągu powinności z trudem prostuję kark
gnam by wyprzedzić zegar
zrobić zdążyć nie nawalić być na czas
Świat wiruje tlenu coraz mniej
rozpędzone koła wystukują rytm
a ty musisz... ty musisz... ty musisz...

A tymczasem w moim ogrodzie
w porannym słońcu otula mnie zieleń
Pochylone białe główki kwiatów witają żółtym uśmiechem
bose muchy grają w berka
poszum tańczących z wiatrem liści daje tło
by kos dyrygent poprowadził ptasią orkiestrę

Wsluchana w koncert...
nic nie muszę

Prośba

Jeszcze niepewni siebie

One z wiatrem w warkoczach
Oni w przykrótkich spodenkach
ufnie spoglądają w przyszłość
nie szukają winien i ma nie szukają wad

Nieświadomie, układają swój życiowy plan
może to Ich ostatnia beztroska zabawa
Jutro ich złapie zwiąże rozbrykane myśli
zabierze niewinność wmurowe w dorosłość

Obetnie warkocze, wykrochmali białe kołnierzyki
usmaruje ręce codziennym trudem
i w pokruszone marzenia wedrze się
zwątpienie w cel własnej drogi

Lecz gdy upadną podnieś ich Panie
nie pozwól by ztratili siebie
rozpal dawny ogień

Radości w prostocie

*Siedzi Baba na cmentarzu
moczy nogi w kałamarnu
I morele bęc*

Wiosna

Wślizgnęła się przez szparę w spróchniałej ramie
dmuchnęła wiatrem rozmiękłej ziemi
wyrwała z odrętwienia pająki
zastygłe na postrzępionej sieci
bo razem z nią wpadły tłuste muchy
zawirował stary kurz

Otwieram okno
niech będzie jej więcej
niech roznieci zieloność
i wonność kwiatów

Czekałam

jesteś!

Zbigniew (Komandor) Jabłoński

Ksenija

Palce jeszcze krwawią
Chociaż żywe lecz bólu nie czują
Ból to przeszłość
Została wiara
Że jeszcze nie ten czas
Ostateczność
Nie nie i jeszcze raz NIE

Po co dlaczego komu
Ksenia bez sensu wielokrotnie zmywa
Cementową podłogę
Korytarz PUSTY wszyscy odeszli
Fosforowa bomba
Zmieniła w proch dziecko
Miało cztery lata płakało
Cieszyło się bawiło
Z kotem sąsiada
Ale Ksenia wie jej pamięć
Zwisa pod ciężarem wybuchu
Myśl drąży betonowy strop schronu
Dziura przepuszcza deszcz
Sztwywny język mięknie
Pragnienie kruszy spleśniały chleb
Zostać wyjechać gdzie
Przecież nikt nie czeka
Jaki sens trzymać
W rękach mokry MOP

Słyszy śmiech lecącej katuszy
Dźwięk jęczy zmienia ton wibruje
Strach obezwładnia duszę
Ale żyje

Nadija

Zapisuje luźne strony
Kikutem długopisu
Lekko przypalony brzeg
Brulionu buntuje się szelestem
Zasuszonych kartek
To nic że zeszyt w kratkę
Łatwiej utrzymać linię
Jak drużynę na baczność
Kruchość ołówka rozmazała treść
Ale Nadija pamięta

Jej sąsiadka Ola urodziła syna
Cesarskie cięcie przeprowadził
Chirurg w piwnicy
Na szczęście działał generator
Przysłany przez Polaków
Resztki paliwa wystarczyły
Na krzyk nowego życia

Była dokładnie szósta 42
Siódmy dzień ostrzału
Nie rozumiała bała się
Syn musi zobaczyć słońce
Muszę wyjść z piwnicy
W czerni nocy

Spalona ziemia spalone marzenia
Syn napisał że Orki trafili w Teatr
Pod gruzami tysiące ludzi
Oglądali Czechowa
Wiśniowy Sad
Repertuar smutku zapisze afisz

Barbarzyństwo to tylko słowo
Nie ma sensu krzyczeć
Cisza przeraża

W sali koncertowej połowe łóżka
Przykryte gruzami ciał

Olga

Mam suche oczy
Płakać nie umiem i nie chcę
Czteroletnia dziewczynka
Poraniona odłamkami umierała
W głębokim śnie znieczulenia
Szalony Ojciec jęczał Boże
Boże dlaczego nie Ja

Przez wyłamane okno wskoczył kot
Apokalips zamiauczał

On zrozumiał

Kapitan lekarz Siergiej

Kapitan Siergiej był chirurgiem
I fizykoterapeutą
Bywało że operował ale częściej
Naprawiał kręgosłupy manualnie

Wciskał wypadnięte dyski
Umiejętnie masując stwardniałe
Mięśnie które pod jego palcami
Nabierały łagodności atlasu

Napięcie skóry znikало
Gdy wciskając głęboko kciuk
W tylko jemu znany punkt
Likwidował ból przesywający
Od mózgu po palce stóp

Sławna w Polsce aktorka
Zgięta w kabłąk po upadku
Na schodach Teatru Wielkiego
W Warszawie stwierdziła
W telewizyjnym wywiadzie
Że kapitan doktor Siergiej
Przywrócił jej zdrowie
I szkoda że wrócił na Ukrainę

W finałowej scenie Ofelii
Roli jej spełnionych marzeń
Szła dumnie wyprostowana
Pozdrawiając entuzjastycznie
Oklaskując ją widownię
Dwudziestego czwartego lutego
A.D. 2022 rosyjska rakietą zburzyła
Szpital w Mariupolu
Masakrując zespół lekarzy
Kapitan Siergiej kiedy się obudził
Stał w Niebie u Pana Boga
Na Wiecznej Wachcie gotowy
Do naprawy skrzydeł Aniołom
Zranionym na Ziemi przez ludzi

Sanitariusz Daniło

Daniło pracował w polskim szpitalu

W Krakowie jako sanitariusz

Dan El

Etymologia twierdzi że DANIŁO

oznacza

Jesteś pod opieką Boga

Tłumaczyła matka kiedy pytał

Dlaczego nie Siergiej jak chciał Ojciec

To imię oznacza też wierność odwagę

I odpowiedzialność dodała

Kiedy na szpital we Lwowie

Spadł ruski Iskander

Na oddziale Ortopedii po amputacji

Stopy rozerwanej szrapnelem

Leżał Ojciec Daniła

Do trumny złożono Jego Ciało

Wraz ze znalezionym fragmentem

Listu do syna

Daniłko pisał pieszczotliwie

U mnie Wsio Charaszo

Danił dotarł do szpitala we Lwowie

Samochodem Caritasu

Po rozładowaniu darów

Zabrał trumnę do rodzinnego miasta

Awdijiwka

Kolega ze szkolnej ławy wysłał SMSY

Do rodzin w Południowej Ukrainie

Podając dokładną datę godzinę i miejsce

Uroczystości pogrzebowej

Treść przechwyciły ruskie służby

Na kościół spadły dwie rakiety wroga

Danił wraz z matką i kilkudziesięcioma

Mieszkańcami miasta zabrany został

Pod opiekę Boga

Dan EL

Agnieszka Kania

Linia nieba

Kiedy przychodzi starość? Ze zmarszczkami i poplamioną cerą? Obojętnością? *Z uniesień zostało mi uniesienie brwi, ze wzruszeń – wzruszenie ramion* – powiedziałby Jacek Podsiadło. A może starość nie ma nic wspólnego z wyglądem ani odczuwaniem, zaczyna się, gdy młodość drażni i zawadza?

Na obrazie Edwarda Szczapowa młoda naga stoi naprzeciwko staruszki w wełnianej mazelonce z zapaską. Dziewczyna wyłania się z mroku, ciemność ją wynosi, podkreśla smukłość i ładny profil. Ależ bezczelna ta mała! Po co się tak obnosi ze swoją młodością? Czy nie szkoda jej tej starej, której uroda już przeminęła? Lecz to naga wygląda na samotną, bezbronną i zléknioną. Staruszka, choć przygarbiona, ani nie gaśnie, ani nie blednie. Dręczy ją to świeżo rozkwitłe, bezczelnie młode piękno, które chce unieważnić jej niegdysiejszą młodość.

Współczesnym Iranem rządzi starość: silna, zajadła i wściekła. 16 września 2022 roku zabiła młodziutką Mahsę Amini, bo grzywka wymknęła się jej spod chusty. Podczas pogrzebu dziewczyny wybrzmiały słowa „Kobiety, życie, wolność”. Od tej chwili są hasłem tłumów przewalających się przez ulice miast i miasteczek. W kilka miesięcy starość wymordowała pięćset, najczęściej młodych i bardzo młodych osób. Dwadzieścia tysięcy protestujących uwięziła. Więzienie to chudy, jak wylinka siennik rzucony na gołą ziemię, więzienie to miseczka zupy, wyrwanie paznokci, chłosta i polewanie lodowatą wodą ze szlauchu. Więzienie to jutowy wór z głodnymi szczurami. Wrzuca się do niego ludzi wyłapanych na ulicach.

W styczniu tego roku starość powiesiła na szubienicy młodzieńców Mohameda Karami'ego Seyeda Hosseini'ego. Osiemnaastoletni Mehdi Mohammadifard, oskarżony o „prowadzenie wojny przeciwko Bogu”, czeka na stryczek.

Starość ubliża, przeszukuje telefony, przystawia do młodych głów kolby pistoletów. Każde słowo, zdjęcie może znaczyć obrazę Boga, który kazał zszyć kobietę z hidżabem, zabronił jej studiować, nie pozwala śpiewać ani tańczyć. Za to bacznie ob-

serwuje gesty i miny dziewcząt i chłopców, bo każdy uśmiezek może być zachętą do przewrotu, rebelii, obalenia władzy, którą w szeleszczących dłoniach trzymają teokraci.

Z Wieży Wolności (*Bordż-e Azadi*) Teheran wygląda jak sprane, pożółkłe przecieradło. Zbiegasz po dwustu osiemdziesięciu sześciu schodach, skradasz się za facetem w uszance ze sztucznego futra (35 stopni w cieniu!), idziesz w głąb miasta, a tam kolor: różowych szarłatów, złożonych bram, bazarów. I murali. Murale namalowała rewolucja.

Kiedy w 1979 roku rewolucja obaliła Mohammeda Rezę Pahlawiego, strąciła go nie tylko z pawiego tronu, zniszczyła też jego pomniki. Były ich setki, jeśli nie tysiące. Co skwer, co plac tam szachinszach. Lubił, gdy go rzeźbiono. Obsypywał artystów petrodolarami, więc artyści zaludniali kraj szachinszachami. Pomniki zlecali też pochlebcy, wazeliniarze i karierowicze liczący na lukratywne kontrakty. Przygodni partacze strugali dla nich pokraczne figurki bardziej podobne do krasnali niż posągowego Pahlawiego.

Ruhollah al-Musawi al-Chomeini nie zamierzał się gramolić na opuszczone cokoły. Starzec o figurze muminka wspiął się znacznie wyżej, zagarnął gigantyczne ściany wieżowców, szkół, fabryk i przywłaszczył sobie kilometry płotów. Bo Iran to mury, murki i parkany, bariery, przegrody, parawany i ciężkie furty z żelaznymi kołatkami: owalną dla niej i w kształcie ogona dla niego.

Dawni budowniczowie perskich wiosek i miast trzymali się „linii nieba” (*khat-e ásemán*) i chałupki biedaków i przestronne wille kupieckie miały tę samą wysokość. Dachy lepiły się do siebie, można było po nich chodzić jak po dywanach, a przy odrobinie szczęścia podejrzeć dziewczynę, która wieszka pranie lub pluska się, podkasawszy spódnicę, w płytkim basenie na dziedzińcu domu. Bo w świecie upału ogniskiem domowym jest woda.

Teheran zapomniał o „linii nieba”. W XX wieku z niewielkiej mieściny zmienił się w metropolię. Przyjął opuszczających pustynię Persów, zaprosił Azerów, Ormian, Kurdów, Beludżów, Bachtiarów, Asyryjczyków, Tałyszów i Turkmenów. Musieli się gdzieś pomieścić. Północna dzielnica miasta wyrasta z gór Elburs, niemalże dotyka wiecznie białego Damavandu. Legenda mówi, że w zamierzchłych czasach boski Atar zwabił na ten pięćotysięcznik smoka Azhui Dahaka. Wspinali się bez butli z tlenem. Atar był szczupły i wysportowany, a smok? Spasione bydlę, które w dodatku bało się myszy. Zwierz się zmachął, spociał, zakręciło mu się w trzech głowach jednocześnie, zachwiał się i wpadł do krateru. Do dziś usiłuje się wygramolić, ziejże ogniem, bucha dymem, straszy wybuchem wulkanu. Uwolnić go może tylko Atar – według zaratustrian „widzialny i niewidzialny ogień”. Wcale się jednak nie śpieszy. Wiedzą o tym, co bogatsi Irańczycy (*taghuti*) i spokojnie przyklejają swoje rezydencje do stoków Elbursu.

Im dalej na południe miasta, tym więcej kiosków, blaszaków, bud, ruder. I obskurnych bloków mieszkalnych, bez ani jednego okna na wschodnich i zachodnich ścianach. Bo Persowie nie lubią, gdy ich budzi poranne słońce, nie chcą też, by rosnący księżyc zaglądał do ich sypialni. Na gołych ścianach Chomeini dostrzegł olbrzymie płótna. Podobrazia.

Tuż po przewrocie Islamska Republika Iranu ogłosiła kodeks muralisty: *Rewolucyjny mural musi być skuteczny. Nie ma w nim miejsca na dwuznaczność czy aluzje. Powinien się zapisać w pamięci przechodniów.* Artyści chwycili za pędzle. Murale rozlały się po płotach, rozsiały na ścianach drapaczy chmur, sklepów, mostów i wiaduktów. Wtargnęły też na zaprojektowany przez polskiego architekta Władysława Horodeckiego dworzec główny. Gmach zbudowano w latach 30. XX wieku: centralny westybul ze szczelinami drzwi ciągnącymi się przez całą fasadę, symetryczne skrzydła z ciemnymi impastami okien, „linia nieba” podkreślona masywnym gzymsem.

Klasyczną bryłę łamią dziś ogromne portrety brodatych najwyższych przywódców: Chomeiniego i Chameneiego. Wcale im nie zależy na kuszetkach, podróży i rozkładzie jazdy pociągów. Zmarszczyli czoła, zagryźli wargi i zgaszonym, starczym wzrokiem patrzą jeden przez drugiego.

Na teherańskich ścianach są setki, jeśli nie tysiące, ajatollahów: zaturbanieni przemawiają, zagrzewają do walki z monarchią, Irakiem i Ameryką, rozmyślają, tronuja, przewodniczą, oplakują męczenników i dokąś kroczą, uważając, by nie pobrudzić tych swoich długich, ciemnych płaszczy. A nad placem Vanak górował do niedawna Chomeini w kwiatkach; siwobrody (bez turbanu!) wynurzał się z nieba. Niby jakiś Abraham z obrazu Marca Chagalla.

W 2004 roku Chomeiniego wymazał ze ściany Mehdi Ghadyanloo.

Dorastał w miasteczku Karaj, w chatce z mułowych cegieł wypalanych w słońcu. Jego matka i babka przyrosły do podłogi. Tkały dywany. Każda z nich pamiętała inny czas. Koczowniczy. Plemienny. Czas, w którym podłogą był rozległy step *sahar*, czyli suche wzgórza żyłkowane ścieżkami wydeptanymi przez dzikie owce i konie. Zwierzęta skubały szczątki zieleni ze spalonych traw i próbowały zmieścić się w cieniu przelewającym się przez obsypane jurtaami wierzchołki. Bo za chatę wystarczyła kiedyś jurta: trochę patyków, słomiane maty przytroczone do ścianek i koce z filcu rzucone na okrągły szkielet dachu.

Matka i babka wplatały pamięć w dywany, kilimy i gabbehy. Kucając na gęstych sznurkach osnowy, wiazały wełnę, cesały watek metalowym grzebieniem, strzygły wystające nitki i zdmuchiwały strzępki, aż podłoga zmieniła się w obraz, obrosła w karakale, gazele, susły i bułane rumaki achał-tekińskie.

Łobuziak Mehdi skakał tymczasem po dachach (Karaj strzegł swojej „linii nieba”), łowił widelcem żaby i tarmosił bezpańskie psy. Do domu wracał późnym wieczorem.

rem. Matka i babka odklejały się wtedy od podłogi, by na innej podłodze ułożyć martwą naturę: pieczone kabaczki, marynowany czosnek i kalafior opiekany w szafranie. Pewnego dnia w drzwiach ich lepianki stanęła ciotka. Po chustach, naszyjnikach i tunice z miękkiego płótna widać było, że świat ją polubił. Chłopak odruchowo przylgnął do krewnej. Ona podarowała mu kredki i blok rysunkowy. – Narysujesz mnie? Mehdi pochylił się nad kartką, uchwycił wyrazisty profil i bujne, opadające na ramiona włosy. Ciotka kazała posłać urwisa na lekcje plastyki. I wyłożyła na nie pieniądze.

Zamiast pielić arbuzy, jak to robił ojciec, Mehdi zapisał się na wydział sztuki. W 2004 roku w drzwiach uczelnianej pracowni malarskiej stanął burmistrz Teheranu: porządnie skrojony garnitur, wypielęgnowane dłonie. Czuć było wysokie stanowisko, służyło mu ze stu urzędników. Ogłosił konkurs. Na mural! Jeden student zapomniał, drugi się nie przyłożył, trzeci zasnął, czwarty wybrał romans. A Mehdi chwycił za kredki, wysłał 10 rysunków i wygrał. Myślał, że ozdobi murek na przedmieściach miasta. Jakież było jego zdziwienie, kiedy dowiedział się, że ma zamalować Chomeiniego na placu Vanak, z którego rozlała się rewolucja. Czy Mehdi się bał? Okrutnie. Wtedy, podobnie jak dziś, za byle przewinienie można było skończyć w lochu lub na cmentarzu.

W poniedziałek przeraźliwie wiał północny wiatr. Chłopak wdrapał się na rusztowanie i zapaćkał cztery metry krzaczastych brwi Chomeiniego. W akademiku przykucnął na turkmeńskim dywanie i czekał na Korpus Strażników Rewolucji. Myślał, że go wrzucą do worka ze szczurami. We wtorek zamazał tęczówki imama: zieloną, po matce zmarłej na cholere, piwną po dziadku pielgrzymie. I znów nikt nie zapukał do odrapanych drzwi bursy. W środę szerokimi pociągnięciami pędzla wyprasował lwią zmarszczkę i siateczkę bruzd wokół oczu najmłodszego z mędrców. W czwartek zamalował kawał siwej brody. A brodę miał Ajat Allah długą i gęstą. Poszło na nią pięć litrów emulsji. Na pokrycie nosa nie starczyło. W piątek muzulmanie świętowali. Muezini śpiewali azany, kobiety z zawiniętymi twarzami kolebały się przy drzwiach meczetów, a na placu Vanak wydatny nos szydził sobie z Chomeiniego. Co i raz ktoś robił sobie fotkę na tle ściany, co i raz ktoś wytykał nos palcami.

Tego dnia bało się przynajmniej dwóch mężczyzn. W północnej dzielnicy miasta, w willi z trzema basenami trząsał się ze strachu zleceniodawca: burmistrz Mohammed Bagher Ghalibaf. Po co mi były te przeklęte murale! Miałem ciepłą posadę i stu ludzi na usługach! W bursie kulili się zleceniobiorca Mehdi Ghadyanloo. Tuż po mszy (*dżum'ie*) do jego pokoju wpadli strażnicy rewolucji. Wyprowadzili biedaka na ulicę i kopniakami popędzili pod mur. O dziwo, wcale go nie zabili, czuwali, dopóki nos nie zniknął pod grubą warstwą farby.

Mehdi namalował sto olbrzymich murali w Teheranie. Na jednym z nich chłopiec uczeplił się kolorowych balonów i odfrua. Władza zajęta ściganiem dziewcząt, którym chusta zsunęła się z włosów, nie odczytała ilustracji i pozwoliła czmychnąć autorowi z kraju. Teraz w Davos, Bostonie czy Londynie maluje szczelinę w „linii nieba”. Jeśli rysa się rozciągnie, przecisnie się przez nią dwadzieścia tysięcy uwięzionych osób.

Witold Kopec

1 sierpnia

W kraju dalekim rośnie natchnień wzgórze –
Las drzew oliwnych zbocza przyozdobił;
Ogród nad wodą wątlą myśl uzdrowił,
Kiedy rozkwitły w złocie słońca róże.

Obok winnice soczyste i duże –
Owoc słodkości smaki usposobił;
Błękit najczystszy pieśń pokoju wznowił,
Co każe niknąć napotkanej chmurze.

Wieczór sierpniowy o słońca zachodzie:
Szczytów bagnety, ptaków świst stalowy,
W fali nadkrwistej ustał śpiew o wodzie,
W dole mgła szara, górą – blask ogniowy.

W mroku zapomnień – czyż serce nie pęknie?
Czy już przeminął krótki sen o Pięknie?

Sen

Dzień pożegnałem warszawską modlitwą
i myślą wierną jaka będzie Polska

I sen mnie wywiódł tam gdzie Zaleszczyki
by słać pocztówki znad dawnej granicy
tej przedwojennej i przedrozbiorowej

W moim naiwnym złocistym spojrzeniu
brzeg stał się pustym skalnym złomowiskiem
do wód spadają konary zbyt śliskie
rzeka się toczy bez dni i bez celu

I tylko woda ciepła jak przed laty...

Śmiech jakiś inny wokół obca mowa
i owad siada w fałdach przedramienia
jad swój przesącza i larwy swe chowa
gdzie krew pulsuje w zakolach Istnienia.

Rzecz o cnotcie

Cnota – niegdyś sen starożytnych filozofów i pasja średniowiecznych mnichów. Kształtowanie serca i myśli ku większej doskonałości. Platońska *paideia* i arystotelesowska *megalopsychia*. Budowanie społecznego ładu w ramach uniwersalnego *Civitas Dei*.

Dziś – słowo zapomniane o czarnym PR. Sterylne od poczucia. Grzeszące naiwnym spojrzeniem i niezdarkością. Uwięzione w czasie zaprzestłym i przeszłym dokonanym. Osamotnione w wielkim świecie. Budzące politowanie i uśmiech – męski i niewieści. Ostatecznie zdominowane przez nieograniczony przepływ towarów i myśli, wyrażający się w wolności wyboru, swobodzie tworzenia i nieskrępowanej niczym konkurencji.

Niewątpliwie dzięki tym nowym zasadom zmieniło się oblicze współczesnego świata. Ludzkie życie stało się wygodniejsze, bardziej zasobne i funkcjonalne. Człowiek, który ochoczo wstąpił w nowy strumień dziejów, zaczął przekraczać kolejne ograniczenia. I wybierał zawsze to, co – jego zdaniem – najlepsze. Odrzucał przy tym pozostałe pomysły i rozwiązania, bo bez zastrzeżeń wierzył w piękno, które jest siłą i mocą skuteczną. I dlatego w swojej pasji ulepszania rzeczywistości – całkiem szczerze – duchowi przeciwstawił materię, poróżnił zbiorowy obowiązek z osobistą aspiracją, wprowadził rozdźwięk pomiędzy dawnym wspomnieniem, a przyszłą tęsknotą. Szybko cały świat pozyskał, odmienił jego zmurszałe struktury, osiągnął sądzone mu dalekie cele; stracił... cnotę tylko. Cnotę, której na imię Roztropność!

Wizja

Tę samą Roztropność, która przemienia człowiecze myśli w czuły gest dobrej woli. Roztropność wrażliwą na powiew historii i pomną na minione doświadczenia, słyszącą współczesne wołanie i tworzącą z zapałem społeczną wyobraźnię, rozumianą jako współodpowiedzialność i współuczestnictwo odległych idei i postaw.

To właśnie w jej sercu zrodził się uniwersalizm – pogląd łączący całość i część – norwidowski pył i piękno, nadziemską sztukę z praktycznym rzemiosłem; pogląd będący pracą dziejów i epok w łańcuchu pokoleń.

Postawa ta przenikała także życie i twórczość poety pokolenia „apokalipsy spełnionej” Tadeusza Gajcego.

Jedna ze znajomych tak wspominała żywiołowy temperament pisarza:

On kochał ruch, był wysportowany, poruszał się harmonijnie, z wdziękiem. Ten zielonoki, ciemnowłosy chłopiec o wyglądzie cygańskiego grajka uwielbiał tańczyć i, co ciekawe, lubił tańczyć solo. Widzę go, jak wiruje na środku pokoju, wymachując nad głową kolorową apaszką. Pięknie też śpiewał, miał urzekający, dźwięczny głos.

A potem – dodajmy – całkiem niepostrzeżenie rozsiadał się w wygodnym fotelu i myślami podążał ku odległym światom. Przystawał nad krawędzią jawy i spoglądał w otchłań pamięci i miłości. I może to już wtedy ogarniało go przecucie światła uwięzionego w krainie cieni?

Nie miałą odpowiedzialność za owo metafizyczne wzmożenie ponosiła babka Zmarzlikowa. To ona wlała w serce ukochanego wnuka umiłowanie modlitwy, liturgii i żywotów świętych. I ona to troszczyła się, aby młody Tadeusz codziennym bladym świtem podążał do kościoła na pierwszą mszę świętą.

A może przyczyna nadmiernego uduchowienia przyszłego Kolumba leżała jeszcze gdzie indziej?

Pewne światło na to złożone zagadnienie rzuca młodzieńczy wiersz „Wizja”, będący zapowiedzią przyszłych egzystencjalnych, etycznych i estetycznych zmagają poety:

*Dywanem złotych liści przyżegłował Anioł
i dotknął mnie swym cieniem. I nagle przystanął.
Gdym krzyknął przerażony, że boję się śmierci,
złowrogo zalsnił skrzydłem, wzrokiem mnie przewiercił,
odchodząc nic mi nie rzekł, lecz w oczach czytałem:
Niewdzięczny. Już umarłeś, bo cieszysz się ciałem.*

Przed snem

Świat Anioła o niebieskich oczach i świat obok Anioła – a może nawet – pomimo Anioła.

*Są światy dwa i znasz je także:
wystarczy rzęsą oczy przykryć,
a widać tło błękitne, gwiazdę [...].*

Odmienne w swej naturze rzeczywistości: duszy i ciała, konkretności i abstrakcji, biosu i logosu, bytów pospolitych i zdarzeń niezwykłych, w poezji Tadeusza Gajcego istnieją obok siebie. Roztropnie dopełniają się i ubogacają, tworząc – w prawdzie istnienia – postać doskonałą. Poeta, który porusza się dostojnie pomiędzy błękitem a zielenią, co jakiś czas myślą posłuszną niezgrabnie „pod tęczę wysoką wpelza”:

*Po obu stronach mej drogi
milczenia białego strzeż,
abym [...]
[...] wciążyć szedł
nieśmiałej trawy lazurem,
co sen mój i ciało określi
[...]
już wieczny, a ciągle doczesny.*

Tadeusz Gajcy, pisząc te słowa, jest w pełni świadomy swojego przeznaczenia.

Całkiem roztropnie umieszcza jednak drugą stronę istnienia tuż powyżej linii horyzontu, skąd możliwe będzie doświadczanie przejawów życia ziemskiego wszystkimi zmysłami, które cieszą ciało. W wierszu „Temu, który przyjdzie” czytamy:

*Z tamtej strony, gdzie mała kolumna
nieba świeci, u stóp ziemi drętwej
my jesteśmy. Pomyśl: sen i ból nasz
napojony pulsowaniem rzeki,
kwiatów szmerem w powietrzu nietrwałym
słyszysz jeszcze prosty jak organy.*

Owo współlistnienie i zarazem przenikanie świata ziemskiego i nadprzyrodzonego oraz dnia teraźniejszego z czasem przyszłym w imię solidarności pokoleń, obecne jest także w niezwykłym zakończeniu poematu „Do potomnego”. Píše Tadeusz Gajcy:

*Niewiele wiem jak ty zapewne:
idziemy razem patrząc czujnie:
ty – na gwiazdzistym, prostym niebie
szukasz płomienia i mnie w łunie, [...].*

I na pierwszy rzut oka nie wiemy, czy poeta spogląda ku gwiazdom, czy patrzy na nas z góry – już wieczny... a ciągle doczesny!

Roztropność – to również umiejętność spojrzenia z dystansem na otaczający świat, by widzieć dalej i więcej – poznać całe bogactwo uczuć, przeczuć i wzruszeń. W wierszu „Przed snem” poeta odbywa daleką podróż, podczas której dostrzega z perspektywy „piękna” kosmosu „blask wygasły nizinnej naszej gwiazdy” – tworząc serdeczny i sentymentalny obraz ziemi, pogrążonej wciąż w wojennej zawierusze. Zaś widziany z daleka – maleńki jak „pył” – zwęglony dom, staje się niezwykłym miejscem, w którym ludzka godność dojrzewa w pięknie i miłości:

*I zawiruje krągły stół,
i świeca wstąpi w ciemność,
przy której ciosam zgrzebny rym
i kocham cię na przemian.*

Widma

W tradycji nazywano roztropność „woźnicą cnót” (łac. auriga virtutum). „Bez roztropności nie istnieje ani sprawiedliwość, ani męstwo, ani wstrzemięźliwość, ponieważ wszystkie trzy cechy są owocami roztropności” – pisze Josef Pieper. Łączy je upodobanie w pięknie. Zapytajmy zatem, kiedy cnota objawia w całej swej pełni w sztuce, której zasadniczym zagadnieniem egzystencjalnym jest stosunek człowieka do rzeczy i kształtu zastanego świata?

Czy wtedy, gdy człowiek zgadza się na rzeczywistość w imię określonej narracji? Czy wtedy, gdy buntuje się przeciw otoczeniu, depcząc wartości znane od wieków? Czy też wtedy, gdy poszukując trzeciej drogi, w duchu Umiarkowania – przekształca przestrzeń wokół siebie ku lepszej funkcjonalności i zachowuje jednocześnie w sercu swoim słowa niewidzialne? Nie na darmo bohater poematu C.K. Norwida:

*[...] kredą koło zakreślił na stole,
A potem z środka promień wywiódł w kole
I mówił:*

*Środek, który centrum znaczy,
Znaczy i sposób w tym polskim języku [...]*

Owo zderzenie człowieka i rzeczy oraz starcie różniących się idei to znak rozpoznawczy poematu „Widma” Tadeusza Gajcego.

Poeta poszukuje ratunku dla umęczonej wojną ludzkości, gdy w powietrzu warczą skrzydła nietoperzy ogromnych, wiruje w ogniu ziemia, księżyc kolor swój przeistacza, a czarne słońce maleje do wielkości serca człowieka. Gdy kłęska wypełnia cały wszechświat i zarazem mikrokosmos ludzkiej duszy.

Jednym z rozwiązań wydaje się być „wiara intelektualna”, ufająca nadmiernie własnym siłom i mocy pozytywnego myślenia. Wiara przez to nieco zastygła w swoich pojęciach i sądach. Wiara, która dostrzega Boży pierwiastek w toczących się w przyrodzie nieustannych procesach. Poeta jednak traktuje z ironią ów nieco deistyczny model postrzegania świata:

*[...] wielką prawdę znał fryzjer i rzeźnik:
Ten przeżyje na ziemi kto wierzy,
i kto dłoniom własnym zaufa,
kto nie wierzy, nie wypije i nie zje,
a zapłaci mu pustka i cisza.*

Równie satyryczny jest obraz „wiary magicznej”, którą charakteryzują powab i lekkość uczuć i potok rozlewających się emocji, słomiany zapal i zarazem nadmierne przywiązanie do rytuału. Wiary, która zbyt ociera się o dogmatyzm:

*Chłopcy biegli za orszakiem tym,
jak za cygańskim wozem,
chcieli ujrzeć pierścień biskupi, gdzie płyn
cudowny – bo z krwi – bulgotał, [...].*

Poeta, przywiązany do cnoty Umiarowania, proponuje model religijności – opartej na relacji ze Stwórcą i z drugim człowiekiem – która kształtuje się pośród życiowych doświadczeń i która wyraża się przez miłość – pełnię przebaczenia i poświęcenia dla trudnej ojczyzny – tę piękną miłość, która głosem matki nieustannie wzywa:

*Kochaj pocisk z niedobrego kruszcu,
gdy nad włosem ci leci prosty;
niejednego on przecież nauczył
miłości.*

Zasada „złotego środka” przemienia się mocą miłości w ideał „złotego szczytu”, którym jest Męstwo – „zwycięstwo starożytne wiecznie coś warte” (C.K. Norwid). Jest to nade wszystko moralne zwycięstwo nad własną słabością i nad żywiołami tego świata. Dzięki męstwu znika smutek duszy, zniechęcenie i rozpacz. Kształtuje się duchowa wy-

trwałość i stałość, która pobudza ludzką wolę, aby czynić rzeczy wielkie – aby wbrew okolicznościom poszukiwać niezmiennie sensu istnienia i działania. Sensu ponad klęską.

*Kochaj płomień, który niweczy
i twą ziemię przepala jak kładkę
tak się zrodzi pochmurny i męski
bohater.*

Ze złotego szczytu mężnie spoglądają cnotliwi wyznawcy: matka poety, sam Tadeusz Gajcy. Również i oni ukazani są w sposób... nieco groteskowy:

*Zaczęłam skarżyć się, gdy jękiem mózg mój napęłnił jak miedź
szelest nagły: to matka – w sukni huczącej na klęcznik
spadła jak ćma.*

*Dłonie rozwiła jak szarfy, a uśmiech błądliwy był,
gdy dźwiękiem trącała powietrze [...]*

Także i oni mają swoje słabości i wywołują uśmiech życzliwy – wolny od taniego dowcipu i od cierpiętniczego patosu – humor roztropny, który pomaga przetrwać – oswoić ludzką niedoskonałość, usunąć lęk i serca zjednoczyć. Nim oddychają na co dzień „błogosławieni, którzy łakną sprawiedliwości”.

Cnota zaś Sprawiedliwości uzdalnia do poszanowania godności każdej osoby i do wprowadzania międzyludzkiej harmonii opartej na rzeczowym i bezstronnym oglądzie świata. Jest ona miłosiernym i czułym spojrzeniem na człowieka przez pryzmat kruchości ludzkiej natury.

Zaiste: godne to i Sprawiedliwe widzieć każdego z nas w całym bogactwie piękna – gdy norwidowskie „współ-odczuwanie i tożsamość humoru łączą ludzi bez sporu” – stąpającego twardo po ziemi fryzjera, wyznawcę magicznego pierścienia, poetę zbyt wrażliwego i jego nadopiekuńczą matkę...

Na białych kartach

Na białych kartach poezji trwają cnoty cztery wskrzeszone przez uniwersalną myśl o ludzkim istnieniu, która wciąż wierzy w idei i rzeczy przeciwnych splatanie, sen niebieski szczytów złotych i humoru profil serdeczny... Sprawiedliwość, Roztropność, Umiarowanie i Męstwo zanuciły wspólne „Sto lat”... Urodziny Autora... Sto lat minęło. Z wdziękiem tańczy Tadeusz Gajcy. Wokół cztery gracje. Poeta śpiewa, wpatrzony w ich piękność. I – jak przystało na człowieka roztropnego – opuści na chwilę doborowe towarzystwo. Zasiądzie w fotelu głębokim i odda rozmyślaniom... I znów obejmą go czule: poezja przed snem, dotyk gwiazd niedalekich, wizje anioła złotego i widma...

Aldona Kraus

W Gilowie na Roztoczu

Miejsce na końcu świata
od razu sercu tak bliskie.
Roztocze słodkie maliną.
Wzgórz zielona kołysko.

Trawa malachitem dywanu
stopom naszym się ścięła.
Zboża twe, łany rzepaku...
Dajesz Roztocze tak wiele.

Słodkich jak owoc spotkań,
z ludźmi co pod twym niebem
od zawsze szczerze się dzielą
nie tylko najlepszym chlebem,
lecz otwierają przed gośćmi
drzwi swoich domów... tak trzeba.

Zapatrzeni w Chrystusa,
którego Najświętsze Serce
z Gilowskiego kościoła
do nas i świata wciąż szepce:

Nieście stąd ciszę wszędzie,
wzorem serca Mojego
pokorni, święci pracą
dla dobra powszechnego.

Ja błogostawię, a łaska
płynie tak życiodajnym zrodem.
Stąd pokój niech niesie do świata
KOCHANE ROZTOCZE MOJE.

Roztocze, Gilów, 5 lipca 2023 r.

W kościele w Gilowie

Słowa Jutrzni biegły wraz z ptasim świergotem.
Kot pił mleko, my kawę, małą chwilę po tym,
zaledwie kilka kroków, szliśmy do kościoła.

Jezus Sercem gorejącym, cierpliwy, nas wołał
i głos dzwonów, i w drzwiach otwartych kościelny.
Za nim wonna kadzidłem cisza, ciszą rozmodlona.

Msza święta – Jezus, i w Chlebie, i w Winie.
Spowiedź nasza i Komunia z Nim nasza,
i czas dziękczynienia, a z ołtarzy święci
modlili się z nami tak jak my przejęci.

Skąpani w cudnej pogodzie, głodni wracaliśmy.
Wracaliśmy do domu, ucieszeni kotem.
Czekał nas, łasił się i skakał.
Po powitaniach serdecznych śniadanie jadł z nami,
spoglądając na nas tak ciepło bursztynu oczami.

U świętego Antoniego w Radeczniczy

Święty Antoni! Święty Antoni!
By serca mi nie zgubić,
piłam wodę z Twego źródła,
by świat cały lubić,
by cały świat kochać,
popiłam jej więcej
i poczułam jak mi bije
w piersi mocno serce.

Z Twojej krynicy wodę, dla ludzi w potrzebie.
zabieram dla wszystkich i wiozę dla siebie.

Leczyć będzie serca, co grzęzną w strapieniu.
I poczują piękno życia w jego blasku, w cieniu.

Roztocze, Radecznicza, 8 lipca 2023 r.

W Gilowie

Szliśmy w Gilów. Witął nas kwiatami.
Szosa – ulica biegła między prawie stu domami.

W ogrodach i ogródkach, domy i stodoły.
Tylko drób, koty, psy patrzyły zza furtek,
gdy ludzie, jak pszczoły od świtu w malinach,
w sadach, w których wiśnie i czereśnie
domagały się zbioru... My w ciszy Gilowa
smakowaliśmy ją z rozkoszą.
Tego dnia tartak już nie hałasował.
Wczorajsze pnie, któreśmy widzieli,
biały deskami i drzewem pachniało.

Szliśmy w upale od kościoła na górze...
To droga Boga, który w Boże Ciało
od kapliczki do kapliczki, one ołtarzami,
niesiony w procesji jest z Gilowianami.

Przy świętym Antonim był dłuższy przystanek.
Modlitwy pełne próśb. Stąd z nimi chyba bliżej
świętemu do Nieba, więc kładliśmy je na ołtarzyk,
tak wonny liliami, że kichaliśmy...

Naraz nad pobliskim domem,
dym w niebo uleciał. Przez rozbite szyby
wypadały na trawę krzesło, stół w płomieniach
i prysnął spokój senny. Zatętniła ziemia.

Biegli ludzie, porzucając na zew Straży Pożarnej
ten święty czas pracy. Spieszyli ochotnicy, junacy.
Ogień przyjechały gasić cztery straże
i za chwilę już było po strasznym pożarze.

Wracaliśmy syci wrażeń i pełni podziwu,
Tu, gdy ktoś w potrzebie ludzie pędzą z pomocą,
nic nie szczczędząc siebie. Ponad górami znad pól,
nad plantacjami malin, Roztocza całego w zieleni
błogosławił wszystko Pan Bóg. Nowy worek
życzeń świętemu Antoniemu zanosły anioły.
Ludzie wrócili do pracy niczym miodne pszczoły.

Roztocze, Gilów, 17 lipca 2023 r.

Roztocze, moje Roztocze

Rozgrzani maliną, czarni od czereśni
śpiewali zającom wszystkie znane pieśni.

Roztocze moje Roztocze leciało Gilowem,
a malwy z uśmiechem stroiły im głowę.

Rzepy zaczepiali, wączali facelie,
choć pięty obtarli, wędrowali dzielnie.

Barwni barwą kwiatów, po błękit sięgali,
grykom się kłoniли, wiśnie zaczepiali.

Gasili pragnienie, sok wiśniowy chłodził.
Widzieli, jak jeleń w złoto pszenic wchodził.

Opici wiśniami, wpadli w fasolowe tyczki,
ze szczypiorem i koprami toczyli potyczki.

By osłodzić im przegraną, do domu je nieśli.
Ludzie zbiory przerywali, słuchali ich pieśni.

I śmieli się do nich, palcem wytykali,
bo czarni od soku z wyprawy wracali.

Roztocze, Gilów, 13 lipca 2023 r.

Eugeniusz Józef Kucharz

Każdy w sobie nosi tajemnicę

I

Pokój doktora Stefana Lipiarza znajdował się na pierwszym piętrze budynku szpitala w Bolkowie. Urządzony był meblami w różnym stylu, takimi, jakie udało się odszukać w zdewastowanym budynku szpitala w 1945 roku. Mimo upływu lat umeblowanie pokoju się nie zmieniło. Co więcej, wszyscy, łącznie z gospodarzem, tak przyzwyczaili się do wyglądu „kolażu meblowego”, że nikt nie wyobrażał sobie, aby zbieraninę przypadkowych mebli zastąpić meblami w jednolitej formie. Pokój składał się z części laboratoryjnej, w której po lewej stronie od wejścia dominował metalowy stół laboratoryjny i duży mikroskop, a po prawej stały dwie stare ciepłarki, używane do hodowli bakteryjnych. W części biurowej, będącej gabinetem doktora Lipiarza, znajdowało się duże, czarne, ciężkie biurko z obrotowym fotelem. Obrotowy fotel umożliwiał siedzącemu za biurkiem odwrócenie się do tyłu w kierunku podłużnego stołu, przy którym stały dwa czarne wyściełane skórą fotele. Z tyłu pokoju i za fotelami stały trzy duże szafy przepelnione książkami. Każda szafa była inna. Jedna mahoniowa z wybrzuszeniami, druga czarna pasująca wyglądem do biurka i trzecia brązowa, będąca pierwotnie kredensem na porcelanę. W szafach i na szafach pełno było książek, pozornie ułożonych w nieładzie, ale ich układ był przejrzysty dla Stefana Lipiarza, który szybko znajdował potrzebną mu książkę.

Doktor Stefan Lipiarz przyjechał do Bolkowa z Krakowa w lipcu 1945 roku, mając w kieszeni wydany kilka dni wcześniej dyplom lekarza i nakaz podjęcia pracy na Ziemiach Odzyskanych. W czasie studiów rozpoczętych w Warszawie i podczas wojny zajmował się chorobami zakaźnymi i interesował się mikrobiologią. To wystarczyło wobec braku lekarzy, aby objął kierownictwo oddziału jako pełniący obowiązki ordynatora Oddziału Chorób Zakaźnych. Jednocześnie kierował laboratorium szpitalnym. Oddział i laboratorium organizował od początku. Po kilku latach zdał wymagane egzaminy, uzyskał tytuł specjalisty chorób zakaźnych i dalej pracował jako ordynator oddziału, który zatrudniał od początku lat pięćdziesiątych już czterech młodych absolwentów Akademii Medycznej we Wrocławiu.

Stefan Lipiarz mieszkał od przyjazdu do Bolkowa w przydzielonym mu mieszkaniu, znajdującym się w czteropiętrowej kamienicy w pobliżu szpitala. W tym nieuszkodzonym przez działania wojenne budynku kwaterowano polskich pracowników przybywających do miasta. Na każdym piętrze znajdowały się dwa większe mieszkania i jedno mniejsze, tzw. kawalerka, czyli pokój z kuchnią i łazienką. Na drugim piętrze, mniejsze mieszkanie zajmował doktor Lipiarz. Jego sąsiadami była rodzina Chabrzyckich – nauczycieli i dr Sowiński – ordynator oddziału chirurgii z żoną i dwójkiem dzieci.

Doktor Lipiarz nie posiadał rodziny. Dużo czasu spędzał w szpitalu. Przedpołudnia zajmowały mu obowiązki ordynatora oddziału zakaźnego. Po obiedzie, który spożywał w stołówce szpitalnej, udawał się do laboratorium znajdującego się obok gabinetu. Tam oglądał preparaty bakteriologiczne, sprawdzał hodowle i czytał. Trwało to różnie długo. Dwa razy w tygodniu wychodził wcześniej, robiąc po pracy niezbędne zakupy. Jako lekarz był dobrze rozpoznawany w mieście i w zaprzyjaźnionym sklepie czekały na niego odłożone zwykłe produkty spożywcze.

Pierwsze miesiące pracy były dla wszystkich organizujących życie miasta trudne. Ludność Bolkowa składała się z rodzin przesiedlonych ze wschodnich ziem polskich oraz grupy pozostałych sprzed wojny Niemców. Ludność niemiecka to były prawie wyłącznie osoby stare, których nie ewakuowano jako nieprzydatnych do walki, a które nie miały sił, aby same uciekać lub dostać się do niemieckich pociągów ewakuacyjnych. Byli zdani na łaskę, a raczej niełaskę, wojsk radzieckich, niektórych przybyszów ze wschodu, a także organizujących się władz administracyjnych bezwzględnie polonizujących Ziemię Odzyskaną. Nie wolno było używać języka niemieckiego, a przedwojenni mieszkańcy Bolkowa innego języka nie znali. Z wdzięcznością, chociaż w tajemnicy, mówiono o doktorze Lipiarzu, że ze swoimi pacjentami autochtonami prywatnie rozmawiał po niemiecku, oczywiście jak nikt inny tego nie słyszał. Język niemiecki znał dobrze, był mu on pomocny w zgłębianiu literatury fachowej podczas studiów medycznych. W bibliotece, w drugiej, niewidocznej z zewnątrz, warstwie książek zachował kilkanaście niemieckojęzycznych monografii, przede wszystkim bakteriologicznych i epidemiologicznych, które wyszukał wśród masowo wyrzuconych i niszczonej literatury niemieckiej w zdewastowanym szpitalu. W tych czasach w polskim szpitalu nie było właściwe, aby książki niemieckie były widoczne w szafie bibliotecznej lekarza, ale popołudniami, w samotności często sięgał do obszernych monografii, tym bardziej że inne wydawnictwa były niedostępne.

Całe dni pierwszych lat po wojnie wypełniała mu bez reszty nieustanna praca lekarska, połączona z tworzeniem struktur szpitalnych. Szerzyły się zakażenia dudem brzuszным, dudem plamistym, czerwonką i innymi chorobami epidemicznymi. Brak lekarzy sprawił, że zajmował się różnymi przypadkami, lecząc dorosłych i dzieci, trzy razy w tygodniu przyjmował w przyszpitalnym ambulatorium.

Przez pierwsze lata dyrektorem szpitala był dr Franciszek Czerwionka ze Lwowa, doświadczony ortopeda. Pod koniec lat czterdziestych zastąpił go młody aktywista partyjny, przybyły z Poznania, który głosił hasła „socjalistycznej przebu-

dowy służby zdrowia”, ale nie przeszkadzał w pracy dotychczasowym ordynatorom. Oczywiście droktor Lipiarz, tak jak cała kadra szpitala, wysłuchiwał nudnych szkoleń o realizacji planu 6-letniego i wyższości medycyny radzieckiej i stosowaniu tzw. pawłowizmu. Uczestniczył jak wszyscy w akademiach i pochodzie 1-majowym. Nie angażował się politycznie, więcej nie było to wymagane, ale nie był też istotnie prześladowany. Oddział Chorób Zakaźnych nie miał opinii atrakcyjnego lekarskiego miejsca pracy, tak więc pozycja Stefana Lipiarza jako ordynatora nie była zagrożona ze strony nowo przybywających, aktywnych politycznie lekarzy. W latach powojennych ogłosił cztery publikacje wydrukowane w czasopiśmie „Epidemiologia”. Były to opisy zakażeń mało znanymi podtypami bakterii, które zidentyfikował. Po pewnej politycznej odwilży, która nastąpiła kilka lat po śmierci Józefa Stalina, zdecydował się starać o stopień doktora nauk medycznych. Powrócił do Krakowa i przedstawił analizę szczepów bakteryjnych wykrytych u chorych w oddziale w latach 1946-1961. To wystarczyło, aby uzyskać stopień doktora nauk medycznych. Nie było częste, aby w tzw. terenie były prowadzone tak specjalistyczne badania bakteriologiczne.

Stefan Lipiarz nie posiadał rodziny ani krewnych. Nie mówił o tym, ale czasami nachalnie pytany, wyjaśniał, że wszyscy zginęli w Powstaniu Warszawskim. Miał znajomych w Bolkowie, lecz przyjaźnił się tylko z rodziną Chabrzyckich. Państwo Chabrzyccy przyjechali do Bolkowa kilka miesięcy później niż Stefan Lipiarz i otrzymali przydział mieszkania w tym samym domu i na tym samym piętrze. Konstancja i Aleksander Chabrzyccy byli nauczycielami, ale Konstancja przyjechała do Bolkowa z niedawno urodzoną córką Danutą. Towarzyszyła im matka Aleksandra – starsza pani Wiktoria Chabrzycka. Zmarła kilka lat po wojnie. Aleksander uczył matematyki, fizyki oraz angielskiego, a Konstancja po kilku miesiącach opieki nad noworodkiem też rozpoczęła pracę w szkole, ucząc francuskiego i łaciny.

Stefan Lipiarz grywał w szachy z Aleksandrem, a Chabrzyccy zapraszali go czasami w niedzielę na obiad. Mimo przyjaźni unikali mówienia o przeszłości. Lata wojny były zbyt świeże i zbyt bolesne, aby do nich wracać. Danuta – córka Chabrzyckich była zaprzyjaźniona ze Stefanem Lipiarzem. Kiedy zbliżała się do matury, Stefan udzielał jej lekcji biologii. Była zafascynowana mikrobiologią, ale wybrała biochemię, którą studiowała na Uniwersytecie we Wrocławiu.

Kiedy zbliżał się termin obrony doktoratu Stefana Lipiarza, poszedł on do Chabrzyckich, zapraszając ich do Krakowa na uroczystość publicznej obrony doktoratu. Powiedział wtedy znaczące słowa:

– Jesteście dla mnie jak rodzina, a najbliższa rodzina zwykle uczestniczy w publicznej obronie doktoratu. Dlatego nie tyle was zapraszam, ile serdecznie proszę o tę obecność, tak ważną dla mnie. Było to wypowiedzenie prawdy, którą wszyscy intuicyjnie wyczuwali. Lipiarz i Chabrzyccy mimo braku więzów krwi tworzyli rodzinę.

Obrona doktoratu przebiegła bardzo dobrze i razem szczęśliwi wrócili do Bolkowa. Stefan Lipiarz wszedł do swojego mieszkania. Emocje i napięcie nerwowe, jakie niewątpliwie towarzyszyły obronie, już minęły. Poczł zmęczenie. Tak jak za dawnych,

studenckich lat, po ciężkich egzaminach czuł ból kolan. Nikt nie wie, dlaczego tak jest, mimo iż to jest dość powszechny objaw występujący po przeżytym stresującym wydarzeniu. Usiadł przy oknie, z wdzięcznością wrócił myślami do obecności Chabrzyckich podczas obrony. Przed oczyma miał wspomnienie uśmiechniętej twarzy Danusi. Wiedział, że nie może tak myśleć, ale czasami spoglądał na nią jak na swoją córkę.

– A jednak los nie zabrał mi wszystkiego – powiedział sam do siebie, po czym zmęczony natychmiast zasnął w ubraniu na łóżku.

II

Popołudniami doktor Lipiarz nie tylko pracował, lubił czytać i dużo czytał, przesiadując godzinami w swoim pokoju w szpitalu. Nie czytał tylko literatury fachowej, lubił dzieła filozoficzne. W swoich przepastnych szafach miał dość dużo rozpraw filozoficznych, większość z nich czytał po niemiecku. Czytał wielkich filozofów, uważnie analizując słowa Immanuela Kanta, czy Arthura Schopenhauera. Tego ostatniego zdanie mówiące o wartości prawdy i w pierwszych słowach przypominające aforyzm Hippokratesa, powtarzał sobie jako ulubioną maksymę. Brzmiała ona tak: *Das Leben ist kurz und die Wahrheit wirkt ferne und lebt lange: sagen wir die Wahrheit* (Życie jest krótkie, a prawda działa daleko i żyje długo: mówmy prawdę).

Z uwagą czytał wielkich filozofów, lecz szczególnie często wracał do nieco dziwnej małej książki. Był to przekład z języka angielskiego, wydany po niemiecku jeszcze w XIX wieku w Berlinie. Autorem był mało znany filozof angielski, William Melwood, który napisał rozprawę o naturze dobra i zła. Było to studium odmienne od większości „klasycznych” dzieł filozoficznych. Melwood, mimo iż uznał, oczywiście prawdę, że dobro i zło, nie są tworam materialnymi, przyjął, że zajmują jakąś część naszej rzeczywistości i są stworzone ze „specyficznej” materii. Zgodnie z jego wywodem dobro lub zło powstaje i trwa dalej niezależnie od twórcy. Mimo przeciwnego charakteru dobro i zło nie oddziałują na siebie, nie ma więc jakiegos neutralizowania zła przez dobro, czyli reakcji typu „zasada i kwas”. Dalej autor uważał, że są osoby, które mogą „widzieć” nagromadzone dobro i zło, świecące w ich wizjach niebieskim kolorem – dobro lub czerwonym – zło. Mimo niematerialnego charakteru istnieje miara dobra i zła, tak, więc może powstawać go więcej lub mniej. Oczywiście takie rozważania nasuwają wiele pytań. Począwszy od tego, co jest dobrem a co złem. Melwood tłumaczy to prosto. Jeżeli dobro lub zło jest tworem człowieka, to jedyną miarę jest jego intencja. Podaje wiele przykładów. Pomagający z obowiązku lub nakazu urzędu, tworzy mniej dobra niż czyniący dobro z własnej woli jego czynienia lub czystej chęci niesienia pomocy drugiemu. Podobnie zło, tylko intencjonalne, zamierzone i świadomie czynione jest złem. Jeżeli dobro lub częściej zło nie jest wytworem człowieka, jak ma to miejsce w przypadku cierpienia, wywołanego chorobą lub wypadkiem, to jego miarą jest odczuwanie go przez cierpiącego. Zgodnie z tym poglądem także słońce lub deszcz może przynosić dobro, mierzone odczuciem odbierającego, przykładowo rolnika uprawiającego ziemię. I wreszcie dobro i zło nie trwa wiecznie, z czasem zanika, znikając ze świadomości zbiorowej.

W jednych przypadkach dochodzi do tego szybko, czasami trwa to długo, bo zastało zapisane w historycznej pamięci. Ten prosty, nieco bajkowy opis, Stefan Lipiarz czytał, uświadamiając sobie, że William Melwood pisał swoje rozważania nie wiedząc, że następny wiek przyniesie dwie krwawe, straszne wojny. I chociaż Stefan Lipiarz nie był mistykiem, to próbował sobie wyobrazić światła zła i dobra, jakie mogły być widoczne nad Warszawą w czasie wojny. Nie wątpił, że dominowało światło czerwone, chociaż nie raz zastanawiał się, czy właśnie cierpienie nie jest głównym impulsem wywoływania dobra. Dopuszczał więc i dodatek światła niebieskiego. Jest bowiem dobro płynące z natury człowieka, takie jak miłość matki do dziecka. Ale poza tym immanentnym naturze człowieka dobrem, większość dobrych działań to po prostu życzliwość. Dopiero spotkanie z tragedią, mniejszą lub większą, może zapoczątkować ekspresję dobra. Dajemy jałmużnę dopiero, jak uświadomimy sobie, że proszący o nią jest głodny. Nie ratujemy kąpiącego się w rzece, ale dopiero w niej tonącego. I druga refleksja, jaka przychodziła Stefanowi do głowy. Czy machina wojny może tak zmienić żołnierza, że przestaje być człowiekiem i przedstawiciel innego narodu przestaje być odbierany przez niego jako człowiek? Czy to możliwe, że niemieccy lekarze eksperymentowali na ludziach, którzy dla nich byli mniej ważni niż zwierzęta doświadczalne? Z drugiej strony wszechobecne fakty mówiły coś innego. Czy można być aż tak prymitywnym żołdakiem, że po roku lub dwóch obcowania ze śmiercią, strzela się dla zabawy do dzieci wrogiego narodu lub gwałci napotkane dziewczyny, a potem podrzyna się gardło zgwałconej kobiecie? Czytał kilka razy rozprawę Melwooda i za każdym razem uświadamiał sobie, że nie łatwo lub nawet nie można w ludzkich kategoriach wytłumaczyć zła. Wierzył jednak, że wszechświat jest uporządkowany i działa opierając się na dobrych mechanizmach, niestety wykraczających poza możliwości poznania przez człowieka. Tym samym nie odrzucał, że zło może mieć jakiś sens. Chociaż tak po ludzku, to tak trudno zrozumieć i zaakceptować.

III

Nieszczęście spadło, jak zawsze, niespodziewanie. Danusia była studentką drugiego roku, kiedy u jej mamy Konstancji Chabrzyckiej wykryto, niestety, zaawansowanego raka trzonu macicy. Mimo wysiłków ginekologów i onkologów choroba postępowała bardzo szybko i Konstancja zmarła po kilku miesiącach. Stefan Lipiarz jako lekarz użył wszystkich swoich kontaktów, aby Konstancja miała zapewnioną opiekę i pomoc fachową na najwyższym możliwym poziomie. To mu się udało. Trudniej było mu rozmawiać z Aleksandrem i Danusią. Był sprawnym organizatorem pomocy dla Konstancji, ale był bezsilny wobec strasznej prawdy. Starał się być blisko, ale nie być nachalnym. Za bezsensowne uważał też jakieś pocieszenie. Prawda o zbliżającej się, a potem dokonanej śmierci Konstancji przerastała jego emocje, a racjonalnie była trudna do pojęcia. Aleksander był zagubiony, ale wielką pomoc okazała mu Danusia. Mimo smutku z powodu śmierci matki umiała podjąć się trudu ogarnięcia domu. Nie chodziło oczywiście tylko o sprawy codzienne, takie jak zakupy czy przygotowanie posiłków. Ona rozumiała, że teraz jest odpowiedzialną panią

domu, która musi dbać o dom, a przede wszystkim o ojca, którzy dawno temu stracił matkę, a teraz utracił żonę. To przeświadczenie dodawało Danusi sił. Studiując we Wrocławiu, starała się przyjeżdżać często, prawie codziennie telefonowała do ojca, a także do Stefana, aby uzyskać „opinię z boku” o stanie ojca. Można było być zaskoczonym, że ta drobna, wychowana w dbającym domu, młoda dziewczyna ma aż tyle dojrzałego rozeznania i sił, aby zadbać o ojca i dom po śmierci matki.

Stefan zapraszał Aleksandra do siebie. Siedzieli w kawalerce przy kawie. Nie grywali w szachy. Z jednej strony nie umieli się skupić nad szachownicą, a z drugiej strony rozrywka, jaką jest gra, wydawała im się niestosowna w tej smutnej chwili. Rozmawiali o obojętnych tematach, o śmierci, o sytuacji politycznej. Oboje intuicyjnie wyczuwali, że jest to sztuczne zagłuszanie rozmową smutku, który ich przepełnia.

Stefan wiedział, że smutku nie da się po prostu odsunąć, ale uświadomił sobie, że jeżeli ukaże drugiej osobie swoją tragedię, to w jakimś sensie może to załagodzić odczuwanie smutku. Chęć podzielenia się prawdą o swoich losach z Aleksandrem powracała od czasu do czasu w jego myślach. Teraz była dogodna ku temu okazja. Kiedy w kolejne popołudnie zasiadli przy kawie, Stefan rozpoczął:

– Wiesz Olek, muszę Ci opowiedzieć o moich dziejach. Tak naprawdę to nie nazywam się Stefan Lipiarz a Shloma Lindenman. Jestem synem warszawskiego neurologa. Mieszkaliśmy w centrum miasta i czuliśmy się Polakami. Ukończyłem polskie gimnazjum. Mówię o tym, bo bardzo zabolalo mnie getto ławkowe, które spotkałem na studiach. Ożeniłem się ze studentką medycyny. W 1937 roku urodziła się nam córka. Kiedy wybuchła wojna do uzyskania dyplomu brakowało mi kilka miesięcy studiów. Trafiłem do getta, razem ze mną wypędzono tam mojego ojca i matkę, młodszą siostrę, żonę i ukochane małżeństwo. Tam było niewyobrażalnie tragicznie. Pracowałem jako lekarz mimo nieukończonych studiów. Nie trwało to długo. Pewnego dnia, po powrocie do domu zobaczyłem, że Niemcy zabili wszystkich mieszkańców kamienicy, w której mieszkaliśmy. W jednej chwili uświadomiłem sobie, że straciłem wszystkich bliskich. Chciałem umrzeć. Mimo tej chęci nie umiałem zażyć trucizny czy odkręcić kurek gazowy. Podświadomie chciałem, aby ktoś przystawił mi lufę karabinu do głowy i nacisnął spust. W tym samym dniu nadarzyła się okazja wyjścia z getta na podstawie sfałszowanej przepustki. Byłem pewny, że wykryją fałszerstwo i mnie zabiją. Rano o piątej stanąłem w kolumnie wychodzących do pracy poza mury getta. Los chciał inaczej. Wyszedłem, lekarze – przyjaciele ojca pomogli mi przeżyć. Dożyłem końca wojny. Aby poradzić sobie z emocjami, postanowiłem „narodzić się na nowo”. Studia dokończyłem w Krakowie, Warszawa praktycznie nie istniała jako miasto. Zmieniłem nazwisko, a właściwie przetłumaczyłem je w polski. Nie chciałem, aby brzmiało zbyt szlachecko „Lipski” stąd moje nazwisko „Lipiarz”. Doostałem nakaz pracy i trafiłem tutaj do Bolkowa. Ku własnemu zaskoczeniu odkryłem w sobie dużo życzliwości dla starszych Niemców, którzy pozostali w tym małym mieście. To nie byli ci Niemcy, których pamiętałem z getta, albo przynajmniej wyglądali i zachowywali się tak całkiem inaczej. Jak wiesz, pomagałem im jako lekarz, chociaż

musiałem to ukrywać. Takie poplątane losy świata: Żyd pomaga Niemcom tuż po zakończonej wojnie. Potem kontynuował:

– Mimo mojej samotności los uśmiechnął się do mnie. Spotkałem was i chociaż trochę odzyskałem rodzinę. Wiesz mi, straciłeś żonę, ale ja czuję, że odeszła moja bliska kuzynka.

Stefan zamilkł. Aleksander spojrzął i powiedział:

– Dziękuję za ogromną szczerość. Wiesz, że jak mówiła moja matka, każdy nosi swój krzyż. Twoja wypowiedź jest ważna dla mnie, dla moich emocji. Czasami podejrzewaliśmy ciebie o jakąś tragedię wojenną. Wiesz, każdy w sobie nosi jakąś tajemnicę.

IV

Aleksander Chabrzycki wrócił do pracy w szkole. Popołudniami udzielał korepetycji z fizyki. Życie sąsiadów ustabilizowało się, chociaż już nie było takie same jak wtedy, gdy żyła Konstancja. Danuta ukończyła studia. Początkowo planowała, pozostanie na uczelni we Wrocławiu i zajęcie się pracą naukową. Zrezygnowała jednak z tych planów, chyba pod wpływem nieudanej miłości do kolegi ze studiów. Wróciła do Bolkowa. Stefan Lipiarz z radością oddał jej kierowanie laboratorium i pozostał jedynie ordynatorem. Wycofał się całkowicie ze spraw laboratoryjnych. Miał słuszną zasadę, że z pracy można odejść tylko całkowicie. Stary i nowy szef nie mogą działać wspólnie. Dlatego nie dowiadywał się nawet o decyzjach i zmianach, jakie Danuta wprowadzała w laboratorium. Chemia kliniczna zmieniła się przez lata. To było już inne laboratorium niż to, które tworzył od początku w 1945 roku. Był wdzięczny, że pozwoliła mu zachować jego pokój, który był jak gdyby jego domem, może nawet bardziej niż jego kawalerka w sąsiedztwie Chabrzyckich.

Był lipiec 1971 roku. Ciepłe popołudnie trochę rozleniwiało. Stefan Lipiarz w swoim pokoju czytał „Przegląd Lekarski”, kiedy do pokoju weszła zapłakana Danuta.

– Co się stało? – zapytał zaskoczony.

– Oznaczałam grupę krwi mojego ojca, wiesz, idzie na operację prostaty i wychodzi mi, że nie jest moim ojcem – powiedziała szybko przez łzy.

Nie wiedział, co odpowiedzieć, to co mu się nasunęło to jakiś niesprecyzowany błąd laboratoryjny.

– Mogą być we krwi jakieś nieswoiste autoaglutyniny? – zapytał.

– Nie, nie – prawie krzyknęła Danuta. – Wszystko dobrze sprawdziłam. Też tak myślałam na początku.

Stefan trochę się opamiętał. Spokojnie powiedział:

– Czy uważasz, że zlepianie się erytrocytów może być ważniejsze, niż twoje odczucie kto jest twoim ojcem?

– Popatrzyła na niego załzawionymi oczyma i powiedziała:

– Ale prawda biologiczna jest tylko jedna.

– Porozmawiajmy z Olkiem.

– Zaraz tutaj przyjdzie, dzwoniłam już do taty – zakończyła Danusia.

Czekali w milczeniu. Każdy z nich układał sobie w głowie możliwe scenariusze dalszej rozmowy i rozwiązania sytuacji. Zaden z nich, ani u Danusi, ani u Stefana nie był dobry. To była upiorna zagadka i nikt nie wiedział, na ile była laboratoryjna, biologiczna czy dotycząca ludzkich losów.

Olek przyszedł, nie wiedząc o co chodzi. Można przypuszczać, że bał się trochę o swoje zdrowie. Tak jak każdy człowiek przed operacją chirurgiczną obawiał się, że wykryto w wynikach badań laboratoryjnych coś, co zagraża jego życiu i wzywając go nagle do szpitala, chcą mu o tym powiedzieć. Wszedł do pokoju nieco zdenerwowany.

– Siadaj Olek ... – powiedział Stefan i chciał dokończyć zdanie, ale Danusia nie wytrzymała i rzuciła:

– Z oznaczenia twojej grupy krwi wychodzi, że nie jesteś moim ojcem.

– Aleksander westchnął. Z jednej strony, czego nie ujawnił, odczuł ulgę, że nie jest to wiadomość o wykrytym w jego organizmie złośliwym nowotworze, a z drugiej strony uświadomił sobie, że jak trudną sprawą przyjdzie mu się zmierzyć. Raz jeszcze westchnął, nabrał powietrza i powiedział:

– Myślałem, miałem nadzieję, że umrę z tą tajemnicą. To wielka tragedia nas wszystkich, przede wszystkim Twojej matki, ale także i mojej matki oraz mnie. Chcieliśmy uchronić ciebie od tej tragedii. Stało się inaczej – Aleksander westchnął i mówił dalej:

– W 1944 roku uciekaliśmy do Polski, kiedy Rosjanie zajmowali polskie ziemie wschodnie i włączali je do Związku Radzieckiego. Twoja matka była moją guwernantką. Uczyła mnie francuskiego i niemieckiego. Po śmierci mojego ojca została z nami jako zarządzająca majątkiem i pomagająca matce. Moje studia przerwała wojna. Ukrywaliśmy się, bowiem jako ziemianom groziła nam śmierć lub w najlepszym razie wywóz na Syberię. Uciekając ze wschodu, zatrzymaliśmy się we wsi Borowa, w okolicach Mielca. Duża część wsi spłonęła. Do ocalałego domu, znajdującego się pod lasem, weszli Rosjanie. Dowódca małego oddziału kazał pokazać mi ręce. Nie miały dostatecznych śladów ciężkiej pracy fizycznej. To wystarczyło.

– Wy burzuj – powiedział i dodał z uśmiechem – roztlelajem.

Słyszając ten szybko wydany na mnie wyrok śmierci, Konstancja rzuciła się z płaczem do stóp radzieckiego dowódcy. Uśmiechał się i powiedział, że ją bierze za mnie. Faktycznie mogłem odejść. Zza szyby małego domu razem z matką patrzyliśmy z trwogą, czy rozstrzela Konstancję. On kazał się jej rozebrać i nagą wrzucił do małej szopki stojącej na podwórzu. Każdy z żołnierzy, którzy chcieli zgwałcić Konstancję, musiał komandorowi zapłacić flaszką wódki.

Patrzyliśmy na podwórze i drzwi szopki, w której była Konstancja, z niemym przerażeniem. Moja matka cicho się modliła. Mogę przypuszczać, iż dziękowała Bogu za moje ocalenie i prosiła o łaskę dla twojej matki. Mnie bezgłośnie płynęły łzy z oczu. Mogłem domyślać się, że twoja matka kochała się we mnie. Jako guwernantka nie mogła przed wojną liczyć na małżeństwo, ale też nie było między nami nawet delikatnej deklaracji uczuć. Mnie się podobała jej autentyczność i prawdziwa

dobroć. Nie mogę też ukryć, że była atrakcyjną kobietą i nawet wojna nie zabrała jej tego uroku. Długo nosiła dziewczęcy warkocz.

Z przestarchem patrzyliśmy na kolejnych żołdaków wchodzących do szopy. Przychodzili tak aż do nocy. Koło północy, matka zobaczyła przez okno, że komandir wyciągnął na podwórze bezwładną Konstancję, brudną i zakrwawioną. Myślał, że nie żyje i zostawił ją leżącą na podwórzu. Jak tylko odszedł, matka przyniosła zemdloną, jak się okazało, Konstancję do domu. Mnie nie pozwoliła wyjść na podwórze. Razem z dwiema znajomymi, które z nami wędrowały do nowej Polski, umyła Konstancję i położyła do łóżka. Jeszcze tej nocy udało się sprowadzić lekarza, też przesiedleńca ze Lwowa. Opatrzył Konstancję. Miała rozległe urazy krocza i była pobita.

– Jeżeli nie ma urazów narządów wewnętrznych, to przeżyje – Taką opinię wydał doktor. Jeszcze w nocy zaczęła odzyskiwać przytomność. Przeżyła. Stan zdrowia Konstancji stopniowo się poprawiał. Ja ukrywałem się w domu. Po dwóch tygodniach poszliśmy piechotą, z Konstancją leżącą na wozie zaprzężonym w jednego konia, do Krakowa. Przewóz Konstancji na wozie kosztował moją mamę złotą bransoletę, ale dała ją bez wahania z nieustanną wdzięcznością dla Konstancji za uratowanie mi życia.

W Krakowie mieliśmy dalszych krewnych. Zaopiekowali się nami, a Konstancja powracała do zdrowia. Kiedy okazało się, że jest w ciąży, od razy jej się oświadczyłem. Zdecydowanie nie chciała, abym wziął ją za żonę z honorowego obowiązku. Ja już wtedy nie miałem wątpliwości, że ją szczerze bardzo kocham, co więcej wiedziałem, że kochałem się w niej już dużo wcześniej przez tragicznymi wydarzeniami, które rozegrały się w Borowej. Brzmi to może niewiarygodnie, ale po latach jestem o tym przekonany. Pobraliśmy się w Krakowie, a krótko po twoim urodzeniu wyjechaliśmy do Bolkowa.

Aleksander przestał mówić. Wszyscy zamilkli. Danusia przez dłuższą chwilę wydawała się nieobecna. Nie płakała i jej oczy patrzyły gdzieś w dal. Nagle wstała i powiedziała, kierując słowa, przede wszystkim, do Aleksandra:

– Pójdziemy już do domu.

Stefan nic nie mówił. Wstał i podał rękę Aleksandrowi. A po chwili dodał:

– Przypominam sobie, jak powiedziałeś:

– Każdy nosi w sobie jakąś tajemnicę. Uwierz mi przyjacielu, jak bardzo jesteście dla mnie drodzy – powiedział jeszcze na pożegnanie.

Danusia bez słowa podała rękę Stefanowi. Razem z Aleksandrem wyszli z pokoju.

Przed budynkiem szpitala, na placu rozciągał się widok na niedalekie góry. Powoli zbliżał się zachód słońca. Danusia stanęła obok Aleksandra i nagle powiedziała:

– Jakie ładne są tego góry, prawda tato.

– Powiedziała to tylko dlatego, aby użyć słowo „tato”. Olek zrozumiał od razu.

Stanął na wprost córki i objęli się w szczerym gorącym uścisku. Nic nie mówili. Idąc w milczeniu, na myśl przyszedł mu fragment Ewangelii św. Jana „poznacie prawdę, a prawda was wyzwoli”. I chociaż interpretacja teologiczna tej myśli jest bardzo złożona, Aleksander mimo ogromu przeżyć kończącego się dnia, czuł się wolny od ciężaru tajemnicy, którą nosił w sobie.

Zbigniew A. Łobodziński

Diabelskie wynalazki

zło przychodzi samo
żał za nie
nie zawsze
wszystkie słowa
i czyny odkryte –
dla pana ciemności
nie ma tajemnic
w tym świecie
jego
algorytm wyławia
pragnienia
cokolwiek wypowiesz
cokolwiek zrobisz
przetwarza i zbiera
nie łudź się
rządzi sieć pieniędzy
i zło
tutaj
czego nie okażesz
słowem gestem
albo dobrą wolą –
sekret twój
tylko
Bóg jeden
zna

Marzec 2022 r.

Aniele Boży

nie odchodź
ze spuszczoną
aureolą zwątpienia
nie zostawiaj
mi skrzydeł
bo latać bez ciebie
nie potrafię
czekam
aż zajmiesz się
opuszkami
moich pragnień
zamkniętych
za bramą czasu
gdzie nawet
zmarszczone czoło
nie sięga
czekam
aż przygarniesz
myśli
niespokojne
błąkające się
ukradkiem
między ciałem
a duszą
samotnią
utul smutek
skołatany
na ramionach
ciepłym gestem
pojednania
tego co było
i będzie
jutro
ponieś
na rozpiętość
silnych skrzydeł
spełnienia
do krainy
miłości
gdzie umierają
ludzkie
tęsknoty

Marzec 2011 r.

Erotyk

(Biały sonet)

Dla najukochańszej N.

ze spojrzeń z pożądań niecierpliwość pieszczoty
rozdygotać w skrzydeł parę jaskółczej swawoli –
bez pamięci móc zaplątywać się w twój oddech
niby zapach włosów chłonać całą siebie – sobą
i jak poziomki dojrzałe pocałunków stosy rwać
zachłannie móc w ogniu pragnących się nawzajem
warg a dotyku rojem pół na pół bosym i czułym
rozczesywać móc Twe lubo znajome palce dłoni –
aby w ciepłe gniazda Twoich nagich całkiem ramion
stać się gwałtowną strugą zwalistym wodospadem
co niebem podniebiem co ponad ziemią sunie wartko
potem na rzęs drabinkach czterech miękkie runo
ciszy nocy unieść ku bardzo miodnym lipcowo snom –
jak zielonego świerszcza w serca leże nieostudzone

Lipiec 2019 r.

Lato odchodzi

jest już tylko wspomnieniem
ze ściernisk po zmierzchu unosi się mgła
odleciały już żurawie
w słomianych stogach
przegląda się słońce
w kropli rosy
jak perła błyszczy srebrna pajęczyna
ganiają za sobą rozwścieczone osy
następuje pora miodobrania
jesień snuje szale babiego lata
otula wspomnienia
bujnej zieleni
na skrzydłach ptaków cierpki smak dymu wieczornych ognisk
i zapachu siana
a góry spokojne i świetliste
przy słonecznikach
wyniosłych
za oknem

Wrzesień 2018 r.

Witold Malinowski

Powitanie Nowego Roku na Wyspie Wielkanocnej

Wyspa Wielkanocna (hiszp. Isla de Pascua, Territorio Especial de Isla de Pascua, polinez. Rapa Nui, ang. Easter Island, miejscowi zwali ją Te Pito o Te Henua – Pępek Ziemi), to niewielki, prawie trójkątny wulkaniczny skrawek ziemi o powierzchni zaledwie 180 km² (12 x 18 x 24 km.), położony na południowym Oceanie Spokojnym. Jest to najodleglejsze zamieszkałe miejsce na ziemi. Znajduje się w odległości 2078 km od najbliższej zamieszkałej wyspy – Pitcairn i 3600 km od brzegów Chile. Panuje tu klimat subtropikalny, ale jeśli wyeliminuje się kwestię wiatru, to klimat jest bliski doskonałości. Właśnie tę wyspę wybraliśmy na powitanie Nowego Roku 2019. Witaliśmy go trzykrotnie. Po raz pierwszy o godz. 18.00, kiedy zgodnie z czasem polskim minęła godz. 24.00. Powitaliśmy go szampanem na brzegu oceanu na tle słynnych wielkich kamiennych posągów zwanych Moai. Drugie powitanie odbyło się o godz. 22.00 według czasu chilijskiego, a trzecie o 24.00 według miejscowego.

Nikt nie przybywa na Wyspę Wielkanocną przez przypadek. Marzyliśmy o tym od dawna. Dlatego podczas naszej wyprawy do Chile postanowiliśmy z przyjaciółmi zrobić sobie czterodniowy odpoczynek na Rapa Nui i spędzić tam Sylwestra. Nie żałujemy tej decyzji. Ponad 5-godzinny lot z Santiago chilijskimi liniami LATAM, jedynymi, które obsługują tę trasę, w pełni się opłacił. Odwiedzenie odległego skrawka ziemi, jeszcze nie w pełni cywilizowanego, posiadającego wyjątkową przeszłość, której fragmenty są porzucane po całym krajobrazie i przesiąkniętego na każdym kroku tajemnicą, wart był wysiłku. Prawdopodobnie już niedługo, kiedy powstaną wielkie hotele i nastąpi napływ licznych turystów, wiele z tej urokliwości i tajemniczości zniknie bezpowrotnie.

Wiele informacji dotyczących historii wyspy i zamieszkujących ją ludzi, zwłaszcza kobiet i ich życia codziennego, zamieszczonych w tym artykule, zawdzięczaam współautorce artykułu, w pełni profesjonalnej młodej pilotce, która od kilku lat

mieszka w Chile na Ziemi Ognistej. Pani Patrycja Szcześniak, mgr psychologii turystyki pochodzi z Bełchatowa. Była bardzo elastyczna, zabrała nas tam, gdzie chcieliśmy i opowiedziała o wszystkim, co chcieliśmy wiedzieć. Dzięki niej wiele zawartych w artykule informacji nie była dotychczas powszechnie znana.

Historia Wyspy Wielkanocnej

Około 500 000 lat temu wynurzył się jako pierwszy z oceanu szczyt wulkanu Poike. Około 400 000 lat temu drugi wulkan Rano Kau, zaś ostatni Terevaka około 300 000 lat temu. Początkowo wulkany te tworzyły trzy oddzielne wyspy. W końcu gigantyczna eksplozja tego ostatniego, która nastąpiła około 12 000 lat temu, połączyła wyspy w jedną całość.

Pochodzenie mieszkańców Wyspy Wielkanocnej budzi do dziś wiele wątpliwości. Uważa się, że zaludnili ją mieszkańcy Markizów (3,2 tys. km), bądź Tuamotu lub Tubuai. Podobieństwa kulturowe, antropologiczne i językowe wskazują na związki Rapa Nui z wyspami Polinezji. Według archeologów około 300-700 r. n.e. (prawdopodobnie w 400 r. n.e.) Polinezyjczycy odbyli długą podróż morską w swoich dużych, wytrzymałych podwójnych kajakach. Do nawigacji, w której byli ekspertami, używali gwiazd. Na południowo-wschodnim krańcu Polinezji znaleźli zieloną wyspę pokrytą drzewami, którą ostatecznie nazwali Rapa Nui. Na wyprawę zabrali z ojczyzny morwy, kurczęta, szczury, trzcinę cukrową oraz taro i zaczęli uprawiać ziemię. Tak rozpoczęła się cywilizacja na wyspie.

Według teorii norweskiego badacza Thora Heyerdahla sposób obróbki kamienia i budowy platform, praktyki wyciągania uszu u mieszkańców, uprawa batatów i trzciny cukrowej dowodzi również związków z kontynentem Ameryki Południowej, zwłaszcza z Peru. Jego słynna wyprawa w 1947 roku, na tratwie Kon-Tiki zbudowanej z balsy, dowiodła, że było to możliwe. Prawdopodobnie miał zatem miejsce jeszcze jeden napływ ludzi na wyspę.

Wśród rdzennej ludności Rapa Nui istnieje legenda o Hotu Matu i siedmiu odkrywca, która ich zdaniem wyjaśnia sposób pojawienia się ludzi na wyspie Wielkanocnej. Według niej Ariki (król) Hotu Matu'a żył na pięknej wyspie zwanej Hiva (do dziś nie wiadomo gdzie ona się znajduje). Pewnej nocy we śnie otrzymał wiadomość, że jego kraj zatonie i że musi znaleźć bezpieczne miejsce, aby uratować swój lud. Idąc za radami mędrców, Hotu Matu'a wysłał siedmiu żeglarzy w kierunku porannego słońca, w celu poszukiwania przyjaznej do życia ziemi i uprawy ignamu, tzn. pnącza będącego podstawą ich pożywienia (po polsku Pochryzn uprawiany do dzisiaj ze względu na jadalne bulwy i owoce). Po kilku dniach żeglugi siedmiu odkrywców przybyło na małą i niezamieszkałą wyspę, która wydawała się wystarczająco urodzajna, aby na niej żyć. Przed powrotem na Hivę pozostawili na wyspie jednego członka załogi. Na cześć tych pierwszych odkrywców postawiono siedem posągów moai, które znajdują się na plaży w zatoce Ahu Akivi. Po kilku latach król Hotu Matu'a przybył na wyspę na dwóch wielkich statkach, wraz ze swoją żoną, która składała się

z jego żony, siostry i 100 innych osób. Wyspę tę nazwał Te pito o te henua, co oznaczało „pępek świata”. Według mitologii Rapa Nui, Hotu Matu’a był zatem pierwszym ariki mau („najwyższym naczelnikiem” lub „królem”) Wyspy Wielkanocnej. Wylądował na plaży Anakena, a jego lud rozproszył się po wyspie. Ich potomkowie nie znali kontaktu ze światem zewnętrznym aż do 1722 r.

Pierwszymi Europejczykami, którzy tu dotarli była załoga holenderskiego statku dowodzona przez Jacoba M. Roggeveena. Natknął się na tę najbardziej odizolowaną zamieszkałą wyspę na Oceanie Spokojnym w sposób całkowicie przypadkowy. Stało się to w Niedzielę Wielkanocną 5 kwietnia 1722 roku, a ponieważ kapitan nie wiedział, gdzie się znajduje i do kogo wyspa należy, postanowił ją nazwać od dnia swojego przybycia i tak zrodziła się nazwa Wyspa Wielkanocna. Roggeveen w dzienniku pokładowym zapisał, że zobaczył jałową wyspę, na której wzdłuż wybrzeża stały setki olbrzymich posągów w kształcie człowieka, zwanych moai. Wyspiarze posiadali różne kolory skóry, ale nie czarny. Niektórzy, ale nie wszyscy mieli płatki uszne, które sięgały im do ramion. Zazwyczaj nosili talerze w dużych otworach zrobionych w uszach lub zawieszali płatki z powrotem nad uszami. Kolejnym żeglarzem był Kapitan James Cook, który odwiedził wyspę w 1774 roku, a jego artysta-malarz wyprawy narysował wizerunki wyspiarzy z długimi uszami, ozdobionych pióropuszcami i muszlami. Zastanawiało go, jak prymitywny lud, na wyspie pozbawionej drewna i zwierząt, mógł wyrzeźbić i posadowić tak wielkie kamienne moai. Żyło na niej wówczas około 2-3 tys. mieszkańców, jakkolwiek liczba ludności mogła wcześniej dochodzić nawet do 10-15 tys. osób. Taki spadek liczby mieszkańców został prawdopodobnie spowodowany przez wyczerpanie naturalnych zasobów wyspy oraz ścięcie wszystkich drzew. Drzew, których większość wykorzystano do budowy domów, łodzi i platform służących do transportowania moai. Według podań ustnych z powodu niedoboru żywności doszło do walk pomiędzy klanami oraz kanibalizmu. Inne badania sugerują, że populacja mieszkańców była stabilna, a przyczyną kłopotów żywnościowych i wyginięcia lasów był nadmierny rozwój populacji szczura polinezyjskiego, który zjadał wszystkie nasiona.

Populacja wyspy osiągnęła szczyt tuż przed przybyciem Roggeveena. W następnych latach przybywający na wyspę marynarze zaczęli postrzegać miejscową ludność jako dodatkowe źródło pracy, wprowadzając ich, aby uzupełnić załogi swoich statków. Kobiety traktowali jako przedmiot satysfakcji seksualnej, a przy okazji zarażali je chorobami przenoszonymi drogą płciową. Powodowało to dalszy spadek populacji wyspy. Ostateczny cios nastąpił w latach sześćdziesiątych XIX wieku, kiedy handlarze niewolników porywali i sprzedawali wyspiarzy do krajów Ameryki Południowej, zwłaszcza Peru i Chile. Populacja dramatycznie się zmniejszała, aż do momentu, kiedy rząd położył kres niewolnictwu i repatriował wyspiarzy z powrotem do Rapa Nui. Repatriowani wyspiarze, którym udało się przetrwać długą podróż z Peru, przywieźli kolejną śmierć mieszkańcom wyspy, była nią oспа. Pierwszym cudzoziemcem, który osiadł na wyspie w 1864 roku, był francuski misjonarz rzymskokatolicki

Eugène Eyraud. Populacja przeszła na chrześcijaństwo w 1868 roku. Pomimo jego wielkich starań w 1877 roku pozostało przy życiu zaledwie 111 mieszkańców. Dzisiejsza populacja Rapa Nui pochodzi właśnie od tych 111 osób. Stanowi to pewien problem, bowiem społeczeństwo żyje tu pod wpływem starożytnych praw Rapa Nui, które sięgają czasów odkrycia wyspy. Niektóre z tych praw, jak np. zasady unikania kazirodztwa, mówią, że nie wolno się żenić i mieć dzieci z kimś, kto pochodzi z tej samej rodziny; ale, żeby ustalić, kto jest rodziną, należy przeanalizować wstecz aż siedem pokoleń. Ponieważ pod koniec XIX wieku na wyspie żyło zaledwie 111 osób, oznacza to, że prawie wszyscy obecni mieszkańcy są ze sobą spokrewnieni.

W następnych latach liczba ludność powoli zaczęła się podnosić, osiągając w 2012 roku liczbę 5761 osób, w większości pochodzenia polinezyjskiego. Obecnie wyspę zamieszkuje 7750 mieszkańców, z czego 70% stanowią Polinezyjczycy. Wyspa od 1888 roku należy do Chile i wchodzi w skład regionu Valparaíso.

Na Rapa Nui jedynym miastem, a zarazem stolicą jest mała miejscowość Hanga Roa, składająca się głównie z parterowych domów i prostych sklepów. Miasteczko jest niezwykle urokliwe, ciche, położone nad oceanem, zamieszkałe przez około 3 500 mieszkańców. Jest to jedyny cywilizacyjnie rozwinięty obszar na Wyspie Wielkanocnej. Pozostała część wyspy jest prawie niezamieszkała. W jego okolicy znajduje się jedyny port lotniczy Mataverí, na którym 2-3 razy w tygodniu lądują startujące z Santiago samoloty linii LATAM. Pas startowy został w latach 80. XX wieku wydłużony na podstawie umowy między prezydentem Chile Augusto Pinochetem i prezydentem USA Ronaldem Reaganem. Obecnie ma on 3 318 metrów długości i jest zapasowym lądowiskiem dla promów kosmicznych.

Po przylocie na wyspę zamieszkaliśmy w małym, ale bardzo wygodnym pensjonacie w tym jedynym mieście Hanga Roa, w pobliżu wybrzeża. Późnym popołudniem udaliśmy się nad brzeg oceanu w miejsce zwane Ahu Tahai, najczęściej fotografowane stanowisko archeologiczne. Miejsce to jest niezwykle popularne zwłaszcza o zachodzie słońca. O tej porze przebywają tu prawie wszyscy turyści i mieszkańcy miasteczka. Stoi tu w rzędzie pięć posągów, zwróconych plecami do morza, które w 1974 roku ponownie ustawił w pozycji pionowej nieżyjący już amerykański archeolog dr William Mulloy. Jego grób znajduje się zaledwie 100 metrów od tego stanowiska. O tej porze dnia sceneria zapiera dech w piersiach. Zachodzące słońce rzuca szeroką gamę kolorów na otaczający krajobraz, a sylwetki moai rysują się na tle nieba purpurowego od zachodzącego słońca.

Koniec pierwszego dnia pobytu na Wyspie spędziliśmy w Tavake: restauracji w Tanga Roa, przy ulicy Atamu Tekana z przepięknym widokiem na ocean, gdzie próbowaliśmy naszego pierwszego pisco sour (chilijska brandy pisco zmieszana z sokiem z cytryny i cukrem), sałatkę z surowego, świeżo złowionego tuńczyka z awokado (ceviche), pierogi (empanady) nadziewane owocami morza oraz ciasto poi, które jest robione z taro i banana lub guawy i jest tradycyjnym daniem mieszkańców Rapa Nui.

Następnego dnia podjęliśmy decyzję, aby zwiedzanie wyspy rozpocząć od wizyty w wymarłym kraterze wulkanicznym o nazwie Rano Raraku, gdzie znajduje się kamieniołom, w którym z delikatnego tufu wulkanicznego zostały wyrzeźbione słynne kamienne moai. Pojechaliliśmy tam stosunkowo wcześniej, aby ominąć ruch turystyczny. Dzięki temu byliśmy do godziny 9.30 prawie sami.

Widok jest wspaniały. Krater i zbocze tego wulkanu były miejscem, gdzie powstawały kamienne posągi zwane moai. Pierwszy powstał około 1100 roku, a ostatni w 1680. Wyrzeźbiono łącznie około tysiąca ogromnych, tajemniczych postaci, z których około 300 nie zostało z nieznanymi przyczynami ukończonych i znajduje się w różnych stadiach wykonania. Część pozostaje przymocowana do skały w pozycji stojącej, część w poziomej, na zewnętrznym stoku krateru, jakby unieruchomione w drodze na zewnątrz. Kamieniołomy moai ujawniają interesujący wzór: posągi tutaj są znacznie większe niż te na wybrzeżu. Największy, El Gigante, mierzy około 21 metrów i szacuje się, że waży 270 ton, podczas gdy największy moai postawiony na wybrzeżu mierzy „zaledwie” 9,7 metra. Sugeruje to, że „obsesja” w tworzeniu moai była w toku i zakończyła się nagle, (narzędzia rzeźbiarskie pozostały na miejscu), w chwili upadku przybrzeżnych posągów. Wzdłuż drogi na wulkan Rano Raraku (zwanej Drogą Moai) podziwiać można kilkadziesiąt stojących posągów zakopanych po ramiona w ziemi. Gigantyczne postacie wykuwano prymitywnymi narzędziami, a następnie transportowano na odległość nawet kilkunastu kilometrów.

Maria Maślińska

Obrazki z przeszłości

urodziłam się w czasach
gdy były kartki na wszystko i nic
i chleb ze smalcem jako nagroda
gejzer wody z saturatora
przynosił ukojenie
w upalne dni bez szansy na klimatyzację

pamiętam
to wtedy
prawie zginęłam w kolejce po okruchy mody
gdy otwarto czarodziejskie drzwi Hofflandu
a tłum popłynął jak wartki potok zabierając mnie ze sobą

pamiętam
to wtedy
zapach perfum z twarzą Pani Walewskiej
był dla mnie jak Chanel No 5
mówią że czasy te słusznie minęły
i nie można się do tych wspomnień uśmiechać
tylko że wtedy
moja twarz odbita w szybie była szczęśliwa i młoda
nie chcę zapomnieć

Nie ma przystani

kołysze się
popychana wiatrem jak liść
a może pusta łódka
rzucana po całym wszechświecie jeziora
nie ma przystani
nie ma odpoczynku od pieszczoty wiatru
nie
nie ma przystani dla zanurzonych w tęsknocie

Marzenie o łagodności

przed moimi oczami tyle się wydarzyło
przepląnęło tyle kolorów szczęścia i smutku
moja skóra chłonęła ciepło i chłód uczuć
docierały do moich uszu dźwięki ukojenia
i twarde słowa co ranią
naiwnie myślałam że można zostać wiecznym dzieckiem
gdy spadła na mnie świadomość doświadczeń
zabijając te myśli bezpowrotnie

Joanna Matlachowska-Pala

Przyjdź

W sierpniowy wieczór
powietrze pachnie nadchodzącym deszczem
zmieniają się nasze pogody
– nietrwałe wnętrza
zapalają parkowe latarnie

Ukryty wśród drzew niewidoczny grajek
gra na trąbce:
dźwięk to unosi się to opada
– wraz z nami
ćma bezszelestnie przysiada na włosach
i umyka
kolorowe plamki koszulek biegaczy
przesuwają się na granicy łąki
jak małe owady

Trzymam się mocno przestrzeni
choć grawitacja powoli zanika
niebo otwiera się nagle gwiazdami

tak dużo mam tu pustego miejsca
za dużo

Pomyleni

W osobnych mieszkaniach
zaparzają kawę
sięgają po telefon
i przez moment są razem
ale zamiar gaśnie
topnieje jak cukier

W osobnych fotelach
czytają tę samą książkę
i myśląc: przecież to my
piszą niewysłane listy
białe kartki porywa wiatr
a może to płatki śniegu

Samochody unoszą ich
w przeciwne strony
przez mgnienie trwa ta bliskość
bez spotkania
jak trawa ważka cień
szmer i lśnienie

Są chwile które łączą
tak że nie rozerwiesz
są takie co zejść się nie chcą
choć osobno trwają

Pamiętając o grudniu uśmiechnij się do lutego

Suchy szelest opadających igieł
– nasz tegoroczny dziwny zegar
godziny minuty spadają z wysoka
w ciszy i ciemności salonu
jak bardzo ubywa
nas i nagie gałązki kruche
trzaskają w palcach
już tylko szkielecik

Jutro delikatnie zdejmujemy szklane ozdoby
korale papierki po cukierkach
koniki plastikowe jabłuszka i rajskie ptaki
Rozejdą się po kątach wspomnienia
wędrówek z lampionem
potem kolęda świeczki i fotografia
(mama tata i dzieci)

Wyprowadzimy ją jutro za próg
nasz zegar
Pamiętając o narodzinach uśmiechnij się do

Henryk Marczuk

List do Życia

tak się Tobie
przyglądam
Życie...
nie wiem
po co ta gra
może dla Ciebie
Życie
ta cała komedia
sens ma
dlaczego
tyle zwątpienia w Ciebie
Życie
dlaczego
cieszysz się
skrycie
o Życie
gdy człowiek
gra

1988 r.

Góry nie płaczą

*Kochanemu synowi
w rocznicę tragicznej śmierci*

28 listopada 1998 roku
Góry nie płakały
ze mną
stały niewzruszone
w majestacie wieczności
jakby...
dziwiąc się trochę
mojej rozpacz
zawsze
kiedy na nie patrzę
płacę....
Góry nie
tylko deszcz za oknem
kroplami
gładzi szyby
wypisujemy swoją tęsknotę
on za słońcem
ja łzami
za dzieckiem
Góry nie
Góry
nie płakały
nie płaczą
nie zapłaczą
mijają lata
ból powoli gaśnie
odejdziemy wszyscy
każdego dnia
ktoś za kimś płacze
czasem z deszczem
Góry nie
Bez śmierci nie ma życia

Przesłanie do dziecka

Jesteś moim
małym królem
bez korony i szat

przyszedłeś z bólem matki
by pokochać świat

może
spotkasz się z uśmiechem
dobrych ludzi

może
będziesz mógł
z innymi razem iść

może nikt
nie będzie
skakał ci do oczu

żeby jeść
żeby przetrwać
żeby żyć

1980 r.

Zapach lata na obczyźnie

na obczyźnie
lubię zapach
niebieskiego nieba
i

skoszonej zielonej trawy

lubię delikatny powiew
letniego wiatru na mojej twarzy
i

płásające promyka słońca
w rozkołysanych liściach drzew
lubię radosny śpiew ptaków

chrust tutaj
trzeszczy w lesie
tak sarno jak u nas
snopki zwinięte w bale
poukładane równo

w sklepach
więcej kolorowych
pudełek i świecidełek

na ulicach
więcej droższych aut
i dziwnie ubranych ludzi

krowy tutaj są brązowe
mleko mlekiem nie smakuje
i chleb
chlebem nie smakuje
bagietka i czerwone
wino
tutaj
prawie wszystko
jest inne

ludzie też

są wolni
mówią obcym językiem

ale dzieci płaczą tak samo

Francja, 1989 r.

Marzena Nogieć

Retrospekcja

Gdy spotkaliśmy się nie przypadkiem
byłam dopiero początkiem
(jaskółki a może wróbla?)
zapatrzonym w twoją
podniebną lekkość bytu
Dlaczego
zamiast nauczyć mnie latać
podobnie sobie
obciążeś mi skrzydła?

Jedność czasu i miejsca

Trzeba znaleźć się
w odpowiednim czasie i miejscu,
aby nazbierać odpowiednią ilość myśli, uczuć i słów
do koszyka wrażeń...
I wtedy staje się wiersz (sam z siebie)

Most

Był trochę przysadzisty, rozparty jakby zbyt nisko nad niewielką rzeką przepływającą przez miasteczko, której brzegi spinał niczym klamra. Ale też solidnie wsparty na żelaznych filarach, dający poczucie bezpieczeństwa i stabilności.

W czasach gdy urodziła się, milczeniem pomijano (lub starano się pominąć), skąd wziął się w miasteczku, dlaczego można jeszcze było na nim dostrzec litery w obcym dla niej wtedy języku. Podobnie zresztą było z niektórymi grobami na pobliskim cmentarzu – odmiennymi nie tylko napisami, od tego, który zapewnił wieczny spoczynek jej prababci (zmarłej jeszcze przed jej urodzeniem), a którego odwiedzania uczono ją od najmłodszych lat. Co najwyżej próbowano wytłumaczyć jej to w ten sposób, że przed wielką wojną w tym miejscu żyli inni ludzie, którzy po niej nagle zniknęli – zostawiając po sobie właśnie te groby czy napisy (nie tylko na moście, ale także na przykład na niektórych starych kamienicach w centrum miasteczka). Natomiast na ich miejsce przybyli tacy jak jej prababcia, bo tak naprawdę, ta ziemia zawsze należała do niej (i jej kraju) i została „odzyskana”. Nie miała poza tym pojęcia, kim byli ci „wcześniejsi ludzie” (w jej dziecięcym świecie stali się kimś w rodzaju tajemniczych przedstawicieli zaginionej cywilizacji czy baśniowych stworów, które zjawiają się w danym miejscu na chwilę i wkrótce właściwie nie ma po nich większego śladu). Zresztą w miarę upływu czasu tych odmiennych dla niej grobów na cmentarzu było coraz mniej (choć pamiętała, że na początku naprawdę zajmowały dużo miejsca – chyba było ich nawet więcej niż polskich i miała wrażenie, że ich przestrzeń jest gęsta, mozaikowata, w pewien sposób nawet duszna...), a na tych, które pozostały (nie zostały tzw. „zlikwidowane”, jak wytłumaczono jej tym razem), napisy stawały się coraz mniej wyraźne...

A potem zaczęła odkrywać zupełnie inne nowe rzeczy i sprawy. Jeżeli chodzi o most – to najpierw, że tuż za nim znajduje się ośrodek zdrowia, a w nim nie tylko jej ulubieni (odkąd tylko była sobie w stanie przypomnieć) pediatrzy, ale i stomatolog, potrafiący usuwać jej niechętne do wypadania „z własnej woli” (mimo iż czas już był na to najwyższy) mleczne zęby. Ponieważ w jej dzieciństwie w takich miejscach uważano, że nie jest do tego rodzaju zabiegu potrzebne znieczulenie – most stał się krańcem czy też po prostu węglem, za którym czaił się ból, więc udawała się poza niego bardzo niechętnie. Potem na błoniach w pobliżu mostu zaczęły pojawiać się co jakiś czas studenci i „bardziej dorośli” artyści przyjeżdżający na tzw. plenery (wkrótce dzięki nim miała dokładnie zrozumieć znaczenie tego słowa) – zaciekawiona ich pracą, najpierw z pobliskiego placu zabaw podglądała ją ukradkiem, a potem jak osławiane zwierzątko coraz bliżej i bliżej... Aż pewnego dnia sami przywołali ją do swoich sztalug, tłumaczyli, jak powstaje obraz i zachęcali, aby sama też im coś narysowała – nie dała się długo prosić i potem przez wiele lat przechowywała ten niezgrabny rysunek, który dzięki temu powstał. Z dalszym biegiem czasu, gdy przejściowo można było

bez specjalnego zezwolenia przekraczać znajdującą się niedaleko za mostem granicę z istniejącą wówczas Czechosłowacją, okazało się ponadto, że jest on najprostsza drogą tamże i do „pooddychania innym powietrzem” (jakkolwiek w miasteczku nie traktowano tego jako „prawdziwych wyjazdów za granicę”, o których w tamtych czasach krążyły legendy, ponieważ dla tylko niewielu osób były one możliwe). No i w końcu przysłała powódź tysiąclecia – która zamieniła płynącą leniwie pod mostem rzeczkę w niszczycielską ścianę żywiołu, niebezpiecznie pnącą się do góry i chcącą dosięgnąć drogi biegnącej przez most. Wtedy to właśnie, na tym moście, mieszkańcy miasteczka (przynajmniej na chwilę) całkowicie zjednoczyli się i obronili je „przed wielką wodą” (worki z piaskiem wspólnie nosiły również dziewczyny w jej wieku, więc i ona także).

Następnie minęło kilka kolejnych lat i tak się złożyło, że sama zaczęła pracować w ośrodku nad rzeką, ponieważ została lekarzem. Przestraszywszy się jeszcze na studiach pracy z dziećmi (bo to wyjątkowo trudny pacjent itd.) zostawiła ją innym. A sama zajęła się dorosłymi, powoli oswajając, kiedyś pod pewnymi względami tak nieprzyjazne jej mury i w pełni poznając lokalną społeczność. Dopiero wtedy miała okazję osobiście poznać autochtonów (oczywiście, jej wiedza z dzieciństwa na ten temat, ograniczająca się głównie do zauważania pewnych „bardzo ewidentnych zjawisk”, trochę już zdążyła poszerzyć się – zwłaszcza że w międzyczasie nastąpiło „nowe otwarcie” i m.in. w miasteczku zaczęły pojawiać się co jakiś czas wycieczki osób, chcących odwiedzić swój dawny Heimat, ale jednak była to nadal wiedza dość mglista). Wcześniej, nawet w szkole, właściwie nie miała z nimi kontaktu (okazało się, że pozostali głównie na okolicznych wsiach), a teraz przychodziło (czy raczej przyjeżdżało) ich do niej coraz więcej. Pojawiła się wśród nich i pani Janinka. A właściwie Elfriede, bo takie imię nosiła, zanim wyszła za mąż za Polaka. Ponieważ była coraz słabsza (gdy poznały się, miała już znacznie ponad osiemdziesiąt lat, jakkolwiek jej elokwencja i charyzma łatwo pozwalały o tym zapomnieć), zaczęły się tak zwane wizyty domowe. Mimo różnicy wieku, doświadczeń oraz pochodzenia, zawiązała się między nimi dziwna nić porozumienia i sympatii, więc wkrótce wizyty te zaczęły „przeciągać się” w rozmowy i opowieści na różne, niemedyczne, często bolesne i trudne tematy. To dzięki nim dowiedziała się na przykład, że most został zbudowany ponad sto lat temu, na miejsce zniszczonego przez wcześniejszą wielką powódź, dzięki pewnej mądrej i wspaniałomyślnej („ale bynajmniej nie jak z bajki Braci Grimm” – jak podkreślała pani Janina) cesarzowej, która odwiedziła te ziemie zaraz po niej... A tuż po wielkiej wojnie stał się miejscem, przez które czerwonoarmiści („zdolni” jak się okazało również do innych strasznych rzeczy – łącznie z mordami i gwałtami na ludności cywilnej) pędzili wygnanych („z jedną walizką w ręce najwyżej”) ze swoich domów w miasteczku Niemców, na pobliską stację kolejową... I że przed tą wojną z kolei, przez most jeździły też pociągi, które woziły górników z „ostlich Oberschlesien” do wybudowanego dla nich w miasteczkowym zdroju (przeżywającym wówczas okres swojej największej świetności), przez jednego z „magnatów węgla i stali”, ośrodka

wypoczynkowego. I że w zdroju był wtedy stawek, po którym pływały łódki i łabędzie i że w dobrym tonie było chodzenie tam na niedzielne spacerki... A trochę wcześniej w pobliskie góry chodził na nie również Josef von Eichendorff – jeden z największych poetów niemieckiego romantyzmu (no cóż, gdy pierwszy raz o tym usłyszała od pani Janinki, nie знаła nawet jednego jego wiersza, mimo iż szeroko pojęta literatura należała do jej pasji – oczywiście wkrótce miało się to zmienić). Ten sam Josef von Eichendorff, który na przykład tak dobrze rozumiał, że heimat to nie tylko granice czy określone miejsce... Ona z kolei (na prośbę tej swojej niezwyklej pacjentki) dzieliła się opowieściami zasłyszczanymi od dziadków – zwłaszcza tymi o bombardowanej Warszawie, o Powstaniu Warszawskim... I tym, co działo się po nim i co zmusiło ich do wędrowki, w większości odbytej w towarowym wagonie, z trójką małych dzieci i chorą już wtedy prababcią na tzw. zachód... (Pani Janinka wzdychała wtedy i mówiła prawie bez akcentu: „No tak, my Niemcy na pewno byliśmy winni, ale kara, którą niektórzy z nas za te winy ponieśli była chyba zbyt surowa”... Jednocześnie cały czas bała się, że może kogoś swoimi wspomnieniami urazić i dopiero ponownie zachęcana przez nią do nich wracała... I właściwie można było być pewnym, że te „najtrudniejsze” z nich i tak zachowuje tylko dla siebie...)

Ale pewnego dnia pani Janinka-Elfride niestety nie obudziła się. I minął bezpowrotnie czas tych niezwykle rozmów... Gdy jednak brała udział, wraz z wieloma innymi osobami, w jej pożegnaniu na cmentarzu, który tak bardzo zmienił się od czasów dzieciństwa – wiedziała, że dzięki tym rozmowom, nigdy nie będzie patrzeć na most (który widziała z okien „swojej” przychodni) czy ten cmentarz tak jak dotąd. I że te spotkania w pewien sposób zmieniły je obie... Że ich opowieści dopełniają się nawzajem i bez siebie „nie istnieją w pełni”... Bo taka jest skomplikowana historia tych ziem i każdej najmniejszej ich piędzi – poprzez lata, które minęły i wydarzenia, których były świadkiem – po części zarówno polska, jak i niemiecka (trochę też na pewno czeska czy żydowska) i trzeba robić wszystko, aby nie została zapomniana żadna z nich, aby nic z niej nie utracić...

A jeszcze później okazało się, że most zostanie rozebrany, aby zrobić miejsce nowemu, nowocześniejszemu, takiemu, któremu podobno nie będzie straszna nawet największa fala powodziowa... Na szczęście wiedziała już także, że ten stary przynajmniej w jej wspomnieniach, obecny będzie zawsze... (podobnie jak pani Janinka-Elfride), ponieważ w międzyczasie same wybudowały kolejny most... Choć niewidzialny, to niezniszczalny... – most, który nazywa się Przyjaźń...

Wojciech Pająk

Dziwny mebel

Dziwny mebel
drewniany
kiedyś powszechny
siadasz za zasłonami
na pełnej kurzu ławeczce
z prawej strony wiaderko
z lewej stare ścierki
nawet lampka
nie chce się świecić
nikt nie podchodzi
by prosić
by mówić
do Jego ucha

a mebel ciągle
na szczęście stoi
przez cały czas
zachęca i przypomina
jak wyrzut

Cicha rozmowa przez ścianę

Złożyli mnie do łoża
gdzieś na południowym stoku
wielkiej sypialni
przykryli pierzyną z gliny
położyli kwiaty

Wieczorem słyszę głosiki
za glinianą ścianą
(chyba ze dwie setki)
pytam ile mają lat
jeden siedem
kilkoro osiem
kilkoro dwanaście
a jeden nawet dwadzieścia
tygodni
poskarżyli się
że nikt o nich nie chce pamiętać
okazać współczucia
a przecież
nie zakosztowali łyka powietrza
kropki matczyne mleka
jedyne czego doznali
to bólu rozrywanego ciała
pogardy i odrzucenia

Po co mi o tym mówicie?
Mamy jeszcze usta
A i twoje też jeszcze
trawą nie zarosły

Dwie dychy

Kupiłem uśmiech
od młodej dziewczyny
bardzo soczysty
za dwie dychy
więcej nie miałem
z innych ofert
musałem zrezygnować
ale kolega
opowiedział mi o nich
ze szczegółami

jak to dobrze
że miałem tylko
dwie dychy

Wielkanocne porządki

Posprzątaj dom
przecież nie przyjdzie
On
taki czysty
do pokoju pełnego kurzu
i umyj okno
daj ludziom szansę
żeby ich chociaż
zobaczył

Proste pytanie?

Przez mój sad
przejechały dwa czołgi
łamiąc pnie jabłonek

Przez mój ogród
przeszły dwa plutony żołnierzy
deptając dojrzałe pomidory

Przez mój dom
przeleciały dwie rakiety
zrównując go z ziemią

Przyszło do mnie
dwóch oficerów i zapytali
Po której stronie jesteś?

Marek Pawlikowski

Zapiski z przyszłości – rok akademicki 2123/2124

Nazywam się Adam Abel. Jestem profesorem socjologii i historii najnowszej na Uniwersytecie w... Wczoraj wróciłem do domu nieco później niż zwykle. Właśnie, o ile później? Zależy, według jakiego czasu liczyć. Według jednego – dwie godziny później, i tak sądzą moi domownicy, według innego, o którym wiem tylko ja – po stu latach. Siedzę teraz we własnym mieszkaniu, przy własnym biurku, przed swoim własnym laptopem i zaczynam pisać książkę o swoich przygodach. Na razie napisałem jej tytuł „Zapiski z przyszłości”. Od czego zacząć? Najlepiej od wczorajszego dnia, 13 września 2023 roku.

Wyszedłem tego wieczoru z gmachu mojego instytutu później niż zwykle. Dochodziła już północ. Poszedłem w stronę prawie pustego już o tej porze uniwersyteckiego parkingu. Gdy wszedłem na parking, nagle zobaczyłem na niebie przed sobą świetlisty dysk. Cóż to może być do licha? UFO? Nigdy czegoś takiego w życiu nie widziałem, a w relacje tych, którzy o tym opowiadali, nie wierzyłem. Byli to zwykle ludzie dość prymitywni bądź obdarzeni bujną fantazją. Dysk szybko się powiększał, chwilami nagle znikając, a za chwilę pojawiając się znowu. Wreszcie osiadł miękko na parkingu. Obserwowałem to niezwykle zjawisko, przysięgając w duchu, że nigdy nikomu o tym nie pisnę ani słowa, aby nie narażać się na kpiny moich kolegów-profesorów i studentów. Nagle z ciemności wyłoniła się przede mną jakaś postać, trzymająca w ręku coś, co przypominało spryskiwacz. Poczułem jakiś dziwny zapach i po chwili zapadłem się w ciemność. Kiedy się ocknąłem, znajdowałem się w małej kabine bez okien. Drzwi kabiny były zamknięte, ale niebawem otworzyły się i do pomieszczenia weszło dwóch mężczyzn ubranych w białe kombinezony. Nie bacząc na moje protesty, chwycili mnie za ramiona i poprowadzili słabo oświetlonym korytarzem.

Po chwili prześladowcy wpełnęli mnie do jasnego pomieszczenia, w którym za stolikiem przypominającym biurko siedział mężczyzna. Był niezbyt wysokiego wzrostu, miał ciemne włosy i twarz o nieco azjatyckich rysach. Ubrany był, podobnie jak inni członkowie załogi dziwnego statku, w biały strój przypominający kombinezon kosmonauty. Trudno było określić jego wiek. Mężczyzna wskazał mi

przymocowany do podłogi fotel i odezwał się nieco dziwnie brzmiącą angielszczyzną: „Witam pana, profesorze Abel. Jestem Nemo, kapitan tego statku”. Mimo szoku, w jakim ciągle się znajdowałem, nie mogłem powstrzymać się od powiedzenia – czyżby śniła mi się powieść Juliusza Verne’a?

„Brawo, profesorze. Prawidłowe skojarzenie. To potwierdza słuszność naszego wyboru. W moich czasach, niestety, nic nikomu już się z Verne’em nie kojarzy. Ale mniejsza o to. Po pierwsze, proszę nam wybaczyć użycie siły. Ale chyba nie przyszłoby Pan tutaj dobrowolnie. Nie został pan chyba poturbowany? Zaraz zobaczy pana nasz lekarz.

W każdym razie obiecuję panu, że jeśli nie skorzysta pan z naszej propozycji, to natychmiast pana odstawimy z powrotem. – Co to za propozycja, gdzie ja jestem? – wykrzyknąłem. Kapitan Nemo wstał zza biurka i milcząc, zaczął chodzić tam i z powrotem po kabynie. Po chwili zatrzymał się i powiedział – Od czego zacząć? Od miejsca czy od propozycji? Może od miejsca, będzie pan czuł się bezpieczniej. Ale, widzi pan, nie mogę odmówić sobie małej przyjemności. Chcę przeprowadzić taki mały test, zgadzywanekę, jak pan woli. Na pewno szybko się pan zorientuje. Proszę pytać! – To jest UFO? Statek kosmiczny? Jest pan kosmitą, kapitanie Nemo? – zapytałem. – UFO? Chyba muszę odpowiedzieć twierdząco. Ale nie jest to statek kosmiczny. A ja nie jestem kosmitą, jestem tak jak pan człowiekiem, to chyba widać. Nie zmieniliśmy się tak bardzo, może tylko większość z nas nosi w sobie geny różnych ras. Pochodzę z planety Ziemia i stamtąd – a właściwie stąd – przybył nasz wehikuł. W pierwszej chwili słowa Nemo wydały mi się bezsensowne, ale nagle wszystko zrozumiałem. – A więc UFO to nie statek kosmiczny, ale wehikuł czasu! – Brawo! Znakomicie! – wykrzyknął Nemo nie kryjąc zadowolenia, po czym ciągnął dalej. – Tak, ten pojazd to wehikuł czasu. Nie mogę panu powiedzieć, na jakiej zasadzie to działa, to pilnie strzeżona tajemnica; a ponadto niewiele by pan z tego zrozumiał, mimo pańskiego wykształcenia. W waszej epoce niewielu ludzi poza Stephanem Hawkingiem mogłoby to zrozumieć. W każdym razie możemy się tym pojazdem poruszać w czasie. Możemy także przemieszczać się nim w przestrzeni, ale to w zasadzie nie jest konieczne. Teoretycznie podróż w czasie możemy odbyć nie ruszając się z miejsca. W praktyce groziłoby to kolizją, bo tam, gdzie kilka lat wcześniej było puste pole, parę lat później może stać wieżowiec albo przebiegać autostrada. Dlatego zwykle nasze podróże odbywamy na dużej wysokości. Teraz na przykład płyniemy na wysokości czterdziestu kilometrów nad ziemią, z szybkością o kilkadziesiąt sekund większą niż przepływ ziemskiego czasu. To wystarczy, żebyśmy byli niewidzialni. Dostrzegając moje zdziwienie, dodał – nikt ze współczesnych ziemian nie może nas zobaczyć, bo od 30 sekund już nas tam nie ma. Już jesteśmy w przyszłości, wprawdzie niedalekiej. Nasz wehikuł jest widzialny tylko wtenczas, gdy porusza się w czasie z szybkością dokładnie równą przepływowi czasu ziemskiego. Ale, czy mogę panu zaproponować kawy bądź herbaty? Poprosiłem o herbatę. Nemo nacisnął jakiś guzik na blacie swojego niby-biurka i za chwilę przystojna mulatka, ubrana, podobnie jak Nemo, w biały strój kosmonautki, wniosła srebrną tacę, na której stały dwie filiżanki.

Aromat herbaty wypełnił kabinę. – Jak pan widzi, w naszej epoce nie zarzuciliśmy oby-
czaju picia kawy i herbaty. I nadal używamy filiżanek z porcelany. A teraz przejdę do
naszej propozycji. Chodzi o wykłady na naszym uniwersytecie. Właściwie na pańskim
uniwersytecie, bo on nadal trwa w naszych czasach. Tak już trwa, jak pan dobrze wie,
od średniowiecza. Jest pan socjologiem, politologiem, a także specjalistą od historii
najnowszej. Chcielibyśmy powierzyć panu wykłady o pańskiej epoce. Oczywiście od-
powiednio pana wynagrodzimy. Zapewniamy pełne, naprawdę luksusowe utrzymanie
w czasie pracy w naszej epoce i odpowiednią sumę po powrocie. Milion euro. A może
woli pan wypłatę w dolarach lub frankach szwajcarskich? Jak je wypłacimy? Proszę się
nie kłopotać, żaden problem. Już od XIX wieku mamy konta w szwajcarskich bankach.
Radziłbym też wykorzystać wolny czas w czasie pobytu u nas na leczenie. Tutaj w nie-
długim czasie grozi panu zawał. Skąd to wiem? Oczywiście przed podjęciem tej akcji
prześwietliliśmy pana, dosłownie i w przenośni. A zapewniam pana, że nasze techniki
medyczne są naprawdę nieporównywalnie doskonalsze. – To szalenie ciekawa propo-
zycja, ale nie mogę się dobrowolnie zgodzić. Nie mogę tego zrobić mojej żonie i dzie-
ciom! Zniknąć bez wieści, nie wiadomo na jak długo... – odpowiedziałem. – Drogi profes-
sorze – odrzekł Nemo, wielu ludzi w pańskim świecie znika bez wieści. Ale od czego
mamy nasz wehikuł czasu. Jeśli obiecałem, że odstawimy pana z powrotem, to znaczy
znajdzie się pan nie tylko w tym samym miejscu, ale w tym samym dniu i o tej samej
godzinie, o której rozpoczął pan swą podróż. Podobnie, jeśli ku memu wielkiemu żalo-
wi, odrzuci pan naszą propozycję. Pana bliscy nie zauważą nawet pana nieobecności.
Jeśli pana żona będzie się niepokoić, to dlatego, że zasiedział się pan dzisiaj w instytu-
cie, a nie z powodu pana wyprawy do świata przyszłości. – Jeśli się zdecyduję, czy będę
zobowiązany do zachowania tajemnicy po powrocie? – zapytałem. – Skądże – odpo-
wiedział z uśmiechem kapitan Nemo. – Naszym tajemnicom nic nie grozi. Cokolwiek
pan ujawni, będzie uznane za wytwór pańskiej wyobraźni. Może pan nawet napisać
powieść z gatunku science fiction. Zachęcam nawet pana do tego, profesorze. Jeśli
książka będzie się dobrze sprzedawać, może to stanowić skromne uzupełnienie pana
honorarium. *À propos* honorarium, raczej niech pan nie usiłuje przekonać urzędu skar-
bowego, że ten milion euro to honorarium za pańskie wykłady w roku akademickim
2123/2124. Proszę wymyślić jakąś bardziej wiarygodną wersję. Mogę pana zapewnić,
że i w naszej epoce urzędy skarbowe ciągle jeszcze istnieją i są tak samo dociekliwe. A
więc, jaka jest pana decyzja?”

Zdecydowałem się przyjąć propozycję kapitana Nemo, udania się wraz z
nim w przyszłość, do roku 2123. Oczywiście pod warunkiem, że odstawią mnie z po-
wrotem, w tym samym dniu, a nawet godzinie i minucie, kiedy rozpoczęliśmy naszą
podróż. Bawiło mnie, że nikt nie będzie w stanie spostrzec mojej nieobecności. Na-
sza podróż trwała... należałoby napisać sto lat. Ale na pokładzie latającego spodka,
który okazał się wehikułem czasu, odczuliśmy to jako dziesięć dni. Nie zmieniliśmy
zarazem naszego położenia względem miejsca, z którego wystartowaliśmy.

Wylądowaliśmy chyba na dawnym uniwersyteckim parkingu, na którym jednak teraz stał imponujący wieżowiec. Tak więc, ściśle rzecz biorąc, wylądowaliśmy na jego dachu. Jeden z członków załogi zaprowadził mnie do windy, którą z wielką prędkością zjechaliśmy najpierw na parter, gdzie w portierni powitała nas... recepcjonistka – robot. – Dzień dobry. Proszę podać kod rezerwacji – powiedziała. Mój towarzysz podał kilka cyfr. – Numer rezerwacji prawidłowy. Trzydzieste piętro, pokój 301. Witamy profesorze Abel, jesteśmy zaszczytni pańskim przybyciem. Znowu wsiedliśmy do windy, by wjechać na trzydzieste piętro. Mój towarzysz polecił mi przyłożyć oko do wizjera. Zrozumiałem, że kodem umożliwiającym otwarcie drzwi jest struktura tęczęwki oka, niepowtarzalna u każdego człowieka. Żadnych kluczy lub kart plastikowych, które można ukraść lub podrobić. Pokój był umiarkowanie obszerny, łóżko, biurczko, dwa krzesła, dwa fotele, stolik i szafa. W szafie było kilka ubrań, przypominających dresy, w różnych kolorach oraz bielizna. Dobrze, że Nemo o tym pomyślał, jako „porwany” nie mogłem przecież zabrać z sobą żadnego bagażu. – Proszę się rozgościć. Kapitan Nemo przyjdzie do pana za godzinę, powiedział mój towarzysz i skierował się ku wyjściu. Rzeczywiście, punktualnie po upływie godziny Nemo zadzwonił, że czeka na mnie w kawiarni na czterdziestym piętrze. Kawiarnia mieściła się na oszklonym tarasie z imponującym widokiem na cały kampus. Nemo siedział przy jednym ze stolików w towarzystwie przystojnej blondynki. – Poznał się państwo, to jest Meg, Będzie pana asystentką. Teraz zostawiam was samych – powiedział Nemo i pożegnał się. Po jego odejściu Meg zapytała: – czy pan się domyśla, profesorze, czemu zostałam pańską asystentką?

– Pewnie dlatego, że jest pani seksowna. Powiedziawszy to, ugryzłem się w język. Nie wiadomo, jaka poprawność polityczna obowiązuje w tych czasach. W moich czasach taka odzywka mogła być przyjęta jako przejaw molestowania seksualnego. – Bardzo panią przepraszam. To było niestosowne – sumitowałem się. – Nie czuję się obrażona, nawet przeciwnie, choć wolałabym określenie piękna, lub chociaż przystojna – z uśmiechem odpowiedziała Meg. – Jako studentka startowałam w konkursie na miss naszego Uniwersytetu. – I wygrała pani? – zapytałem. – Niestety nie. Ale uroda nie była jedynym powodem wyznaczenia mnie na pańską asystentkę. Skończyłam studia historyczne i odbyłam także szereg podróży w przeszłość, również do pańskich czasów. Mógł pan nawet zobaczyć mnie w waszej telewizji. Proszę mi mówić Meg. Rzeczywiście, teraz dopiero uświadomiłem sobie, skąd osoba Meg wydawała mi się od początku znajoma. – Kiedy zamierza pan rozpocząć wykłady? Tydzień panu na przygotowanie wystarczy? – Oczywiście, Meg, potrzebowałabym tylko kilku książek wydanych w moich i trochę wcześniejszych czasach. – Otrzyma pan odpowiednie e-booki. Nasza biblioteka zdigitalizowała wszystkie swoje zasoby z dawnych lat, proszę tylko wpisać tytuły do mojego smartfonu. – Chciałbym także zobaczyć salę wykładową. – Meg roześmiała się. – Mamy jedną zabytkową aulę, ale służy ona do wielkich uroczystości. Wykłady są transmitowane bezpośrednio do studentów, ściślej bezpośrednio do ich mózgów. Oczywiście mogą je percypować tylko ci, którzy się najpierw zalogują. Mogą

je percytować w dowolnym miejscu, w swoich pokojach, a nawet leżąc na plaży, czy pijąc piwo w pubie. Pod warunkiem, że jest tam zasięg transmisji. Słyszając to, pomyślałem, że oto spełniły się marzenia wielu pokoleń studentów, także z mojego rocznika. – Zaraz prześlę panu e-booki, o które pan prosił, profesorze – powiedziała Meg – a potem zapoznam pana z pracownią dydaktyczną, z której transmitować będziemy pański wykład. Najpierw proponowałabym udać się na badanie lekarskie.

W wyznaczonym dniu udałem się do Centralnego Szpitala Uniwersyteckiego. W portierni urzędował – jeśli to właściwe określenie – robot. Gdy wszedłem w jego pole widzenia, powiedział – Dzień dobry. Proszę podać nazwisko. Kiedy to zrobiłem, odrzekł – witamy, profesorze Abel. Profesor Morton czeka na pana w pokoju 190 na ósmym piętrze. Proszę skorzystać z windy numer dziesięć. Ponadto dodatkowo wydrukował potrzebne informacje na kartce. Superszybka winda wyniosła mnie na ósme piętro, gdzie nie bez pewnych trudności znalazłem pokój 190, nad drzwiami paliła się zielona lampka. Wszedłem do środka, gdzie oczekiwał mnie mężczyzna w średnim wieku, w białym szpitalnym ubraniu. – Witam pana profesorze Abel. Miło mi spotkać się z kimś sprzed stu lat. Ale bierzmy się do roboty Przysłał pan drogą elektroniczną wypełniona ankietę. – Wystukał moje nazwisko i kod na komputerze. – Program „Diagnosta” ją zanalizował. Wybrał kilka przypuszczalnych diagnoz i zaproponował kilka algorytmów diagnostycznych. Ale na tym etapie nie powinien pan się jeszcze niczym przejmować. Niektóre diagnozy zostaną, mam nadzieję, szybko wykluczone. Teraz zapraszam na właściwe badanie. Zaprowadził mnie do innego pomieszczenia, gdzie znajdował się inny człowiek (a może robot?) w białym szpitalnym stroju, Morton wskazał go i powiedział – To Servitius, robot medyczny. On się panem zajmie. Servitiusie, to profesor Abel, nasz pacjent. Po wszystkich odstaw go do mego gabinetu. – Witamy, profesorze Abel. Niech się pan położy na tej leżance. Da sobie pan radę sam, czy mam pomóc? – Położyłem się bez pomocy na ruchomej leżance. Po chwili wraz z leżanką wjechałem do dużej rury. W moich czasach miałem już badanie rezonansem magnetycznym, więc nie wzbudziło to mojego zdziwienia. Nie musiałem się rozbierać, zdjąłem tylko dla większej wygody marynarkę. Po kilku bądź kilkunastu minutach wysunięto mnie z rury. – Pana wyniki są już u profesora Mortona – powiedział Servitius. Udałem się z powrotem do gabinetu 190. Morton przeglądał już jakieś wydruki. – Już pan jest, doskonale. Gratuluję panu stanu zdrowia. Oczywiście, są pewne odchylenie związane z wiekiem, którymi będziemy musieli się zająć, ale ogólnie jest nieźle. – Panie profesorze, rozumiem, że zostałem dokładnie prześwietlony; rezonans magnetyczny czy coś podobnego. Ale nie pobrano mi krwi do badania... – Po co? Nie jesteśmy wampirami – zażartował Morton – ale teraz poważnie. Jest pan z pewnością świadom, że chcemy poznać stężenia różnych substancji nie tylko w płynach ustrojowych, ale także – a może zwłaszcza – w różnych stałych tkankach. Obecnie mamy takie możliwości. Aparatura, którą użyliśmy do zbadania pana, nie tylko umożliwi obejrzenie pańskiego wnętrza, ale także zarejestrowała stężenie licznych ważnych substancji w pańskich tkankach.

System „Diagnosta” postawił już panu precyzyjną diagnozę, a na podstawie całości dokumentacji, drugi system „Terapeuta”, dobrał już optymalną terapię. – Czy otrzymam jakieś zalecenia i recepty? – Oczywiście. Tu jest wydruk z pańskiego badania. To samo znajdzie pan na swoim laptopie. A recepty już są w komputerze apteki szpitalnej, proszę się tam udać, to na parterze. Ktoś pana zaprowadzi. Nacisnął jakiś guzik i w drzwiach pojawiła się robotka ustylizowana na hostesse; na mundurku miała plakietkę z napisem „Iva”. To zapewne było jej imię. Pożegnałem się z profesorem Mortonem, nie zadając mu pytania, które cisnęło mi się na usta: jaka była jego rola w tym wszystkim? W aptece szpitalnej czekała mnie jeszcze jedna niespodzianka. Nie otrzymałem żadnych tabletek ani tym bardziej zastrzyków, ale tylko dwa rodzaje plastrów, które miałbym sobie przylepiać na skórę rano i wieczorem. Kiedy zapytałem o tabletki, obsługująca mnie farmaceutka uśmiechnęła się i odrzekła – uczyliśmy się o nich na historii farmacji. Ale dziś już nikt nie rujnuje sobie przewodu pokarmowego. Uspokojony tym stwierdzeniem, udałem się w drogę powrotną do hotelu.

* * *

Przyszedł wreszcie dzień pierwszego mojego wykładu. Miał on się rozpocząć o godzinie 10.15. Meg poinformowała mnie, że raczej późna godzina rozpoczęcia zajęć jest skutkiem rozporządzenia rektora, który wziął pod uwagę, że studenci lubią balować do późna w nocy i co za tym idzie, dobrze wyspać się rano. – Ale dlaczego 10.15? zdziwiłem się. – Kwadrans akademicki jest wielowiekową tradycją, dlatego rektor postanowił ją uwzględnić w swoim zarządzeniu – wyjaśniła Meg i dodała – już czas, proszę zaczynać, profesorze!

– Nazywam się Adam Abel i jestem... czy też byłem, nie bardzo wiem jak to powiedzieć, profesorem historii na waszym, czy też raczej naszym Uniwersytecie na przełomie XX i XXI wieku. Mam wyłożyć wam historię XX wieku. Ale zanim zajmiemy się szczegółami, pozwolę sobie na jego ogólną charakterystykę. Gdybym was spytał, kiedy rozpoczął się wiek XX, odpowiedzielibyście zapewne, że w roku 1901. Zasadniczo to dobra odpowiedź, ale... pierwsze lata XX wieku niczym nie różniły się od ostatnich lat XIX stulecia. Od kilkudziesięciu lat panował w Europie pokój. Ludzie więc sądzili, że będzie on trwał wiecznie. Uważano, że wynalazek karabinu maszynowego wyklucza możliwość wojen. Bo jakże to, przecież ogień z karabinów maszynowych położyłby pokotem wszystkich żołnierzy wojujących ze sobą armii! A jednak wojna wybuchła latem 1914 roku. Iskrą, która zapaliła lont, był zamach na następcę tronu cesarstwa Austrii, arcyksięcia Ferdynanda. Ale aby iskra wywołała wybuch, lont musiał prowadzić do ładunku. A ten się niepostrzeżenie nagromadził. I tę datę – 6 sierpnia 1914 roku – powinniśmy uważać za koniec XIX i początek XX stulecia. Nic bowiem nie było już jak dawniej. Karabiny maszynowe rzeczywiście kładły pokotem atakujących żołnierzy, ale pojawiły się też czołgi, których pancerze chroniły od ostrzału. Ciężka artyleria pozwalała się zniszczenie na dużą odległość, tak że ani strzelający, ani rażeni, nie widzieli siebie nawzajem. Pojawiły się także samoloty, ale

musiało jeszcze upłynąć wiele lat, zanim zaczęły być naprawdę groźne. Europejscy politycy i generałowie doszli do wniosku, że jeśli wypchną jeszcze więcej mężczyzn na front, na jeśli nie pewną, to wielce prawdopodobną śmierć, to odniosą zwycięstwo. Zapomnieli tylko o rzeczy oczywistej: że pola trzeba zaorać, obsiać, zebrać plony, że fabryki muszą produkować – nie tylko broń. Nastął głód i niedostatek. I niezadowolenie. I to niezadowolenie, w większym stopniu niż sukcesy i klęski na polach bitew, zdecydowało o tym, kto wygrał, a kto przegrał wojnę.

Politycy, którzy zasiedli do obrad na Kongresie Pokojowym w Wersalu, byli przekonani, że oto owocem ich trudów będzie, jeśli nie wieczny, to chociaż stuletni pokój w Europie. Potrwał on niespełna dwadzieścia jeden lat. Na tym zrobimy przerwę. Jeśli macie jakieś pytania, możecie mi je teraz zadać. – Nie powiedział pan nic, profesorze, jaka rolę odegrała I wojna światowa w emancypacji kobiet – skorzystała z propozycji zadawania pytań Meg.

– Rzeczywiście – odpowiedziałem – I wojna światowa miała tu znaczenie zasadnicze. Kobiety, pozbawione swoich mężczyzn, bądź czasowo, bądź, niestety, nieodwracalnie, musiały wyjść ze swoich domów i stanąć do pracy w biurach, fabrykach, sklepach, a nawet na polach. Musiały – wybaczenie, że o tym mówię, jeśli nie założycь spodnie, to skrócić swoje sięgające kostek spódnice, i odsłonić łydki. Nie przez frywolność, ale z konieczności. Wróćmy jednak do spraw bardziej poważnych. Czy macie jeszcze jakieś pytania? – Przepraszam, ja mam jeszcze pytanie. Nazywam się Stan Kowalski i pochodzę z Polski. Chciałem zapytać, jaką rolę zdaniem Pana Profesora, odegrała pierwsza wojna światowa w odzyskaniu przez Polskę niepodległości. – To bardzo ważne pytanie. Ja mam także polskie korzenie i dlatego ten problem uważam za bardzo interesujący. Polska – a właściwie Rzeczpospolita Obojga Narodów, Korona Polska i Wielkie Księstwo Litewskie – zostały wymazane z mapy Europy pod koniec XVIII wieku. Sąsiednie mocarstwa – Rosja, Prusy i Austria podzieliły jej terytorium między siebie. To było fatalne w skutkach dla Polski. Ilekroć Polacy (razem z Litwinami, nie zapominajmy o tym) zrywali się do walki o niepodległość przeciwko najpotężniejszemu z zaborców – Rosji, mieli za swoimi plecami dwa inne, wrogo nastawione mocarstwa. Wywalczenie niepodległości było niemożliwe – trzeba byłoby pokonać równocześnie wszystkich trzech zaborców. Ale z drugiej strony, ta sytuacja miała jedną dobrą stronę – uniemożliwiła kulturalną depolonizację. Bo nie można było równocześnie skutecznie rusyfikować i germanizować Polaków. Nie bez znaczenia miało to, że – przynajmniej w dwóch zaborach – religia zaborców – protestantyzm w zaborze pruskim i prawosławie w zaborze rosyjskim, były odmienne od rzymskiego katolicyzmu większości Polaków. W tym przypadku nie chodziło bynajmniej o różnice doktrynalne, ale odmienną obrzędowość – to ona powodowała poczucie obcości. Ogół ludzi – nawet wykształconych – nie bardzo wie, jakie są różnice doktrynalne. Zdziwicie się pewnie, że różnica między katolicyzmem a prawosławiem, poza faktem nieuznawania papieża, jako głowy kościoła, sprowadza się do jednego słowa filioque, które katolicy, ale nie prawosławni, wypowiada-

ją w Credo. Ale nie zbaczajmy z tematu. Jeśli chodzi o sytuację Polski pod koniec pierwszej wojny światowej, to wydarzyło się coś nieprawdopodobnego, coś, co na zdrowy rozsadek nie mogło się zdarzyć: – wszyscy trzej zaborcy, mimo że walczyli po różnych stronach, ponieśli klęskę. Niemcy i Austria przegrali z Francją, Wielką Brytanią i Stanami Zjednoczonymi, a Rosja przegrała sama ze sobą. Wybuchła rewolucja komunistyczna, znana pod nazwą Październikowej. Polska odzyskała niepodległość. Armia Czerwona musiała najpierw pokonać Białą, aby moc zająć się Polską. A kiedy w 1920 r. spróbowała sobie Polskę podporządkować, poniosła klęskę.

Po krótkiej przerwie, którą poświęciłem na wypicie kawy, wróciłem do swego wykładu.

– Pierwsza wojna światowa zrodziła dwa upiorne totalitaryzmy: nazizm i komunizm, uosobione w dwóch postaciach – Adolfa Hitlera i Józefa Stalina. Obaj byli demonami zła. Zaczniemy od tego drugiego, bo jest bardziej złożony. Komunizm był próbą wprowadzenia w życie utopii XIX-wiecznych filozofów, zwłaszcza Karola Marksa. W ogromnym skrócie tzw. marksizm polegał na przekonaniu, że wszelkie zło płynie z własności prywatnej. Zlikwidujemy własność prywatną, a będzie raj na ziemi. Biednych było znacznie więcej, niż bogatych, zwłaszcza w carskiej Rosji, więc nietrudno było wywołać rewolucję.

Osobiście uważam, że jeśli próbuje się urzeczywistniać nawet najszlachetniejsze utopie przemocą, zawsze kończy się to źle. W nazizmie z kolei ważną rolę ideologiczną odgrywał rasizm. Do tego jeszcze powrócimy. Jak już mówiłem, pokój potrwał tylko dwadzieścia jeden lat, Pierwszego września 1939 roku Hitler, za przyzwoleniem Stalina, napadł na Polskę. Stalin dołączył do niego 17 września. Francja i Wielka Brytania, związane z Polską sojuszem, wypowiedziały Niemcom wojnę. Wielka Brytania miała potężną marynarkę, ale nie miała armii mogącej wiele zdziałać na lądzie. Francja miała potężną armię lądową, ale brak jej było ducha do walki. Nawet kiedy Niemcy, pokonawszy Polskę, skierowały się przeciwko niej, nie umiała się obronić. Hitler, pokonawszy gładko Francję, próbował bombardowaniami lotniczymi wymusić kapitulację Wielkiej Brytanii, ale poniosłszy wielkie straty na skutek działania brytyjskich i sprzymierzonych lotników – wielką rolę odegrali tutaj lotnicy polscy – zwrócił się na wschód i zaatakował Związek Sowiecki. Początkowo odnosił duże sukcesy, ale potem trafiła kosa na kamień. Przyczyny tego były wielorakie, ale chciałbym wspomnieć o jednej z nich. Hitler był fanatycznym rasistą; to było źródłem jego największych zbrodni na czele z Zagładą Żydów, ale także jego klęsk. Traktował Słowian jako podludzi. Nie miał zamiaru (szczęśliwie dla nas) założyć (nawet fałszywej) maski „wyzwoliciele” od komunizmu. Ludzie w Związku Sowieckim, nawet niechętni stalinizmowi nie mieli zamiaru podporządkować się nowemu uciskowi. Nie mamy tu czasu opowiadać o zmiennych kolejach Drugiej Wojny Światowej, do której dołączyły się m.in. Japonia oraz „główny rozgrywający” – Stany Zjednoczone. Najważniejsze były jej rezultaty. Niemcy hitlerowskie i ich sojusznicy zostali pokonani. Stany Zjednoczone i Związek Sowiecki triumfowały. Europa została podzielona na dwa wrogie bloki, oddzielone, jak to trafnie określił

Winston Churchill, żelazną kurtyną. Wschodnia część została ściśle podporządkowana Związkowi Sowieckiemu. Niemcy zostały przepołowione. Paradoksalnie, wojna, która zaczęła się w obronie niepodległości Polski, przyniosła jej absolutną „podległość”, tylko nie hitlerowskiemu Niemcom, lecz stalinowskiemu Związkowi Sowieckiemu. Pokój, który po niej nastąpił, miał charakter „zimnej wojny” między dwoma wrogimi obozami. Oparty był na „równowadze strachu”. Obie strony dysponowały bowiem straszną bronią, jaką jest broń jądrowa. Wynaleziona pod koniec wojny z przeznaczeniem na Hitlera, w końcu użyta została przeciwko Japonii. Światowy pokój trwał, ale oczywiście w różnych, oddalonych od Europy krajach, zdarzały się pomniejsze wojny. W końcu, z końcem lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, „zimna wojna” zakończyła się zwycięstwem Zachodu. Zniewolone kraje Europy Wschodniej odzyskały niepodległość, a Związek Sowiecki się rozpadł. Jakie były tego przyczyny? Jak zwykle, był to zbieg różnych wydarzeń, natury materialnej i duchowej. Przyczyną materialną było niewątpliwie to, że Związek Sowiecki zaczął zostawać w tyle za Amerykanami w wyścigu zbrojeń. Istotnym czynnikiem natury duchowej był też wybór na papieża Polaka, kardynała Karola Wojtyły, Jana Pawła II. Stalin, który swego czasu ironicznie pytał, ile dywizji ma papież, uzyskał – wprawdzie dopiero ma tamtym świecie – odpowiedź na to pytanie. W Polsce powstał wielomilionowy ruch „Solidarności”, niezależny od władz, formalnie związek zawodowy, a w rzeczywistości partia opozycyjna. Ostatni przywódca Związku Sowieckiego, Gorbaczow, nie mogąc liczyć na sukces w orężnym starciu, zadeklarował „pierestrojkę”, niezbyt konsekwentną liberalizację systemu. Wiem, że wszystko od początku bardzo uprościłem i dopiero w następnych wykładach będziemy to musieli sobie poukładać. Chciałem wam jednak ukazać migawkę, a właściwie kilka migawek XX wieku. Kiedy zakończył się wiek XX? Tu znowu mamy problem. Formalnie, skończył się dnia 31 grudnia 2000 roku, ale w rzeczywistości, mimo iż później się zaczął, to wcześniej się skończył – w końcu ósmej i na początku dziewiątej dekady. – A czy może pan profesor powiedzieć coś o XXI wieku? – zapytał któryś ze studentów. – No cóż, w XXI wieku nie byłem obecny zbyt długo. Jak na razie, tylko do czerwca 2023 roku. Nie wiadomo, jak długo będę jeszcze żył, gdy wrócę w tamte czasy. Wiek XXI zaczął się dla nas niezbyt szczęśliwie. Najpierw pandemia koronawirusa, która gdy opuszczałem tamte czasy, zmierzała ku końcowi, ale nie byliśmy pewni, czy rzeczywiście się skończy. Potem wojna: Rosja zaatakowała Ukrainę. Czy Trzecia Wojna Światowa już się rozpoczęła? To raczej wy powinniście wiedzieć, co się dalej stało...

Potem, w ciągu roku akademickiego 2123/2124 wygłosiłem jeszcze wiele bardziej szczegółowych wykładów, poświęconych historii wieku XX. Pod koniec czerwca 2124 roku moi gospodarze wywiązali się ze swego zobowiązania. Wehikuł czasu, pod dowództwem kapitana Nemo, przetransportował mnie z powrotem do 2023 roku. Wylądowaliśmy późnym wieczorem 13 września 2023 roku na prawie pustym uniwersyteckim parkingu, na którym ciągle stał mój wysłużony samochód. Pożegnałem się i pojechałem nim do domu.

Grażyna Perlińska

Jest ze mną

w nocy przyszedł
do mnie wiersz
i prosił wypuść mnie
wypuść...
otworzyłam cichutko
drzwi wyobraźni
uchyliłam je
– weź szal, bo mróz na dworze
szybko przelałam myśli na kartkę
wyjrzałam przez okno
zobaczyłam ślady
drobnych stópek na drodze
które szybko zasypał śnieg
a mój kolorowy szal
powiewał lekko zaczepiony
na żywopłocie...
rano wiatr odsłonił napis
jestem tu...

Limit na miłość

przysnęłam na chwilę...
dopadł mnie wirtualny świat
gdzie wszystko jest ściśle określone...
zero-jedynkowe
najlepiej na kartę kredytową
z emocjami – nie zmieściłam się w ramkę
– jesteś poza zasięgiem
– twój limit na miłość został wykorzystany...
jak to możliwe? kto to zrobił?
obudziłam się na szczęście
w zwykłym świecie
ale czy na pewno?

Transakcja

zauroczona delikatnością
wpadła w ramiona motyla
wielobarwny pył pokrył oczy
fatamorganą...
przyszłość zataczała szerokie kręgi
przypadkowy deszcz
obnażył rzeczywistość
paryska uliczka okazała się ślepą
zniknęły marzenia
– odstąpiono od transakcji wiązanej...

Dwa światy

ona miała najwyżej pięć lat
stała milcząca – trochę nieobecna
jakby zamknięta w szklanej bańce
podałam rękę i poszliśmy razem
zaskoczona matka podbiegła
– ma autyzm –
wiem – odparłam cicho
– ma swój świat...
w gabinecie wyjęłam
jedną z moich lalek
– jest twoja –
dziecko przytuliło się
– bańka pękła –
dwa światy połączyły się...

Słowiec marzeń

trochę miodu
plasterek pomarańczy
szczypta gorzkiej czekolady
uśmiech dziecka
kilka słodkich malin
jedno błękitne spojrzenie
jedno przytulenie
wszystko ciasno zapakować
– ułożyć się marzenie...
teraz słowiec zakręcić
i w wiadomym sobie miejscu schować
a kiedy zrobi się smutno
– otworzyć i skosztować...

Kazimierz Pichlak

Z żebra

Z twego żebra
Zrodził się poeta
Liryk
Któż by inny
Skoro ty
Maczałaś w tym serce
Gada
Co mu
Twoja
Ślina
Na język przyniesie
Pisze
Pod dyktando
Mowy twego ciała
Często elokwentnej
A to epopeje
To haiku ledwo
Ale też nabrzmiałe
Znaczeniem co znaczy
Ten z twójego żebra
Bywa dość pogodny
Co raczej zaświadcza
Że kiepskim poetą

Jestem

Jestem bezwiatrem
Nie kołyszę drzew
Nie porywam parasoli
Nie rozwiewam włosów
Jestem szklaną kulą
Przezroczystą po niewidoczność
Jestem deszczem bez kropli
Który nic nie przemoczy
Jestem ręką w bezruchu
Żadnej struny nie trącam
Jestem rzeką bez nurtu
Taka się nie stanie
Łupem oceanu
Jestem niemym pianinem
Z zaklęszczonym klawiszem
Jestem szeptem o życie
Wschodzącego źdźbła trawy
Jam ptakiem płochliwym
Co czeka na wyrok
Powietrza ziemi i wody

Marzyłem

Marzyłem jak każdy
Ponad miarę i możliwości
A jednak...
Chciałem wód naporstek
Pływam w Pacyfiku
Może płomień świecy
Piec hutniczy zamiast
A gdyby choć przeciąg?
Szkwał i huragany
Mierzwią koafiurę
Chociaż jedna kropla
Oberwanie chmury
Z tym mam do czynienia
Gwiazdy choć odbicie
Pluszczą się miliony
W źrenic oceanie
Zwołują następne
Myślałem że życie
To droga ku między
A wciąż nie doszedłem
Do granic kosmosu
Marzyłem
O niemożliwym
Doświadczyłem cudu

Bez cudu

Piłem wino z twojego pępka.
Kto je tam nalał?
Przypuszczam.
Kto je wypił?
Wiem.
Było czerwone jak wargi
Przygryzione do krwi.
Mówiłem – nie drzyj,
Bo wystąpi z brzegów.
Odbite płomienie świec parzyły.
Nie uroniłem
Ani kropli.
Dno było blisko.
W studni
Dudniło
Echo
Nienasycenia.
Kana Galilejska
Nie zdarza się codziennie.

Anna Pituch-Noworolska

Słowa i książki

Książki

Lubię
Gdy słowa płyną powoli
Cichymi rzekami w dolinach
Obejmują brzegiem
Sny bohaterów
Ich marzenia
Zapomniane gesty i dni

Lubię
Gdy słowa ukrywają
Swoje drugie dno
Znaczenie nieoczywiste
Przybyłe z innych światów
Odgłosy miast i ludzi
Których już nie ma

Lubię
Gdy słowa wymykają się
Prostym linijkom tekstu
I są jak my
Niepowtarzalne

Czytanie książki

Słowa karne, uszeregowane
Zapięte na przecinki
Milczące, zamknięte w sobie
I na stronach

To ja
Otwieram ich znaczenie
Każdego po kolei i wszystkich w szeregu
Odbieram ich milczenie
Znaczenie to pierwsze oczywiste
I to ukryte głębokie jak morskie dno
Kradnę ich dusze

Zamykam książkę
Spoglądam na gwiazdy i księżyc

Słowa

Idą
Równo, cicho,
Uporządkowanym szeregiem
Bezszelestnie.
A gdy przejdą
Nie zostaje nic,
Nawet zapach.

Stoją
Twarde, bezczelne
Z zaciśniętymi pięściami,
Bezwzględne

Patrzą
Nie odchodzą
Mimo cienia nocy
Tkwią bolesnym milczeniem
Świadomością istnienia

Są od zawsze
I zawsze jest ich za dużo.

Wiersz

Napisz wiersz – powiedziałaś
Pustka kartka
Zachichotała, zatarła ręce
Zatańczyła
Aż zmęczona upadła na biurko i zasnęła
Bo ile można czekać
Na słowa, obrazy, sylwetki ludzi
I tamte minione kalendarze
Zapisane codziennym życiem

Czekała aż zszarzała
Wciąż pusta

Ogród słów

Ścieżkami wysypanymi białym żwirem
Kroczył ogrodnik
Oglądał, oceniał, sadił,
Ważył, czas, pogodę, piękno.

Prowadził dialog
Odejdź – mówił do ptaka –
To krzew o małych ciernistych liściach,
Kwitnie rzadko, samotnym kwiatem
Choć rośnie szybko i gwałtownie.

Wróć – mówił do cienia –
To niezwykle kwiat
Chybotliwy, zmienny,
Rośnie wolno, cicho.

Pochylony ogrodnik
Dotykał go delikatnie
Prosił, przemawiał
Lecz kwiat umierał.

Na moście Dante patrzył
Jak Beatrycze odchodzi w dal...

JESIENNE ŁOWY

Zapadał zmierzch. W małej komnacie z niewielkim oknem została tylko ona. Na dębowym stole leżało bielone płótno, które haftowały trzy kobiety, powoli, cierpliwie wypełniając rysunek kolorowymi nićmi. Tamte już poszły zmęczone całym dniem pracy. Ona powoli oglądała haft według jej rysunku. Twarz mężczyzny, który stał na skraju lasu w myśliwskim stroju obok konia, była jego twarzą. Każdy go pozna. Narzucony na kaftan luźny płaszcz miał kolor czerwonego wina. Pasował do reszty haftu – ciemnych pni drzew, brązowiejących buków i dębów, jasnej i złotej barwy liści klonu. Żółtawe rżysko stanowiło tło. Teraz zastanawiała się nad rysunkiem drugiego brzegu tkaniny, pomyślanej jako obrus. Narysuje zamek, ogród, rzekę i miasto w oddali. I tak był to trudny haft. Jeszcze raz spojrzała na twarz mężczyzny. Był silny, władczy, ale nie okrutny. Jasnorude włosy dodawały mu blasku, zwłaszcza, gdy świeciło słońce, a on nie chołał ich pod siatkę czy kaptur. To spotkanie, tam na polanie, zmieniło jej los.

Tamtego lata, z ojcem, który jako łowczy miał zapewnić obfite łowy jesienne, objeżdżała konno w ich lesie polany, by znaleźć najlepsze miejsce na zasadzki dla łuczników i naganiaczy z bębenkami i piszczałkami. Należało wytyczyć drogi omijające zbyt gęste poszycie, krzaki, zdradliwe bagno. I wtedy, na skraju lasu, spotkali trzech jeźdźców. To był on z dwoma towarzyszami. Dlaczego jechali przez las, a nie traktem, dlaczego właśnie tędy... Zsiadli z koni, pochylili się w ukłonie. Żałowała, że nie ma upiętych włosów, jak na córkę łowczego przystało. Pan zsiadł z konia, podszedł do łowczego i zamienił z nim kilka słów. Potem podszedł do niej, uniósł jej twarz do góry.

– Masz piękną córkę. Ile ma lat? – zapytał, zwracając się do jej ojca.

– Skończyła szesnaście, panie... na Boże Ciało.

– Trzeba ją nauczyć, przyprowadź ją na zamek, do ochmistrzyni. Jak będzie chętna, to zostanie w służbie.

Odjechali. Ojciec bardzo zamyślony jechał wolno. Już nie oglądali polan, zasadzek. Wracali do domu. W noc długo z matką siedzieli w kuchni w milczeniu, choć świeca dawno zgasała.

Spakowała swoje suknie, pościel i wyruszyła. Ochmistrzyni była tęgą, gburowatą kobietą. Zaprowadziła ją bez słowa do małej izby na poddaszu. Z okienka widziała las i dymy z kominów osady, gdzie był jej dom. Następnego dnia obeszała z nią zamek – skrzydło, w którym były kuchnie, pralnia, garderoby, piwnice, było najstarsze. Miało małe okna i grube, zimne mury. Kiedyś tu jadano i dlatego salę ze starym dębowym stołem zwano nadal jadalną, choć obecnie wykorzystywano ją jako pomieszczenie, w którym po praniu naciągano i wyrównywano lniane płótna, służące za obrusy, prześcieradła, zasłony. Pod ścianami leżały kosze, nosidła, plecionki wiklinowe, zimą stawiane przy kominkach, żeby

iskry nie wywołały pożaru. Skrzydło reprezentacyjne było nowsze, jasne i bardziej przestronne, choć wszyscy narzekali, że noszenie z kuchni potraw i zastawy jest uciążliwe. Najdalsze skrzydło było mieszkalne – sypialnie, komnaty pani i pana, dwórek i pokojowych. Cały zamek nie był wielki, ale urządzony ze smakiem. Stoły i krzesła były mocne z dębowego drewna, na krzesłach leżały poduszki w kolorowych powłoczkach, w oknach wisiały zasłony. Ta część zamku była bardziej przytulna i wygodna.

Jej nauka zaczęła się od pomocy przy posiłkach. Szybko okazało się, że potrafi ozdobić stół, tak ułożyć zastawę, żeby było znacznie ładniej, ciekawie dla gości. Po kilku niedzielach została zaproszona na wieczerzę wraz z innymi kobietami służącymi w kuchni i w ogrodzie. Weszła z bukietem kwiatów, który ułożyła na środku stołu. Usiadła na końcu stołu z pozostałymi kobietami ze służby. Gdy chciała odejść po zakończonej wieczerzy, pan zatrzymał ją gestem i przywołał do siebie, wskazał miejsce obok i podał jej wino w niewielkim pucharku. Rozmawiali o łowach, o puszczy, zwierzyńcu, sokołach, łucznictwie długo w noc. Znała się na tym, lubiła to, więc mieli wspólny temat. Ale kolejna wieczerza była inna. Byli goście, z którymi pan prowadził trudną dyskusję. Podniesione głosy o ostrych barwach słychać było poza jadalnią. W końcu pan został sam i wtedy przysłał pokojowca po nią. W milczeniu pili wino, a potem wzięła ją za rękę i poprowadził do swojej sypialni. Mogła krzyczeć, uciec, ale... jego uścisk dłoni był męski, równocześnie miły i delikatny, jakby mówił – proszę – a nie – musisz, bo ja jestem twoim panem, bo jesteś u mnie w zamku, bo nie masz dokąd uciec... Niespiesznie rozbierał ją z szat, powoli, delikatnie, w milczeniu pieścił, dając możliwość, że jeśli ci to niemiłe, jeśli wbrew twojej woli, to możesz odejść, jeszcze czas. Odczuwała przyjemność, poczucie ufności, jego delikatność, więc milczała poddając się jego dłoniom, co oznaczało przyzwolenie.

Słyszała plotki, że nie odwiedza sypialni swojej żony, że nie ma potomka, że płaci na wychowanie dzieciom w osadzie, więc to pewnie jego bękarty... Słyszała, że każdy wyjazd do osady tej czy sąsiedniej, to polowanie na kolejną młodą kobietę... Ale nie słyszała, by był gwałtownikiem, by narzekały na przemoc, okrucieństwo... Poddawała się jego pieścizdom. Nie myślała o tym, że jest kolejną kochanką, kolejną zdobyczą, że nie wyjdzie za męża, bo nikt jej nie zechce, że to pewnie dlatego ojciec nie cieszył się z propozycji pana...

Tej nocy nie było pełnej rozkoszy. Tego doświadczyła później. Świtem wróciła do siebie i wtedy przyszła refleksja o jej roli w zamku. Pewnie już każdy wie, że jest kolejną, że jak sarna wpadła w pułapkę. Ale nikt nic nie mówił, dzień minął jak zwykle. Kończyło się lato. Pomyślała, że jak wiele innych kobiet pewnego dnia będzie musiała odejść z zamku. A jakby zostawić coś na pamiątkę? Wczoraj widziała nowe płótno przygotowywane do obszycia na obrus... A jakby na nim coś wyhaftować? Widziała w myślach obraz polowania, osady, lasu... Znalazła w kuchni nadpalone gałązki – posłużą za węgiel do rysowania. Ku jej zdumieniu ochmistrzyni chętnie się zgodziła, znalazła dwie młode dziewczyny do pomocy przy haftowaniu, przywiozła z targu farby i pędzle do namalowania rysunku i cały kosz kolorowych nici z cienkiej

welny i lnu do haftowania. Zaczęła rysować. Pojawił się las, zwierzyzna na polanie, mężczyźni z psami. Przed lasem stał łowczy z twarzą jej ojca, sokolnicy i pan. Obok konie, ale tylko dwa, bo nie umiała dobrze namalować konia, który nie biegnie, nie ma rozwianej grzywy i ogona. Zaznaczyła farbami kolory i wtedy powoli zaczęły haftować. Tego dnia kończyła płaszcz pana, jego twarz... Nie zauważyła, kiedy nadzedł wiecзор, a wszyscy już poszli i jest sama...

Usłyszała zza drzwi znajome kroki. Czekwała aż podejdzie i jak zwykle weźmie ją za rękę... Czekala, bardzo czekała... Coraz trudniej było jej ukryć niepokój, gdy mijal wiecзор, a on nie przychodził... Kroki umilkły, jakby zastanawiał się, czy wejść. W końcu wszedł.

– Chodź za mną – powiedział. Głos miał poważny, cichy, pełen niepokoju...

Zamarła... Nie wyciągnął ręki, nie spojrzal na nią. Więc to już, tak szybko... Pewnie jutro będzie musiała odejść. Szedł szybko, milcząc. Doszli do skrzydła reprezentacyjnego, ale skręcił w korytarz do skrzydła kobiecego, do pokoju swojej żony. Cofnęła się. Stanął.

– Potrzebuję twojej pomocy. Ufam ci. Moja żona jest chora, nagle. Chcę, żebyś była przy niej, pomogła. Jesteś cierpliwa, delikatna, pomóż jej...

Po cichu dodał – i mnie...

– Jutro przywiozę z osady medyka. Nie chciałbym, żeby umarła...

Weszli. Na kominku płonął ogień, ale w komnacie było chłodno. Kobieta była nieprzytomna, majaczyła, a krople potu spływały z twarzy na poduszki. Miała chrapliwy, ciężki oddech. Chwilami próbowała kaszleć, ale tylko wydawała głuchy odgłos, a wargi siniwały z wysiłku, który nie przynosił ulgi.

– Potrzebuję kogoś do pomocy – powiedziała cicho. Zawołał pokojowca, a potem dwie dziewczyny ze służby.

– Potrzebuję czystej, zimnej wody i płótna na okład na głowę, ciepłej wody do umycia pani. Nowych prześcieradeł do przebrania łoża i lekkiego wina z wodą do napojenia...

Patrzył, jak się krząta. Zdał sobie sprawę, że ta młoda kobieta wie lepiej niż on, niż ochmistrzyni co robić, że jest szybka, sprawna.

– Zostaniesz tu z panią, a pokojówki przyniosą twoją odzież i pościel, żebyś nie musiała wracać do swojej izby.

Patrzyła na chorą. Zlepione włosy, szara twarz... A jeśli umrze? Zawsze zostanie podejrzenie, że nie dość dobrze o nią dbała, że nie zapobiegła tej śmierci, bo chciała zająć jej miejsce. A z drugiej strony, jeśli pani wyzdrowieje, to ona nadal będzie tylko nocną przygodą, a jej miłość nigdy nie zostanie dopuszczona do głosu. Pozostanie w ukryciu, w milczeniu...

Noc była lepsza niż dzień. Chora uspokoiła się, chrapliwy oddech zniknął. Napojona usnęła, a chwilami wydawało się, że jest bez gorączki. Przyjechał medyk. Obejrzał chorą, posłuchał jej oddechu, dotknął skóry, obejrzał mocznik...

– Dałaś jej pić, mimo że była bez świadomości. Nie bałaś się...

- Nie, człowiek bez wody umiera – odpowiedziała cichym, ale pewnym głosem.
- Mądra jesteś. Pilnuj jej, opiekuj się. Wyzdrowieje...

Jak powiedział medyk, tak się stało. Z każdym dniem było lepiej. W końcu pani mogła powoli przejść do jadalni, wyjść na dziedziniec, zejść do ukochanego ogrodu, który teraz jesienią był smutny i szary bez kwiatów, ale to był jej ogród.

Wróciła do swojej izby i do haftu. Przez ten czas pojawiły się wyhaftowane zwierzęta – na polanie jelenie i sarny pasły się żółknącą trawą. Wzięła węgiel i obok pana narysowała panią żegnającą go przed polowaniem. Zaznaczyła lekko kolory jej sukni i płaszcza, tak aby nie było wątpliwości, kim jest i aby pasowały do koloru jego stroju...

– Dlaczego to zrobiłaś? – zapytał wieczorem, gdy wszedł do komnaty i zobaczył rysunek.

– Ona nie jest niczemu winna panie, ona cię wciąż kocha – cicho odpowiedziała.

- Jesteś mądra, bardzo mądra.

Kochali się w milczeniu, gwałtownie, jakby następnego dnia miał się skończyć świat. Gdy świtem, już ubrana, spojrzała na niego, cicho powiedział – jesteś młoda, zaczekaj na mnie, zaczekaj...

Barbara Rysz-Postawa

Medytacja

wdech
wydech
lekki skłon sięgnąć do kosza z praniem wdech
rozwiesić koszulkę na suszarce wydech
chyba nowemu zleciłam premedykację wdech
a tak przecież mówiłam pielęgniarce wydech
mój czarny top na krótkim drążku wdech
znów zapomniałam kupić mleko wydech
t-shirt męża na długim drążku wdech
jutro na szczęście nie muszę się zrywać wydech
treningowa koszulka syna na krótkim wdech
tej rany nie da się odzobaczyć wydech
bluzka z długim rękawem na krótkim wdech
niech już to wszystko wyjdzie z mojej głowy wydech
wyrównać i naciągnąć szwy wdech
bokserki na długim jedne za drugimi wydech
uwielbiam rozwieszać te bokserki wdech
czarne szare granatowe wdech
skarpetki równo obok siebie wdech
każdą strzepnąć przed rozwieszeniem wydech
czarne po prawej szare po lewej wdech
wyrównać wszystko poprawić rękawy wydech
wdech
wydech

no
i panuję nad swoim życiem

Kawałek szczęścia

kawałek słońca oddam w dobre ręce
znalazłam wczoraj na trawie
oswojone nie gryzie
ciepłym jęzorem lubi lizać palce
mało wymagające
wystarczy mu tylko poduszka
lub trochę wody w szklance

nie może zostać ze mną zbyt długo

mam nadwrażliwość na szczęście

Mądrość

zastanawiam się czy
wreszcie przyszła do mnie mądrość
czy tylko zdziecinnienie
bo od pewnego czasu
codziennie rano
z beczelnym zadowoleniem
zupełnie bez pośpiechu
wylizuję
ostatnie krople kawy
z ulubionej filiżanki z uszkiem
na bakier

Rozwiązanie

a gdyby tak zwariować
tak pełnoprawnie
z przypisanym kodem rozpoznania

można by wreszcie z kimś dorosłym
tak na odmianę
porozmawiać o krasnoludkach

Tunel

pomimo całego piękna tego świata
i wszystkich cudowności
coraz częściej
z utęsknieniem wypatruję
lokomotywy z naprzeciwka

Dorota Roztoczyńska

Kilka kropli optymizmu

Marzyłam, żeby móc leczyć, zwłaszcza dzieci. Te najbardziej chore, bezbronne, malutkie. Zawsze uważałam, że to nie jest w porządku cierpieć na starcie życia. Dzieci nie powinny chorować! W 1983 roku, bez specjalnego przygotowania, bez korepetycji przystąpiłam do egzaminów wstępnych na Wydział Lekarski Akademii Medycznej w Krakowie. Pomimo że egzamin zdałam bardzo dobrze, szybko spotkało mnie pierwsze rozczarowanie. Okazało się, że ci, którzy gorzej ode mnie napisali egzamin, zostali przyjęci dzięki 10 punktom preferencyjnym za pochodzenie robotnicze lub chłopskie oraz 6 punktom za płęć męską. Mój ojciec się załamał. Po dwóch miesiącach spędzonych w depresji, odesłał generałowi Jaruzelskiemu wszystkie swoje odznaczenia i krzyż zasługi. Władze uczelni, w odpowiedzi na moje odwołanie zaproponowały mi podjęcie studiów na wydziale stomatologii lub farmacji. Ja jednak chciałam być lekarzem dzieci i postanowiłam pójść do pracy jako salowa, bo tylko w ten sposób mogłam otrzymać jakieś dodatkowe punkty do przyjęcia na UJ. Tak poznałam mroczną stronę medycyny.

Na oddziale dziecięcym słycać było przeraźliwy krzyk – krzyk mózgowy Anetki z zapaleniem mózgu po przebytej odrze. Leżała chudziutka w malutkim łóżeczku. Z powodu przykurczów i ogromnego napięcia mięśniowego wyglądała jak poskręcana gałąź drzewa, a wyraz jej twarzyczki pokazywał ból czy cierpienie? Nie mam pojęcia, bo nie udawało się z nią nawiązać nawet kontaktu wzrokowego. Kilka razy dziennie była karmiona przez sondę: z wielkiej strzykawki wyciskano kremową, półpłynną papkę. Sama chciałam krzyczeć! Nie krzyczałam... Bezmyślnie spędzałam godziny wśród pagórków brudnej bielizny i piżamek. Tony pieluch codziennie przechodziły przez moje ręce, a po segregacji, czekało mnie szorowanie podłóg, szafek, łóżeczek i przebieganie pościeli. Ręce przeżarte Lizolem trochę bolały. Pewnego dnia

zabrakło salowej na sali porodowej, gdzie zostałam oddelegowana. Kobieta urodziła pierwsze dziecko – nie krzyczało, było martwe. Pamiętam tę ciszę na sali, jak gdyby to sama śmierć odebrała poród i wciąż stała obok. Mnie wręczono jeszcze ciepłe zawiniątko z poleceniem: „zanieś do kostnicy”. Przytulałam maleństwo, nie wierzyłam... Chciałam z nim wrócić na salę. Było jeszcze ciepłe, a już sztywne, bo zawinięte w biały twardy kokon. Nie potrafię opisać tych emocji. Może raczej nie chcę...

Oddział internistyczny przepełniony był starszkami, którzy w ciągu dnia wymagali opieki. Wdzięczni za nakarmienie, podanie basenu, czegoś do picia, za każdą rozmowę. Lubiłam rysować, często więc zносиłam starszkom moje śmieszne i kolorowe obrazki z dedykacjami. Najbardziej cieszyli się ci, których nikt już nie odwiedzał. W nocy nie gaszono światła, bo karaluchy pełzały po chorych. Ilość tego robactwa na jednym pacjencie odzwierciedlała jego stan zdrowia: najbardziej chorzy, nie mieli sił ich zrzucić. Pamiętam tylko ból mojej bezsilności...

Oddział neurologii był dla mnie wyjątkowo obciążający fizycznie. Trudno było młodej i szczupłej dziewczynie podnosić ciężkich pacjentów z niedowładami. Najbardziej cierpiącą osobą na oddziale, była przepiękna, jeszcze młoda kobieta, z przerzutami raka piersi do mózgu. Potrafiła być przy tym ujmująco miła i starała się uśmiechać. Podziwiałam ją, nie potrafiąc sobie odpowiedzieć na pytania: DLACZEGO? ZA CO? Pogodziłam się z tym, że nie zrozumie i przestałam siebie pytać. Pewnego dnia, starszka z demencją została złapana bosa, zgarbiona, w samej koszuli nocnej, tuż przy windzie. Chciała uciec ze szpitala, a drabinka do siadania była za krótka, żeby się za jej pomocą wydostać przez okno. Ze złością wróciła na oddział, a dla odreagowania, laską uderzała w łóżko otyłego pacjenta na sąsiedniej sali, którego dopiero co wygodnie tam usadziłam. Starszka wielokrotnie zalecała się do grubego dziadka. Niestety bez wzajemności. Wieczorem pochylając się nad wanną, poczułam bardzo silny ból pleców – to było wypadanie dysku. Pomimo że wykonywałam wszystkie polecenia, starałam się, jak mogłam, pielęgniarki nie lubiły mnie. Uważały chyba, że jeśli mam być lekarzem, to powinnam sobie na to zapracować. Szorowałam korytarze, drzwi, szafki, okna, brudowniki, zmieniałam pościel, obsługiwałam chorych. Niestety spodobałam się pacjentowi, do którego miała słabość pani oddziałowa. Zapewne z tego powodu musiałam myć podłogę w kostnicy. Nie miałam pojęcia, że tyle różnych płynów wylewa się z nas po śmierci... Nie czułam żalu ani strachu, jedynie chłód kostnicy i ogromny smutek. Bezwzględność przemijania. Zrozumiałam wtedy, że bilet na życie jest tylko w jedną stronę. Ani razu nie miałam wątpliwości, że chcę ratować ludzi. Wraciałam do mieszkania kompletnie wykończona, czasem w nocy, czasem nad ranem, ale rzadko od razu kładłam się spać – musiałam się jeszcze uczyć.

Po roku ciężkiej pracy i nauki ponownie przystąpiłam do egzaminów. Byłam druga na liście, bo ktoś zapomniał o moich punktach za pracę i dopisał je obok ołówkiem. Widocznie tak miało być. To była lekcja pokory na całe życie. Do dziś wydaje mi się, że do medycyny weszłam wejściem awaryjnym.

Potem napisałam modlitwę.

MODLITWA

Ponizenie, zmęczenie.
Zwątpienie... Nic to!
Wstanę i pójdę.
Prowadź.

Walka, bezradność.
Porażka... Trudno.
Ból i śmierć.
I tak wola Twoja

Żal i bunt!
Gorycz łyż przęłyka!
Niepokorną ucz pokory.
Wybacz.

Zwycięstwo?
Sukces chroń przed pychą.
Przed lenistwem i rutyną.
Nie dopuść!

Szacunek.
Każdą myślą i słowem.
Pozwól służyć oddaniem.

Uważność.
Ocal przed błędem,
zaniedbaniem,
zaniechaniem i stratą.
Bez powrotu.

Wdzięczność.
Pozwól na spokój pewności.
Naucz rozumieć niepojęte.
Odpraw w końcu bez celu,
po wiecznym czuwaniu.

Dyżur 1

Był jesienny, świąteczny dzień, handlowa niedziela w czasach, gdzie atrakcją dnia wolnego były wycieczki do sklepów. Tłum dzieci w poczekalni SOR oczekiwał na wizytę lekarską. Czekały dzieci chore i zdrowe do przebadania ot tak – przy okazji zakupów w pobliskim centrum handlowym. Po godzinie 22.00 weszła do gabinetu cygańska matka, z trójką małych dzieci. Trochę kichały, bez cech poważnej infekcji. Od rana nie miałam czasu na posiłek i chciałam wyjść do toalety, ale trzeba było sprawdzić, czy romskie dzieci nie są poważnie chore. Bardzo się awanturowały i zabłóciły gabinet. Nie wiem, jak często dzieci były kąpane i nawet o to nie zapytałam. Badałam po kolei pierwsze, drugie, trzecie: najstarsze miało sześć lat, środkowe cztery lata, najmłodsze półtora roku. Nie pytałam, ile dzieci zostało w domu. Podczas wizyty dominowały wrzaski, chaos i pretensje. Podczas badania romskich dzieci, około godziny 23.00 weszła pielęgniarka, dołożyła jeszcze jedną kartotekę dziecka z informacją: „To sześciolatek, wymiotuje od 17.00”. Badanie trójki dzieci zajęło mi trochę czasu, wytłumaczenie ich mamie, co należy robić, było jeszcze trudniejsze, bo wydawała się nic nie rozumieć, a dzieci biegały po zabłoconym już mocno gabinecie, łapiąc, co można było złapać do ręki. W końcu poszli sobie. Odetchnęłam z ulgą, bo nie były poważnie chore – poza katarem, nie prezentowały innych cech infekcji. Nie poprosiłam następnego dziecka z kolejki oczekujących. Postanowiłam wyjść z gabinetu, żeby zobaczyć 6-latkę po wymiotach – byłam spokojna, bo to nie było małe dziecko i tylko kilka godzin wymiotowało. Pewnie poza lekkim odwodnieniem nic złego mu się nie stało. Zapytałam pielęgniarek, gdzie to dziecko z wymiotami od 17-tej? Usłyszałam, że śpi w triage. Wtedy w mojej głowie zapaliła się czerwona lampka: „Jak można spać w takim epicentrum zamieszania!” Podeszłam do chłopca – blade, wilgotne ciało, zamknięte oczy, szybki, płytki oddech i brak tętna na obwodzie! Wózek z małym ciałkiem szybko wypchnęłam z pomieszczenia w kierunku oddziału intensywnej terapii – był tuż obok. Udało się! Od tej pory po każdym przyjętym pacjencie wychodziłam na korytarz poczekalni, aby nikt tam nie umarł.

Dyżur 2

Nie lubię Bodzanowa. Nie znam tej podkrakowskiej miejscowości, ale od bardzo wielu lat, sam napis na tabliczce przy drodze napawa mnie lękiem.

To były lata dziewięćdziesiąte, nie pamiętam dokładnie który rok, pamiętam tylko, że to był piątek. Dyżur na pediatrii był dość spokojny. Na chirurgii tzw. tępy dyżur chirurgiczny, bez ostrych interwencji i zabiegów. Nie było anestezjologów, radiologów i zespołu bloku operacyjnego, gotowego do pilnych interwencji. Po godzinie 21.00 starszy dyżurny chirurgii odebrał telefon od lekarza karetki ratunkowej, która wiozła do nas dziecko z wypadku samochodowego w Bodzanowie – jego rodzice zginęli na miejscu. Dyżurny chirurg był świetnym specjalistą i bardzo szkoda, że stresy zawodowe wraz z paleniem papierosów zaowocowały śmiertelnym nowotworem.

Od lat nie ma go w zespole naszych lekarzy. Był wyjątkowo zdolny i przeprowadzał bardzo trudne zabiegi. Tego dnia, na dyżurze krzyczał do telefonu, że nie możemy przyjąć chłopca z wypadku, bo nie mamy kompletnego zespołu zabiegowego, blok operacyjny jest nieczynny, bo to jest tępy dyżur chirurgiczny, ale ktoś z karetki tłumaczył, że i tak dalej dziecka nie dowiozą. Spodziewaliśmy się zmasakrowanego, tonącego we krwi pacjenta, któremu nie będziemy mogli udzielić odpowiedniej pomocy. No cóż – i tak go do nas przywiozą. W atmosferze napięcia, bezradności, a nawet paniki, czekaliśmy na rozwój wydarzeń. Po chwili dojechała karetka i na SOR wjechał śliczny, 11-letni chłopiec, nieprzytomny, na wspomaganym oddechu, bez śladu jakichkolwiek obrażeń. Wezwany neurochirurg podjął szybką decyzję o badaniu tomografii komputerowej głowy. Tylko jak? Na tęym chirurgicznym? Nie ważne! Wszyscy z dzieciakiem wjechali do pracowni KT, gdzie zastaliśmy tylko ciszę i ciemność pod tytułem NIECZYNNE. Nagle pstryk i ciemny korytarz ktoś rozświetlił światłem starych, szpitalnych neonówek. Zobaczyliśmy skuloną postać na wózku inwalidzkim. Basia, świetny radiolog, chora od lat na stwardnienie rozsiane, została na noc w szpitalu, bo nie miała już sił pojechać do domu. Nasza radość! Mamy radiologa – robimy badanie!!! Mały wjechał w tunel NMR, my tłumnie za szybą. W ciszy cały zespół dyżurnych patrzył na skany mózgu ślicznego 11-lątka. Bezdech napięcia i nadziei: ściągniemy anestezjologa chirurgów, instrumentariuszki – musimy uratować małego!!!

Obrazy okrutnie wskazywały uszkodzenie pnia mózgu.

Rezygnacja, westchnienie, powrót do miejsc pracy... ani blok operacyjny, ani chirurg już nie są potrzebne. Małolaty w Bodzanowie wyjechały Polonezem z porządnej drogi w bok solidnego Mercedesa, tak skutecznie, że rodzice wraz z synkiem nie wymagali już ratunku. Aby matkę wydobyć, straż pożarna musiała ciąć karoserię Mercedesa. Z martwym ojcem było łatwiej. Sprawcom wypadku w piątkowy wieczór nic się nie stało. Chłopiec NN podpięty do respiratora miał czekać na identyfikację. Rano dwaj wujkowie, w ciemnych garniturach, jak czarne kruki nazwały dziecko i podpisały zgodę na przeszczep organów. Kolejne kruki w metalowych pudełkach zabierały organy. Podobno w nocy, na kardiologii dziecięcej zmarła dziewczynka, która od lat czekała na przeszczep serca.

Stara Panna

Kiedy skończyłam studia, pracowałam po stażu specjalizacyjnym na oddziale endokrynologii dziecięcej, którym dyrygowała stara panna – nie była piękna. Paliała bardzo dużo mocnych papierosów i piła herbatę koloru smoły. Musiałam siedzieć godzinami w jej zadymionej dyżurce i słuchać wywodów życiowych, diagnostycznych i długich planów epikryz do wypisów pacjentów, po zbyt długich pobytach diagnostycznych. Była samotna, raczej poczciwa, skrupulatna i apodyktyczna. W jej opinii perfekcyjna, a ja uważam, że męcząca. Dzieci były miesiącami diagnozowane, trafnie, lub niezbyt trafnie, ale to było jej życie, więc to musiało trwać długo, i być

docenione, bo ona przecież się poświęcała. Nic to, że nic z tego nie wynikało. Wykończona badaniami Asia nie mogła wstać z wózka inwalidzkiego, gdyż za późno rozpoznano celiakię z niedoborem IgA jako przyczynę złamań i obniżenia wzrostu o 12 cm. Inne dzieci nadal męczono badaniami w celu rozpoznania. Ja musiałam do późnego wieczora przepisywać na maszynie do pisania jej długie, dwadzieścia razy poprawiane wypisy i opisy działań diagnostycznych, nawet tuż przed Bożym Narodzeniem, kiedy mój mały synek czekał na mnie w domu. Po 50. urodzinach złapała pasję podróży – godzinami musieliśmy oglądać zdjęcia i wspomnienia z wypraw. Próbowaliśmy zorganizować jej życie prywatne, najbardziej pasował nam do niej samotny neurolog dziecięcy, ale ona się oburzyła: „On jest za stary!!!”. Zmarła samotnie i bezdzietnie, poświęcając się dla pacjentów i dalszej rodziny w 1997 roku, w wieku 57 lat. Dziś, drugiego stycznia 2024 roku, zobaczyłam klepsydrę „za starego” neurologa – przeżył 96 lat.

Jerzy Samusik

Tam, gdzie leczył Hipokrates

Północny wiatr pędzi nas w kierunku wyspy Kos. Stoimy wszyscy na pokładzie wpatrzeni w zbliżający się brzeg. Bez zachwytu. Wąskie plaże, wzdłuż płaskiego wybrzeża kilometrami ciągną się nieciekawe hotele. Tylko mury twierdzy joanitów przy głównym porcie stołecznego miasta Kos i pompatyczny neogotycki wzniesionej przez Włochów po I wojnie światowej siedziby ich administracji zatrzymują na dłużej nasz wzrok. I nawet później, gdy – zacumowawszy w świetnie wyposażonej, nowoczesnej marinie – idziemy ku śródmieściu nadmorskim bulwarem Akti Miaouli, ocienionym araukariami i rozłożystymi pióropuszcami niewysokich palm, nie zauważamy nic specjalnego. Tylko tawerny, kafejki i sklepy z pamiątkami.

Ale po chwili wyrasta przed nami potężna brama zamku joanitów, powstałego w latach 1450-1478. Na bramie herb jednego z wielkich mistrzów zakonu, z trudem da się rozpoznać na nim zatarte kontury statku i krzyż maltański. A z samego zamku niewiele zostało.

Na sąsiadującym z zamkiem małym placu rośnie przedziwne drzewo – platan tak stary, że z olbrzymiego pnia o obwodzie 14 metrów pozostały tylko zewnętrzne fragmenty. Odchodzą z nich obsypane zielonymi liśćmi potężne konary, podtrzymywane przez metalowe rusztowanie. Tabliczka na ogrodzeniu mówi, że to „drzewo Hipokratesa” posadzone przez najśłynniejszego lekarza starożytności, zwanego ojcem medycyny. Nie jest to jednak prawda – Hipokrates rzeczywiście urodził się na wyspie Kos, ale w 460 roku p.n.e., zaś platan liczy sobie nie więcej niż 600 lat.

Po jego obu stronach widzimy dwie fontanny zbudowane w XVIII wieku przez tureckich gubernatorów wyspy. Jedna z piaskowca, zadaszona, z czerwoną kopułą wspartą na sześciu niskich korynckich kolumnach, jest nieczynna. Druga – przerobiona z antycznego sarkofagu w kształcie koryta, do którego spływa woda – niegdyś służyła wiernym do rytualnych ablucji przed modlitwą w pobliskim meczecie Paszy Hassana, również wzniesionego w XVIII wieku. Z powodu bocznego portyku zwany jest „Meczetem z Loggią”. Gdyby nie strzelisty minaret, nie rozpoznalibyśmy w tym dwukondygnacyjnym, prostokątnym budynku, z dwoma rzędami dużych okien, muzułmańskiej świątyni. Jej parter zajmują sklepy, reszta pozostaje nieużywana od 1912 roku, kiedy Turcy opuścili Kos.

W oddali, w koronach drzew widnieje inny minaret zwieńczony czerwonym stożkiem. Przecinamy ulicę Hipokratesa i Metropoleos, by stanąć przed meczetem Defterdar, starszym o kilkanaście lat od Meczetu z Loggią. Mieści on mauzoleum Hadżiego Paszy, słynnego dowódcy wojsk tureckich z początków XVIII wieku, i jest wciąż czynną świątynią dla około 50 rodzin muzułmańskich mieszkających w Kos. Ale i w tym meczecie pierwszą kondygnację zajmują sklepy.

Za nim otwiera się Plateia Ekeftherias – niewielki, ale ruchliwy plac, przy którym stoją hale targowe, greckokatolicka cerkiew i zbudowane przez Włochów, w okresie międzywojennym, Muzeum Archeologiczne. Nie sposób go pominąć, gdyż posiada wspaniałe zabytki z okresu hellenistycznego i rzymskiego. Już w westybulu zachwycamy się świetnie zachowaną mozaiką z III wieku n.e., na której Hipokrates wita przybyłego na wyspę boga sztuki medycznej, Asklepiosa. Ułożono ją z kamieni i barwnej terakoty (głównie w błękitcie i brązie) w formie kwadratu o boku około trzech metrów. Dalej kolekcja rzeźb. Najcenniejszą jest niewątpliwie marmurowy posąg ojca medycyny z IV wieku p.n.e. Naturalnej wielkości figura pozbawiona została jednak obu stóp i prawego ramienia, ale głowa pozostała nienaruszona. Jest tam też grupa Dionizosa z Panem i satyrem, Artemida z psem i bogini zdrowia, Hygiena z wężem i jaskiem w dłoni.

Prosto z muzeum udajemy się na pobliski teren wykopalisk archeologicznych, które trwają nadal w miejscach niedostępnych do zwiedzania. W latach 1922-1933 włoscy badacze odkryli tu Meropis – miasto założone w 366 roku p.n.e. przez przybyłych z kontynentalnej Grecji Dorów. Miało prostokątną siatkę ulic i otoczoną portykami agorę, wybrukowaną marmurowymi płytami. Ich zarysy są widoczne jeszcze dzisiaj. Odkryto też resztki świątyń Afrodyty Pandemos, Heraklesa, Dionizosa oraz trójnawowej bazyliki z V wieku, a także rozległych domów z perystylami ozdobionymi mozaikami, przedstawiającymi figury geometryczne, rośliny, ptaki i sceny mitologiczne. Oglądane ruiny z trudem pozwalają nam wyobrazić sobie pierwotne kształty budowli. Z całego miasta, które w czasach świetności na przełomie IV/III wieku p.n.e. liczyło kilka tysięcy mieszkańców, pozostało tylko 17 świątynnych kolumn, stojących pojedynczo lub w małych grupkach, dwukolumnowy fragment propylejów, szczątki podestów, stopni, gzymsów, kamiennych bloków i kawałki ścian. Cały teren jest ogrodzony, ale kilka otwartych bram pozwala wejść na ten teren i swobodnie po nim wędrować.

Jeden z najważniejszych pomników starożytnej Grecji, Asklepiejon, leży na peryferiach stołecznego miasta, 4 km od centrum. Powstał w IV wieku p.n.e. na trzech tarasach wyciętych na stoku góry i połączonych monumentalnymi schodami. W centrum najwyższego z nich, zamkniętego w podkowę doryckimi kolumnami, znalazła się stoa, czyli długa, kryta dachem budowla, z kolumnadą od frontu i ścianą od tyłu, a przed nią stała świątynia Asklepiosa. Na środkowym tarasie miała miejsce świątynia Apollina i poświęcony mu ołtarz otoczony jońską kolumnadą, na najniższym natomiast, opasany z trzech stron portykami, znajdowały się źródła lecznicze, pomieszczenia dla chorych, lekarzy i administracji. Pozostały z nich tylko

resztki – stylobat stanowiący podstawę kolumnady, kilka kolumn, fragmenty ołtarza, podesty – ale na tyle charakterystyczne, że mogliśmy bez trudu zgadnąć, do jakiej świątyni należały i jaki miała ona kształt.

Asklepiejon był początkowo miejscem wypoczynku i rekonwalescencji, później zaś szpitalem i uzdrowiskiem. Chorych poddawano między innymi kąpielom, postom, inkubacjom. Ta ostatnia procedura polegała na przygotowaniu do terapii w świątyni Asklepiosa. Pacjent po złożeniu ofiar i spełnieniu obrzędów spędzał noc w przedsionku świątyni, a we śnie bóg sztuki lekarskiej miał udzielać mu rad. Aby inkubacja przebiegła w maksymalnie korzystnych warunkach, pacjenci powinni pościć wcześniej przez kilka dni i zachować wstrzemięźliwość cielesną. Zadaniem kapłanów była interpretacja snu i wskazanie kuracji. Dzięki stałym kontaktom z chorymi stali się ekspertami wiedzy medycznej, stosującymi jednakże wypracowane przez Hipokratesa metody stawiania diagnozy i leczenia. Uzdrawieni zaś pacjenci zostawiali w świątyni wota, najczęściej wyobrażające uzdrowioną część ciała, rzucali pieniądze do świętej sadzawki, wypisywali na tabliczkach historię choroby i uzdrowienia.

Hipokrates nauczył się medycyny od swojego dziadka i ojca, którzy mieli być w prostej linii potomkami Asklepiosa, natomiast matka miała wywodzić się od Heraklesa. Nic więc dziwnego, że uważano go za półboga-uzdrowiciela i chorzy ludzie ciągnęli na Kos ze wszystkich wysp Morza Egejskiego i z Grecji kontynentalnej. Hipokrates był pierwszym lekarzem, który przeprowadził klasyfikację chorób (w oparciu o istniejące, według niego, cztery płyny ustrojowe: krew, śluz, żółć i żółć czarna) i stosował dość racjonalne metody diagnostyczne i terapeutyczne. Leczył zniekształcenia kręgosłupa, opracował przyrząd do redukcji skoliozy, opisał sposoby amputacji kończyn i budowę protez oraz obuwia korygującego wady stóp. Zalecał stosowanie ćwiczeń mających zapobiec następstwom unieruchomienia i zwracał uwagę na dobroczynny wpływ tych ćwiczeń. Twierdził, że cała wiedza medyczna ma dwa potężne słupy, na których się wspiera, a mianowicie: ćwiczenia fizyczne i dietetyka. Nie tylko leczył, ale i nauczał jak leczyć, pisał traktaty naukowe. Spod jego pióra wyszło dzieło *O powietrzu, wodach i okolicach*, w którym podkreślał znaczenie środowiska dla zdrowia człowieka. W pracy na temat diety przedstawił znaczenie właściwego odżywiania się, w *Aforyzmach* zawarł twierdzenia i zasady medyczne, a na *Prognozy koskie* złożyło się całe doświadczenie lekarskie Hipokratesa. Pozostałe pisma, dotyczące anatomii, patologii, chirurgii i położnictwa złożono sto lat po jego śmierci w tzw. *Corpus Hippocraticum*. Są one jednak tylko przypisywane największemu lekarzowi starożytności, nie ma pewności, że on był ich autorem. Natomiast niewątpliwie Hipokrates sformułował przysięgę składaną po dzień dzisiejszy przez wszystkich adeptów sztuki lekarskiej, której zasadniczym przesłaniem była i jest maksyma: *Primum non nocere* (Przede wszystkim nie szkodzić).

Asklepiejon na Kos powstał już po śmierci Hipokrates (377 roku p.n.e.), mimo to zyskał największą sławę spośród ponad 300 poświęconych mu w starożytnej Grecji sanktuariów. Uszkodziło go znacznie trzęsienie ziemi w 27 roku p.n.e., ale rzymski

cesarz Klaudiusz nakazał go odbudować, aby mieć gdzie podreperować wątłe zdrowie. Ponowne trzęsienie w 554 roku zniszczyło kompletnie cały przybytek Asklepiosa. Do jego jeszcze większej zagłady przyczynili się joanicy, biorąc z ruin marmury i granity do budowy swojego zamku. Pierwsze prace wykopaliskowe na terenie Asklepejonu rozpoczął Francuz Payet w 1896 roku. Kontynuował je Niemiec Herzog, który w latach 1902-1904 wysyłał odkryte fragmenty starożytnych budowli do Berlina. W sposób bardziej racjonalny prowadzili wykopaliska w okresie międzywojennym archeolodzy włoscy. To, co udało im się wówczas wydobyć spod ziemi, podziwiają obecnie znawcy antyku i zwykli turyści z całego świata.

Kiedy obejrzeliśmy już dokładnie Asklepejon, będący w całości obiektem muzealnym, wróciliśmy do maryny, by w portowej tawernie uraczyć się szklaneczką czerwonej Demei, jako że przeciw Hipokrates przepisywał swoim pacjentom wino, aby najpierw wprowadzić ich w dobry nastrój i dopiero potem stosować właściwe medykamenty.

Mówi się, że wyspa Kos swoim kształtem przypomina krewetkę. Wybrzeże jest płaskie, zielone, żyzne, dobrze tu rosną warzywa, zwłaszcza miejscowa odmiana sałaty. Wzdłuż południowego brzegu ciągną się pagórki, na nich pastwiska i pola uprawne. Tylko w okolicy najwyższego szczytu Dikaios (846 m n.p.m.) widać lasy. Wiosną wszystko jest zielone, ale z nastaniem lata zieleń szarzeje i już pod koniec lipca dominują jesienne barwy.

Wypożyczonym samochodem jedziemy w głąb wyspy. Zaczynamy od północnego brzegu. Leżą tu obok siebie znane z pięknych, piaszczystych plaż Tigkaki, Marmari i Mastichari. Te małe wioski rybackie zamieniły się w zabudowane pensjonaty i hotele kurorty, a każdy pomieści kilka tysięcy turystów. Przyjeżdżają chętnie, zwłaszcza młodzi, bowiem wzdłuż wybrzeża prawie zawsze wieje morska bryza i przez cały rok można uprawiać surfing.

Najdłuższą, 10-kilometrową plażą szczyli się Tigkaki. Jest dość szeroka i świetnie nadaje się na długie spacery czy przejażdżki rowerem. Ale tylko wczesną wiosną, późną jesienią i zimą. W pełni sezonu całą plażę zastawiają leżaki, tłok nie do opisania.

W Marmari plaża jest o połowę krótsza, ale za to blisko stąd do słonych bagien Alikes. Zielonkawa woda bagien żywo kontrastuje z błękitem morza i żółtym piaskiem plaży. Przez lornetkę możemy obserwować szablodzioby, szczudłaki i inne, nieznanne nam ptaki brodzące po płycznach, a w miejscu, gdzie do saliny wdzierają się morskie fale, podglądamy żerujące żółwie wodne.

Mastichari to kilka tawern serwujących owoce morza w przeróżnych postaciach i port rybacki. Cumuje w nim burta przy burcie kilkanaście biało-niebieskich kutrów. Co jakiś czas wychodzą w morze, a gdy wracają z połowu, rybacy wynoszą na keję kosze pełne ryb, na które już czekają właściciele tawern. Po kilkunastu minutach keja pustoszeje, pozostają na niej tylko rozłożone do suszenia wprost na ziemi żółte i niebieskie sieci z czerwonymi pływakami. Plaża w Mastichari też ciągnie się przez

kilka kilometrów, a na jej zachodnim końcu, w miejscu, gdzie przechodzi w wydmy, wznoszą się ruiny wczesnochrześcijańskiej bazyliki Angios Ioanis. Są bardzo zniszczone i pewnie dlatego nie przyciągają turystów, ale można na ich teren wejść, by zobaczyć zachowane mozaiki z geometrycznymi wzorami.

Z Mastichari, kierując się na południe, docieramy do Antimachei. Nad wioską górują mury twierdzy zbudowanej w XIV wieku przez joanitów z Rodos. Zamek nie był jednak siedzibą krzyżowców rycerzy, lecz więzieniem dla ich wrogów. Z korpusu głównego nic już nie zostało, zachowały się jedynie dwie kapliczki, no i potężne mury zewnętrzne z bramą wjazdową, na której dostrzegamy herb mistrza zakonu, Pierre'a d'Aubussona. Wchodzimy na te mury, żeby rzucić okiem na okolicę. Widzimy rozległą panoramę, z oliwnymi gajami, winnicami i wioseczkami rozrzuconymi wśród niewysokich, pokrytych łąkami wzgórz, rozciągającymi się aż po Kardamenę na południowym wybrzeżu, największym i najnowocześniejszym kąpieliskiem na wyspie. Schodzimy na rozległy, o powierzchni jednego hektara dziedziniec. Porasta go wysoka trawa i bujne zioła pachnące odurzająco. Spod jednej z ukwieconych kęp wypelza nagle dwumetrowy wąż. Nie wiemy, czy jest jadowity, ale na wszelki wypadek szybko opuszczamy twierdzę.

Teraz kolej na opuszczone bizantyjskie miasto Palaio Pyli, leżące w odległości 4 kilometrów od współczesnej wioski Pyli. We wczesnym średniowieczu było ono stolicą Kos. Jego ruiny rozrzucone są na stokach i wierzchołku skalistej góry. Podjeżdżamy samochodem do jej podnóża i dalej już na piechotę wspinamy się krętą ścieżką między rozpadającymi się domami, zamkniętymi na cztery spusty zapuszczonymi kapliczkami, zrujnowanymi kościołami. Nikt tu już nie mieszka, nikt też ruin nie pilnuje; można wędrować, gdzie się chce. Po męczącej wspinaczkę docieramy w końcu do zamkowych murów wyrastających wprost ze skały na szczycie góry. I one, podobnie jak całe Palaio Pyli, przygnębiają swoją martwością.

Zupełnie inne wrażenie robi grupa wioski nazwana Asfendiu, położona 15 kilometrów od Pyli. Utworzyło ją pięć malowniczych osad: Agios Dimitrios, Asomatos, Ewanelistria, Lagudi i Zia, położonych na zalesionych stokach góry Dikaios. Każda z nich oglądana z oddali to wyłaniające się z zieleni skupisko białych klocków zebranych wokół kolorowej cerkiewki. Z bliska to mini miasteczko z płataniną wąskich uliczek ukwieconych oleandrami, kuflikami i pelargoniami. Pełno tu restauracji, kawiarni, sklepów i straganów obwieszonych bransoletami, wisiorami i mnóstwem innych ozdób w tak jaskrawych kolorach, że można na nie patrzeć tylko przez przeciwsłoneczne okulary.

Na obiad zatrzymujemy się w Zia. Co najmniej godzinę siedzimy na tarasie niewielkiej tawerny, obserwując uliczkę wypełnioną tłumem turystów. Rozgorączkowani przybysze oblegają stragany, spieszą się, potrącają, nawołują... Nagle zza zakrętu wytacza się wycieczkowy autokar i zaczyna trąbić, chcąc przegonić z drogi niezbyt młodego mężczyznę jadącego na osle. Na nic zdaje się to trąbienie, bowiem osiołkowi nigdzie się nie spieszy.

Bolesław Sawicki

Zapach ziemi

A myśmy myśleli że
będziemy kolonizować kolejne planety i gwiazdozbiory
zbudujemy wieżę do nieba
zatrzymamy Ziemię i czas
wiecznie młodzi nie będziemy umierać
Zapach sosny bliższy mi niż
cień marmuru i siła dębu
obietnica nieba
A myśmy myśleli że ON
przygotował
A ja myślę
że ziemia mi pachnie coraz bardziej
szczególnie po deszczu
i rano gdy biegnę
Oswajam się z tym zapachem

Żebrak

Msza poranna niedziela

Kościół rozświetlony ławki podgrzewane
nagłośnienie zbyt agresywne
Ołtarz szaty lśniące kolorem żółtym
Naczynia liturgiczne złote
Ogłoszenia parafialne
Taca w przyszłą niedzielę inwestycyjna
prosimy o ofiary w banknotach
aby mniej było hałasu rzucanych monet
Idźcie w pokoju
Temperatura na zewnątrz ujemna minus 10 Celsjusza
Przed bramą do kościoła na oblodzonym bruku siedzi mężczyzna
W rękę trzyma przybrudzony pęknięty na górnej krawędzi
kubek po jogurcie
Na dnie kubka kilka monet
Mężczyzna bez ruchu
odziany w za dużą postrzępioną kurtkę
Obuty w czerwone pantofle
(podobne robił polski szewc dla papieża Jana Pawła)
bardzo zdarte i popękane bez sznurówek
Prawa noga goła prawie do kolana
Na głowie długie włosy jak na obrazie w kuchni mojej babci u Jezusa
Kolor skóry jak twarz jasnogórskiej Madonny
Wierni idą w pokoju
pamiętają abyś dzień święty święcił
Spiesz się
Sporadycznie ktoś rzuca grosz do kubka
Tylko mała dziewczynka zatrzymuje się i krzyczy
mama Jezus
i czeka aż matka wysupła pieniążek
Mężczyzna unosi prawą rękę
a w niej między kciukiem i palcem wskazującym kawałek kromki ciemnego chleba
Na wychudzonej twarzy uśmiech
Z otwartych ust sterczą pokrzywione białe zęby
Dorzuciłem monetę do kubka chciałem coś powiedzieć
ale nie byłem w stanie
ściśnięte gardło
Odszedłem i łzy popłynęły po moich policzkach

Syllogomania i niepewność

Gdy byłem dzieckiem zbierałem znaczki pocztowe
Później zbierałem płyty winylowe
gromadziłem fotografie
cegły cement drut zbrojeniowy meble
samochody mieszkania
Liczyłem pieniądze

Stworzony na wzór i podobieństwo Boga
zdany na naturę i przypadkowe mutacje
Teraz liczę dni i lata
biegam chodzę w góry
By być
a może wiecznie

Z hospicjum

Żyły mnie pieką od środka
i idę kamienistą drogą
Nie wiem jak wygląda niebo
nie znam dnia mojego przejścia
Bóg zabiera
Nie
nie zamawiajcie mszy o uzdrowienie dobrą śmierć
Żyły mnie pieką od środka
przebodły pięty i pośladki
odleżyn żywych pięć
Usta pragną normalnej wody
niech siostra zwilży mi język
Nie czekam co będzie po moim odejściu
ale co będzie jutro
Pomóżcie mi obrócić się na drugą stronę
kamienistej

Góra

Jako mały chłopiec byłem ministrantem
żywiłem się białym okrągłym chlebem
i byłem pewny że skończę gdzieś w górze
Dziecięca geometria
Góra dół
Niebo piekło
Gdy byłem w Karpatach na nartach
słyszałem różne języki

śnieżne szaty drzew jaśniały bielą
jodły i świerki pochylone na zboczu
jak chińska terakotowa armia
I chciałem tam zostać
Bliżej nieba
Góra trwa
Nie traktuje nikogo z góry
czeka
nie przemieszcza się miliony lat
w czapie lodowej
w głębi rozgrzana
znosi smagania wichur trzęsienia Ziemi
sprowadza życiodajną wodę
daje dekalog
Nie będziesz miał innych gór nade mną
Teraz w bardzo dorosłym wieku
wspiąłem się na Gokyo Ri i Renjo Pass na wysokości 5410 metrów
z widokiem na Mont Everest Lhotse Makalu
góry starsze niż bogowie z Olimpu
niż Abraham
Budda Jezus i Mahomet
Ludzie mówili w różnych językach
Rozstawialiśmy namioty
Przychodził obłok i noc
Gdy się budziłem woda w naczyniach była zamrznięta
a uśmiechnięty szarpa Rudra gotów do trekkingu
W górę

Jacek Sroczyński

Inny wymiar

Gdy jest wyczuwalna bliskość,
Wpływu się nachodzą kręgi,
To się wtedy zmienia wszystko.
Wielokrotnie. Do potęgi!
Intensywniej żyją zmysły
Wrażeniami ponad miarę.
Wytłumaczyć w sposób ścisły
Można to innym wymiarem.
Tylko wszak w innym wymiarze,
Mogą być tak różne skale
Doznań, które bliskie marzeń
Burzą się jak w sztormie fale.
Czas – tęsknotą odmierzany
Nie porusza sekundnika.
Gdy się wspólne iszczą plany
Szybciej niż kamfora znika.
Bliskość się inaczej mierzy.
Na nic miary odległości.
Przepaść – to plamka odzieży,
Która broni od bliskości.
Przestrzeń! Wspólna w trójwymiarze!
Inna zaś jest płaska przecież,
Postrzegana znacznie szarzej,
Niż ta wspólna w barw palecie.

Światło jedną jest feerią
A mrok miękki jak aksamit
Dotyk jest jak wiatr nad prerią
Gdy surfuje rosa na nim.
Ciepło w żyłach i tętnicach
Emanuje wnętrza żarem
I bez przerwy je podsycą
To poczucie siebie wzajem.
Inny wymiar złota warty,
Lecz nie każdy się dostanie.
Trzeba mieć szczęśliwe karty
Choćby jeden raz rozdane.
W inny wymiar dwoje ludzi
Może przejść synergii siłą,
Której z zewnątrz nie ostudzi
Gdyby lodem się chłodziło.
Kto raz był w innym wymiarze
I powrócił zeń rad nierad
Chciałby znów go dostać w darze
Gdyby tylko mógł wybierać...

Rozpoznanie

– On ma romans – powiedziała przyjaciółce. Ten skurwysyn ma na pewno romans.

– Skąd jesteś taka pewna – zapytała przyjaciółka, nachyliwszy się bliżej.

Siedziały w Starbucksie przy dwuosobowym stoliku nad drogą paskudną kawą, podaną w kubkach z ich imionami.

– Bo jest inny – odparła. Zamyślony, zawiesza się jak zepsuty komputer, trochę nieobecny. Siedzi na kompie cały czas, że niby pracuje, a surfuje po jakiś stronach albo czatuje, czy ja wiem. I małowówny się zrobił. On! Małowówny!

– Od dawna?

– A od jakichś sześciu tygodni, może dłużej. Początkowo nawet nie zwróciłam uwagi, ale jak zaczął grzebać w dokumentach, polisach, aktach własności, to sobie pomyślałam, że nie tylko kogoś ma, ale rozważa... Aż mi się mówić nie chce... Przerwała, bo załamał jej się głos.

– Siadłaś mu na komórkę? Zapytała przyjaciółka.

– Nie, ma zablokowaną kodem, a poza tym, to nie w moim stylu. Zresztą chyba za mądry jest, żeby trzymać jakieś smsy.

– Każdy mądry nawet jak „złupieje”, to sobie ogląda po parę razy, co mu tam dupencja wypisuje – wiem coś o tym. Jaki to jej misiu przystojniak – kpiła przyjaciółka, jaki jedyny. Styl, stylem, ale jak masz na niego haka to zawsze lepiej.

– Powiedz, co ja mam teraz robić? – spytała

– Wybierz kasę ze wspólnych kont i daj na swoje, gdzie nie ma upoważnienia. Musisz się jakoś zabezpieczyć. Dorwij jego komórkę i daj do serwisu, to ci odzyskają nawet skasowane dane i zdjęcia. A potem stawiaj swoje warunki.

– No nie wiem sama. Myślisz, że to jest sposób?

– Oczywiście kochanie. Z nimi można tylko z pozycji siły.

Praca i obowiązki domowe nie zostawiały wiele miejsca na dochodzenie. Wieczorami jednak pilnie obserwowała męża. Zdecydowanie był bardziej zamyślony, a pytania o powód takiego stanu zbywał twierdzeniem, że wcale nie jest taki, to jej się wydaje i że może jeśli tak jest, to przez pracę, bo teraz finalizują ważny kontrakt.

Za radą koleżanki, weszła na ich wspólne konta bankowe, gdzie z przerażeniem odkryła wypłatę kilkukrotnie paru tysięcy i to w małych odstępach czasowych. Szybko założyła internetowo własne konto i przelała na nie lwią część wszystkich wspólnych zasobów.

– Wyjeżdżam na trzy dni do Danii – oznajmił mąż przy kolacji.

– Kiedy? – zapytała.

– Jutro.

– Co tak nagle?

– Kontrahent się zdecydował. Trzeba kuć żelazo, póki gorące – odpowiedział, nie patrząc na nią.

Miał wyłączoną komórkę, a komunikat o przebywaniu abonenta poza zasięgiem brzmiał niezwykle zrozumiale jak na duński.

Poprosiła przyjaciółkę, żeby zadzwoniła do jego pracy i dowiedziała się czegokolwiek, udając dawną koleżankę ze szkoły, która mieszka za granicą, a teraz będąc w Polsce odnajduje kontakty.

W pracy powiedzieli koleżance, że ma urlop. Nie, że wyjechał służbowo tylko, że ma urlop i mam zadzwonić w przyszłym tygodniu.

Sprawa jest oczywista – pomyślała. Wyjechał z dupą za ich wspólną krwawicę. Kutas. I nawet dobrze tego nie zakamuflował. Kutas i idiota.

Dwa kolejne dni wydawały jej się najdłuższe w życiu. Przygaszona w pracy, rozdrażniona w domu, opryskliwa dla dzieci. Nie przespala każdej nocy, więcej niż dwie godziny.

Drugiego dnia zadzwonił wieczorem, przepraszając, że zostawił komórkę na lotnisku przy kontroli bezpieczeństwa i dopiero teraz znalazł czas i możliwość, żeby zadzwonić, i że kontrakt ok, wypalił. Pytał co słychać w domu. – Jak wrócisz, to się dowiesz – rzuciła sucho, przerywając połączenie.

Rano skontaktowała się z prawnikiem, żeby się zorientować, jakie może przedsięwziąć kroki, aby zabezpieczyć siebie i dzieci.

Nienawidzę gada – myślała, żeby tak trupem padł. W mojej rodzinie nigdy nie było rozwodu. Trudno, będę pierwsza, ale nie pozwolę się tak traktować. Załatwię go i goły może sobie fruwać z dupami, ile chce, ale dzieci nie będą tego świadkami.

Kiedy wróciła do domu, był w łazience. Szum prysznicza, oznajmiał, że będzie tam dłuższą chwilę. Obwąchała jego garnitur schludnie powieszony na wieszaku. Nie pachniał damskimi perfumami. Przerzuciła zawartość jego torby podróżnej i nic nie znalazła.

– Głupia, a czego się spodziewasz damskich koronkowych stringów? – sumitowała się. Serce waliło jej jak szalone, a ręce drżały, kiedy przeszukiwała jego garnitur i płaszcz. Nic. Otworzyła leżącą na biurku aktówkę, z której na podłogę wypadła koperta, rozsypując wachlarz dokumentów. Zaczęła nerwowo je zbierać, słysząc jednocześnie, że mąż już zakręcił prysznic. Rzuciła okiem na papiery i zauważyła nazwisko męża, omal nie podskoczyła z radości, widząc, że rzekomy pobyt w Danii pokrywał się z datą wypisu ze szpitala.

Radość ustąpiła, kiedy przeczytała rozpoznanie i wypis z Instytutu Onkologii.

Monika Szymczakowska

Anioł przed sklepem mięsnym

miał twarz dojrzałej kobiety
w płomiennej koronie włosów

ja się nie spieszę
powiedział stojąc w kolejce

mój mąż się spieszył
niespokojnie przebierał nogami
w codzienności

umarł niedawno
przede mną
z tym też się pospieszył

ja już nigdzie nie biegnę

na ostateczne spotkanie
i tak wszyscy zdążymy

Otwock, 13 września 2023 r.

Baba piaskowa

rozsypałam się piaskiem po plaży
w tysiącu ziarenek kwarcu

fale Bałtyku po trochu mnie zmiotą
zabiorą w głębiny
zapomną

kogoś w bucie uwierać będę
sypnę sobą z plażowej torby
w zachodach słońca zostanę

powoli
codziennie
ubędzie mnie

spokojnie
zwyczajnie

Piaski, lipiec 2022 r,

Jesienne konfitury

w przekazie matczynych korzeni
w archetypie pradawnej kobiety
pochylonej nad ciepłem ognia
głęboko i poza mną świadomą

w szklanych słojach pułapek
zamykam uciekające lato
by potem usłużnie drzemało
w prostym żołnierskim szyku
gotowe do wymarszu na rozkaz

karmię i chronię swój Dom
przelewam i wolno sączę
gęstą esencję kobiecości
zawekowaną na półce w spiżarni

Otwock, 29/30 sierpnia 2021 r.

Jesiennieje

krople na przedniej szybie samochodu
znikają i wracają niestrudzenie
z pomocą skrzypiących wycieraczek

mgła nie za gęsta
jak śmietana do kawy
zalewa świat aż po horyzont

starowinka pod ciepłą kołdrą
domowo z uśmiechem na twarzy
szczerze nie poznaje ukochanej córki

a w przydrożnej kapliczce
Jezus frasobliwy
zadumany
zad boskim pomysłem przemijania

Otwock- Góraszka, gdzieś po drodze, 30 września 2021 r.

Mój Dziadek

mieszka w Niebie

czyta tam książki
i spaceruje po Starym Parku

studzi dla siebie
gorącą herbatę
i je ptysie z bitą śmietaną

rozmawia z mamą Marią
którą zabrał odłamek bomby
gdy w krótkich spodenkach
biegał po domu ciotki

i robi wszystkim Świętym
najlepszą jajecznicę
na niedzielne śniadanie
koniecznie z boczkiem

czasem wędkuje
na niebiańskich wodach
nie dla zdobyczy
ale dla ciszy jeziora

mój Dziadek
zamieszkał w Niebie

z ziemi to strasznie daleko

Otwock, Dzień Babci i Dziadka, 21-22 stycznia 2023 r.

Jarosław Wanecki

Król Lear

sonety inspirowanie Szekspirem

Piąty akt

Konsylium psychiatrów, strona po stronie,
Przegląda zapiski sprzed czterech wieków.
Znana choroba więc próbują leku.
Gazeta napisze cykl o przełomie.

Kolegium tłumaczy, słowo za słowem,
Dialogów aktorskich przekłada frazy.
Znana obsada. Współczesne wyrazy.
Gazeta rozpozna teatr odnowy.

Z wiekiem wzrok słabnie i głuchnie sumienie.
Słońce zachodzi budząc przodków twarze.
Na dwóch biegunach koń niesie do władzy.

Recenzja bezsilne kończy leczenie.
Na scenie epikryz umiera starzec.
Lekarz i pisarz niezmiennie są nadzy.

Cztery ściany

Brytania, Albana, Kornwalia, Francja.
Drzewa i starcy nie lubią zmian ziemi.
Podróż w nieznane z początkiem jesieni.
Ludzkie marzenie o ciągłych wakacjach.

Kornwalia, Francja, Brytania, Albana.
Imperium. Szałas. Dożywocie. Cela.
Bat nad konia zadem, jak burza strzela.
Ślepotą ucieczki. Świat w czterech ścianach.

Opierunek, kąt wieży, wikt, kompania
Plus nieskończona wdzięczności litania.
Notariusz skarby dzieli testamentem.

Ogródek, przychodnia, kościół i bar mleczny.
Pokój dziecinny: sprawdzony, bezpieczny.
Koło Fortuny niech będzie przeklęte!

Trzy prośby

Opowiedz mi córko, o swej miłości,
Do starego ojca z wątroby bólem,
Którego wolą brać emeryturę,
Grzejąc przy piecu porotyczne kości.

Odpowiedz mi córko, dlaczego krzyczysz
Na starego ojca, co gubi klucze,
Z porcelany talerz niezdarnie tłucze,
Przysługę drobną dodatkowo liczysz.

Wypowiedz mi córko wojnę domową,
Nim starego ojca wepchniesz do kąta,
Bym pod nogami nigdy się nie plątał,
Zawsze pamiętał, kto moją królową.

Król grzecznie prosił córeczkę wspaniałą,
Aż dziecko ojcu koronę zabrało!

Dwie strony

Białe dramatu rozpoczęły partię.
Zwykła rozgrywka. Przemyślane ruchy.
Nikt nie przewidział, że królewskie ciuchy,
Szachowa końcówka mieczem rozszarpie.

Czarne w destrukcji upatrują szansę,
Zaspana czujność prowadzi na zgubę,
Przeliczą córki królewską rachubę,
Roszada z figury śmiertelnym tańcem.

Edmund i Edgar. Nieprawy i ślubny.
Łach kontra szata przetykana srebrem.
Awers i rewers. Łąd pustynny z lodem.

Motety okrąg obustronnie zgubny.
Żar płodzi synów. Okład leczy febrę.
Prawo na lewą odwraca się stronę.

Pierwszy sort

Kilka trumien dębowych i sosnowych.
Stypa w Sali Tronowej będzie skromna.
Dyplomaci, prasa i gwardia konna.
Chorągwie opuszczone do połowy.

Pod baldachimem Lear się nie spiesząc,
Zasnie na wieki z Kordelią w ramionach.
Dzwon katedralny na mszę mieszczan zwoła.
Błazna w odwecie za szczerość powieszą.

Rodzina zajmie w ławach miejsca pierwsze:
Dwanaście księżniczek żyjących jeszcze,
Hamlet, Klaudiusz i Henryk z Falstaffem.

Dalej Dunkan, Makbet – jeden za drugim,
I Banka królewski korowód długi.
Żałobna sesja z dworskim fotografem.

Bohdan Wasilewski

Bombowa połowica

Monotonne życie, monotonne pytania o to, czy ma się bombę w bagażu, aż się człowiek wkurzy i powie „tak mam bombę”, z domyślnikiem: „i co ty na to, głupia idiotko?”. A ta, z automatu i wbicia w głowę stu treningów, bez sekundy zwłoki, naciska czerwony przycisk pod pulpitem, „Alarm terrorystyczny”. System w tej chwili alarmuje najbliższy oddział antyterrorystyczny, ze wskazaniem na lokalizację napadu, jego dowódca ma przypięty na piersi komunikator, nieco podobny do gwiazdy szeryfa, który po aktywacji pobłyskuje na niebiesko. Pozwala to mu mieć wolne ręce dla posługiwania się bronią i obezwładnienia i skucia terrorysty.

Wezwana sześćosobowa brygada anty-, dotarła w minuty, otoczyła nas, z gotowością do strzału i całe szczęście, zamiast profilaktycznie odstrzelić, wdała się z nami w rozmowę, na oczach długiej kolejki osób oczekujących na odprawę. Bardziej obeznani z realiami ostrego działania brygad anty-, wypatrywali, czy nas, skują, powalą, rozkażą „padnij”, otaczającym z kolejki. A tutaj, odejście pięć kroków na boczek i rozmowa o surrealizmie procedury, która niedawno w wykonaniu tej samej panienci, zmiażdżyła pięćosobową rodzinę psychicznie i finansowo. Procedury, która zakłada, że terrorysta – kamikaze, który leci z bombą, by wysadzić siebie i samolot, kierowany nauczoną przez mamusię prawdowością, odpowie „tak mam bombeczkę”, jak go się zapyta o to przy odprawie. Święta procedura, nie pozwala na żadne odstępstwa, mimo licznych możliwości, badania testerem materiałów wybuchowych, prześwietlenia bagażu, badania go przez sapersa. Na moją propozycję dalszych wyjaśnień i działań, dowódca odpowiedział: „tylko kapitan samolotu może uczynić wyjątek, czego nigdy nie robi przy zagrożeniu bezpieczeństwa”. Mogę zrobić tyle, że jedno z was poleciał i wskazał na mnie, pan bierze walizki i szybko się odprawia, co pośpiesznie wykonałem, pod jego okiem, u tej samej zgłaszającej, odprawiając te same bombowe walizki.

Małżonkę terrorystkę, która zapewniła go, że w razie potrzeby ma zapewnione leczenie na problemy psyche i alergiczne, dowódca antyterrorystów doprowadził do stanowiska, gdzie mogła kupić ostatni bilet do Madrytu z prawie równoległym do naszego odlotem.

Przystankiem poprzedzającym był posterunek policji, gdzie otrzymała najmniejszy, pięćdziesięciozłotowy mandat. Małżonka zakupiła bilet za równoważność tygodniowej wycieczki do Egiptu, dokonała odprawy i spotkała mnie w kolejce przy bramce dla wejścia na pokład, o rozmowie z kapitanem nie było mowy, tylko buziak i fotka jej nowych, przesiadkowych biletów.

Wola walki ani na chwilę nie opuszczała „terrorystki”, chociaż oba samoloty były opóźnione, a lokalny Madryt-Las Palmas nawet o kilka godzin, z mylącymi informacjami tylko po hiszpańsku i gdyby nie jej znajomość tego języka i zaradność, zostałyby dla kolejnego nocnego czekania i zakupu kolejnego biletu. Dotarła do Las Palmas już kolejnego dnia nocą, pokonała 32 km taksówką, docierając o godz. 0.30 do hotelu, po 22 godzinach podróży. Dziarski nastrój jej nie opuszczał, rozpakowała się, nadgryzła jabłko i zasnęła. Na pytania, jak się czuje, odpowiadała „O le!!!”, domyślić nie jak torreador po walce. Zainteresowanych jej formą było wielu, począwszy od połowy samolotu, świadków wydarzenia.

Kolejnego dnia, po zakupie dwu par butów na pocieszenie, i opaleniu się na raczka, była już nie tylko „O, le”, ale też OK.

Maspalomas, Grand Canaria, 14 marca 2024 r.

Pagórek Belwederski

Miasto opisać można w podziale na pagórki, które zajmuje. Zajmę się pagórkami belwederskim. Tak naprawdę jest to fragment skarpy odgraniczającej dolinę Prawisły, ograniczony wcinającą się w skarpe ulicą Belwederską, która jest fragmentem traktu królewskiego wydeptanego przez tysiące lat z Czerska do Warszawy. W Czersku była stolica księstwa Mazowieckiego, a w Warszawie, która wtedy nie nazywała się jeszcze Warszawą, był bród przeprowadzający przez Wisłę drogę handlową na wschód. Z biegiem czasu, gdy Wisła oddaliła się od Czerska i stolicą Mazowsza stała się Warszawa, stary trakt łączył rezydencje królewskie: Zamek Królewski na Starej Warszawie, Zamek Kazimierzowski na terenie dzisiejszego Uniwersytetu, Zamek Ujazdowski, Pałac Łazienkowski, Pałac Belwederski i Pałac Wilanowski. Trakt przybrał wtedy nazwę Drogi Królewskiej, nie tracąc dla ludzi zajmujących się handlem nazwy traktu Czerskiego, równoległego do przebiegającego po drugiej stronie Wisły Traktu Lubelskiego. Nie zapominajmy przy tym, że autostradą tego czasu była Wisła, pełna różnego rodzaju łodzi, tratw i stateczków.

Wracając do pagórka belwederskiego, króluje na nim Pałac Belwederski, rezydencja prezydenta Rzeczypospolitej. Mało kto wie, że Belvedere, to skrót od bella da vedere, czyli piękne do oglądania, co łączyło się ze zlokalizowaną w tym miejscu fabryką luksusowego fajansu pod nazwą Belvedere. Powstałe tu kruche arcydzieła oznaczone nazwą Varsovia lub liderką B, osiągają dzisiaj ceny pozwalające na zakupienie Mercedesa. Królewska Manufaktura wyrobu porcelany, a dokładniej fajansu, ponieważ nie udało się zabezpieczyć stałego dostarczenia glinki porcelanowej, funkcjonowała w barokowym Pałacu Belwederskim, poprzedniku klasycystycznego pałacu z 1819 r. stojącego obecnie na wzgórzu belwederskim. Belwederska Manufaktura Fajansu zbankrutowała już w 1780 r., wraz z królewskim planem zastąpienia produkcją krajową kosztownego importu towarów luksusowych. Salon sprzedaży produktów Królewskiej Manufaktury Fajansu mieścił się w pałacowej kamienicy Wasilewskich przy Krakowskim Przedmieściu, mam nadzieję, że to nie wysoki czynsz najmu przez antenatów zabił Manufakturę.

Gdy po śmierci króla Stanisława Poniatowskiego, zespół pałacowy Łazienki został przejęty przez carów rosyjskich, Belweder był przebudowany w stylu klasycystycznym i stał się siedzibą praktycznego władcy Polski, którym ówczesnie był książę Konstanty. Rozpoczyna on serię krajowych i zagranicznych niekoronowanych władców Polski, którzy rezydowali w Belwederze. Tu rezydowali zarówno okupacyjny zarządcy Polski: Iwan Paskiewicz i Hans H. von Beseler, jak i nasi krajowi: Naczelnik Józef Piłsudski i prezydent Gabriel Narutowicz, a następnie Stanisław Wojciechowski i kolejni władcy okupacyjni: Gubernator Hans Frank, zaś po 1945 r. Bolesław Bierut i cały szereg jego socjalistycznych, czy jak mówi się obecnie komunistycznych następców, kierowanych z sąsiadującej z Belwederem ambasady rosyjskiej. Po 1989 r. pałac był siedzibą prezydenta Wojciecha Jaruzelskiego i następnie prezydenta Lecha Wałęsy.

Obecnie Belweder nadal jest formalnie siedzibą głowy polskiego państwa, lecz wykorzystywany jest jedynie okazjonalnie. Ponieważ prezydent zagościł na stałe w Pałacu Namiestnikowskim przy Królewskim Przedmieściu wybudowanym przez carów rosyjskich dla rządzących Polską w ich imieniu namiestników.

*Kazimierz Dolny, 23 sierpnia 2018 r.
Z serii: Varsoviana*

Katarzyna Wierzbicka

Dzike zwierzę

oswajam czas
krążący dookoła

ukradkiem stawiam w pobliżu
filizanki pachnącej kawy

wabię stronicami książek
może zwolni w biegu
potknie się o przecinki

rozciągam sieci ciszy
jak lepkie pajęczyny

chowam się pod kołdrą
zamieram w bezruchu
by go nie płoszyć

mimo to
szczerzy kły wskazówek
warczy budzikiem przed świtem

jak dzike zwierzę
nieujarzmiony

W poczekalni

obserwuję zza okularów
przybywające do poradni ptaki

ciekawe wrony kraczą już na korytarzu
omawiają nowinki ptasiego radia

pawie rozpościerają ogony
nie mieszczą się w drzwiach napuszone
zasłaniają sobą prawdziwe światy

gęsi najchętniej podszczypały by sąsiadkę
wyciągają giętkie szyje w znaki zapytania
oburzone opóźnieniem

kruki czekają dostojnie
lśniące skrzydła przyglądają pomadą
milczą wyniośle

sikorki spłoszone
na brzegu krzeselka nieśmiało przycupnięte

papugi kolorowe gadatliwe
sowy napuszone senne

wróble z łobuzerskim spojrzeniem
szukają okruchów dobrych wieści

gołębie szare i zwykłe
z przyziemnymi problemami mimo podniebnych
lotów

które z nich
wygra receptę na długowieczność
a które – zanim kur zapieje
wyprze się prawdy o sobie

Przewrotnie

podkładałam klocki pod pięty
by przedszkolne kaptcie zamienić
w pantofelki Kopciuszka

czas szedł powoli ścieżką przez park

coraz więcej słów zapamiętanych
ważnych przecinków i kropek
w nie zawsze skończonych zadaniach

od dawna nie nadążam zrywać kartek z kalendarza

uciekają słowa chowają się gdzieś po kątach
zapominam stawiać przecinki
zgubiłam zegarek

mierzę kolejne okulary
rosną cyfry na receptach soczewek
z każdą kolejną parą butów
maleją obcasy

przewrotna miara czasu

Anatomia smutku

dziś w twoich oczach
zamiast radosnych iskier

słyszę
smutny dźwięk skrzypiec

smyczek nieopatrznie
zahacza o serce

struny nieścięgniaste
boleśnie drgają we mnie

przecież tylko
patrzyłam ci w oczy

Niby pani swojego czasu

jestem
słojem pełnym mrówek
biegnących
niezmordowanie utartą ścieżką

nocą turlam jak żuk
kolejne kulki gnoju
nie mogę zgubić kroku
bezsensowność nie pomaga

kiedyś dorosłość
była atrakcyjną lalką na wystawie
zamkniętego w niedzielę sklepu

przytykałam nos do szyby
cała stawałam się czekaniem

o szklaną taflę
nabiłam guza zbyt boleśnie

dziś chciałabym wrócić
przed dawny sklep z zabawkami

Lidia Ziurkowska

Bliskość

Z twarzą wtuloną
w zielony zapach ziemi
chłonę jej ciepły zapach
zostawiam rosę zmęczenia

pulsują praojców soki
słyszę praojców szept
ciszę postania z kamienia
łzy przemienienia

List do Mamy

Dokąd poszłaś kochana –
jesteś Pyłkiem w kosmosie
czy tęczowym Aniołem

przytuliłaś już Syna
w swych otwartych ramionach
czekam na list Twój z Niebios
jak zgłodniały wędrowiec –
na kromkę powszedniego chleba

*Wszystko to marność
nad marnościami
pogoń za wiatrem*
Kohelet

Nic nie jest nam dane
na zawsze –
światlisty przebłysk dnia
gdy szczęścia euforia
ciepły dotyk słońca
radość tworzenia
i rozgwieżdżone niebo
kołyska wiatru na nabrzeżu

nawet ojczystej ziemi skrawek

– gdy bliskich nam ubywa

Kochanej Mii słodkiemu Promyczkowi

Kiedy zanurzona w wodzie
łapie pierwszy oddech życia
bezpieczny sen w kołysce matki
stają się przeszłością

teraz dłonie jak kwiat lotosu
wypełnione matczyną miłością
obejmują cud istnienia
z pierścionkami na dziecięcej główce

aby po chwili krótkiej jak mgnienie
mogła nieść swoją pieśń
z otwartymi jak niebo oczami
po ścieżce przeznaczenia

22 lipca 2022 r.

Mała historia

Drobna kobieta nie z tego wieku
podlewa kwiaty
wciąż o północy
z kwiatem rozmawia
gdy pęd wypuszcza
tęcza kolorów rozkwita

patrzy też w gwiazdy
szuka odległej planety
liczy też winy –
niedopełnienia
skryte głęboko
na dnie sumienia

gdy rano wstaje
kotka panterka
czarna jak nocka
na jej kolanie przysiada
i swój sen mru-murando
cicho opowiada

a kiedy słowo rzuca na papier
pali jak ogień skruchy rumieniec
ławą łez z oczu wypływa

Jesteś

Przez zielonobrunatne igliwie
twoich oczu
przeziera skwar makowych uniesień

jesteś częstką lasu wody
i tęczowej pięciolinii
co pojawia się i znika

jesteś plażą z morskim piaskiem
bursztynowych serc odbiciem
i muszelek koszem pełnym ciepła

Pamięci dr. Artura Ziurkowskiego
27.12.2022

Kochany Braciszku – gdybym mogła
rozgrzać Twoje śpiące serce...

zbyt wcześnie – Świetlisty Powiew
zdmuchnął jasny płomień życia

jutro wtorek – dzień naszych spotkań
teraz będziesz blisko tylko w snach
wspomnieniach i Twojej poezji

niech Twój Anioł Stróż
przeprowadzi Ciebie –
na Drugi Brzeg Niebosiężnej Rzeki

nie żegnam się –
tylko powiem do zobaczenia
w Krainie Jasności i Spełnienia

Pamięci dr Haliny Porębskiej

*Niech w ciszy swój zachowa czar
słowo pachnące chryzantemą,
uśmiech zesłany szarym dniom.*

Z tomu poezji Haliny Porębskiej
W aurze października
kolory jesieni wirowały
jak latawce na słońcu –
kiedy odeszłaś

w najdalszą podróż
przez rzekę Lete już płyniesz –

pozostawiając nas nad brzegiem
wiem jednak na pewno
w naszych sercach –
Twoja mądra dobroć
i słów piękne pejzaże
pozostaną na zawsze

22 października 2015 r.

Majka Maria Żywicka-Luckner

Książki z dedykacją

Nauczycielki trzy

Każdy z nas ma na bibliotecznej półce książki, do których wraca z czułością, bo opiewają w dedykację imienną, nie szablonową, płynącą prosto z serca, a autorzy tych książek i obdarowani nimi stali się na długie lata przyjaciółmi. Czas upominał się o wielu z tych przyjaciół, ale ich książki pozostały i w mojej bibliotece, są na wyciągnięcie ręki.

Są „Krople czasu” Ireny Kulińskiej z dedykacją z 1993 r. napisaną ołówkiem: Przemiej Majce zachwycona Jej debiutem poetycki – J. Kulińska. A ja z zachwytem patrzyłam na Irenkę, która nie tylko była wzorem nauczycielki, ale i niesłuchanie dbającą o gości gospodynią. Ta niezwykle kobieca, zdolna poetka po latach opowiadała z wypiekami na twarzy, jak zazdrościła koledze z tajnych kompletów Tadeuszowi Gajcemu jego poetyckiego kunsztu i jaka się przy nim czuła niepoetycka. A przecież pisała:

*Są słowa perły
słowa kamienie
nieociosane
i misterne
Na wagę złota
położmy tylko
te
co przyrzekli
prawdziwie wierność*

Irenkę Kulińską, Ewę-Marię, a właściwie Majkę Aulich i Kysię Należytą poznałam w tym samym czasie w Klubie Nauczycielskim. Przy ciasteczkach i kawie

czytałyśmy wiersze i prowadziłyśmy długie rozmowy o pisaniu. Przy wierszach mówiących o wierze, moja imienniczka zawsze prowokacyjnie mnie zaczepiała: Majka teraz ty czytaj, będzie mniej wzniośle, bo ty się zawsze czepiasz tego Boga. A sama w tomiku *Błogosławiona między kochankami* pisała:

czego chcesz od nas Panie gdy zmęczeni łaską
nie umiemy już padać na cudze kolana
wszak bramy Twego rajy dawno ktoś zatrzaskał

a nas z wolna ogarnia sen chory na banał

myśmy z Ciebie wyrosli gałązką jemioly
zerwać ją a pośród liści zostanie cierpienie

i smak co jakoś dziwnie przypomina piołun

i buntu kropla w świętej zgodzie z przeznaczeniem

Krysia Należyta okazała się córką sąsiadów moich teściów. Z zawodu nauczycielka geografii, niezwykle życzliwa, nieuleczalnie liryczna. Jej wiersz *Pożegnanie* z tomiku „Pejzaże” znam na pamięć:

*Stałam w zgiełku wielkiego peronu
Ale oczy biegły twoim śladem.
Moje serce uczepione walizki
krzychało: pojedą, pojedą...*

*Ostry sygnał. Zolbrzymiał niepokój
– do ostatka w tłumie razem tkwimy.
Dwie latarnie na końcu pociągu
rzuciły spojrzenie na szyny.*

*Z kolczykiem księżycy odchodzi sobota.
Deszcz bębni w parasol; on nic nie wie.
Pożegnałam cię... Peron opustoszał.
W dłoniach frezje. Tyle jeszcze ciebie.*

Pożegnanie z samą Krystyną było bardzo trudne, gdy już nie radziła sobie z nieuleczalną chorobą, porzuciła swoje maleńkie mieszkanie na 15 piętrze osiedla *Za Żelazną Bramą* i zamieszkała u mamy na Pradze. Spotkania przy łóżku Krysi przesiąknięte były bólem i skrajnymi emocjami.

Tylko wiewiórki
w promieniach słońca
rozśmigane
nie rozumiały słowa:
Amen!

Tym trzem nauczycielkom-przyjaciółkom zawdzięczam wiele, ich wybory życiowe niepozabawione zwyczajnych ludzkich błędów, zbliżyły nas do siebie, a ich wiara w człowieka i słowo, dała mi pewność, że medycyna z poezją są dobraną parą.

Na moich bibliotecznych półkach, książki Irenki, Krysi i Majki mają zapewnio-
ne miejsce dożywnie.

Kolorowe jarmarki

*Kiedy patrzę hen za siebie
W tamte lata, co minęły
Czasem myślę, co przegrałem
Ile diabli wzięli...*

No to mamy problem – gospodarze i goście na dalekim Tarchominie już do-
brze rozbawieni, a pod gabinetem jeszcze pacjenci.

– Nie martw się – damy radę wyjechać po ciebie! – słyszę zapewnienia w
słuchawce. Przy każdym następnym telefonie zapewnienia te stają się coraz gor-
liwsze. – O Boże, nie! – Dam radę, dotrę do was na pewno – zapewniam – nie prze-
szkadzajcie sobie w zabawie!

– Specjalnie dla koleżanki po piórze zabrałem gitarę i coś zagram. Czuję, że
muszę szybko i gorliwie nadrobić to moje czasowe i intelektualne opóźnienie, by bez
skrępowania przyjmować kierowane do mnie dygresyjki, w końcu bardzo znanego
autora piosenek.

– Gdy pracowałem w radio, to na antenie, jak jakiś gnojek, czepiałem się au-
tora *Beaty* i *Żółtego jesiennego liścia*, aż w końcu pojechałem na jego koncert. A tu
widzę marynary w górze, publiczność szaleje.

– Więc mówię do siebie – ty ch... kogo ty się czepiasz!? I napisałem dla niego
ten tekst.

Mój najlepszy przyjaciel mówi, że to najgorszy, grafomański tekst, jaki napi-
sałem. I ja się z nim zgadzam.

Ale ciągle mi żal...

Pozaregulaminowo

22.06.2018 r. – pierwszy dzień pracy w bibliotece „Kamczatki”. Jak przystało na debiutantkę, mam wyczyścić półki, odkurzyć i ustawić książki. Jestem przy klasykach – oprawione metodą chałupniczą, stoją tu od wielu lat – szkodzi im kasacyjny los.

By trochę ochłoniąć, odchodzę od tego zapomnianego regału i po bibliotecznych schodkach wspinam się do współczesnych autorów. Sięgam po pierwszą książkę i nie mogę uwierzyć – czy to ten sam Marek Słyk, dzięki któremu czwartkowe spotkania literackie w Warszawskim STK nabierały wyrazistych kolorów?

– Marek, który nigdy nie oszczędzał autorów, tylko prostym dalekim od literackiego językiem wydawał osąd. Był w tym autentyczny, podziwiałam to, jak po mistrzowsku władał kpina, ironią i autoironią. Lubiłam Marka, ale polubiłam go na zawsze, gdy po wysłuchaniu mojego wiersza, spojrzął na mnie i swym przenikliwym wzrokiem powiedział – no, coś w tym jest.

Tego piątkowego dnia 2018 r. „trylogia zupna” Marka – *W barszczu przygód, W rosole powikłań, W krupniku rozstrzygnięć* zasilily moją biblioteczkę pod pryczą i tym samym, po raz pierwszy złamałam regulamin więzienny.

Marek Słyk zmarł 3 kwietnia 2019 r.

Konsultacyjno-integracyjnie

Lubniewice – jestem tu po raz pierwszy – malarze i filmowcy w plenerze, piosenkarze przy mikrofonie pod czujnym okiem Czesława Gandy, a my literaci drżymy z niepokoju, bo przed nami indywidualne konsultacje u aż trzech krytyków! A wieść gminna niesie, że odsyłają do... pielenia chwastów.

Na pierwsze konsultacje trafiam do Janusza Koniusza – jak przystało na człowieka z Zielonej Góry, przechodzi ze mną, kobietą z lubelskiego na ty i spokojnie tłumaczy, doradza. Czuję, że jestem poetką pełną gębą. Idę więc bez obaw na konsultację do eksperta w odsyłaniu poetek do przydomowych ogródków Andrzeja Waśkiewicza.

Co pani tu napisała! – O Boże, zaraz każe mi uklęknąć i przysięgać, że już nigdy nie tknę pióra! – Co pani tu napisała – powtarza – to agrafką można zamknąć krwiobiegi! Zbieram się na odwagę. – Można – tylko będzie trochę przeciekać.

Moje zuchwalstwo, na tyle było skuteczne, że po krótkiej chwili już spokojnym głosem dodaje. – A czy pani zdaje sobie sprawę, że to nie są już serwetki pod

telewizor? Czy gotowa jest pani, tak jak my kiedyś, stanąć przed studentami, którzy czepiali się każdego słowa i nas. Zresztą, po co ja ci to mówię i tak będziesz pisać.

Ciekawe dokąd mnie odeśle ten trzeci w czarnym golfie, którego jestem najbardziej ciekawa i najbardziej się boję. Tyle się o nim nasłuchiwałam, że to największy rozbójnik wśród literatów. – Majka niepotrzebnie się boisz, on wcale nie jest groźny, uspakaja mnie Basia, żona krytyka, z którą jesteśmy już po imieniu. Chyba mnie nie przekonała, bo nic nie zapamiętałam z odbytej konsultacji.

W lutowy gromniczny wieczór (moje imieniny i urodziny), a minęło kilka miesięcy od lubniewickich warsztatów, odbieram telefon. – Przeczytałem twój tomik. – Romek jestem. I tak Roman Śliwonik facet w czarnym golfie stał się Romkiem.

Spis treści

Wstęp	3
-------	---

Twórczość literacka członków UPPL

Jerzy Andrzejczak	6
Jolanta Bulzak	12
Joanna Czajkowska-Ślasko	16
Janusz Stanisław Czarnecki	20
Ilona Dzijak	30
Ewa Gluza	36
Jerzy Gronkiewicz	39
Waldemar Hładki	44
Bożena Hoffman-Golańska	48
Zbigniew (Komandor) Jabłoński	51
Agnieszka Kania	56
Witold Kopeć	60
Aldona Kraus	67
Eugeniusz Kucharz	71
Zbigniew A. Łobodziński	80
Witold Maliniowski	84
Maria Maślińska	89

Joanna Matlachowska-Pala	91
Henryk Marczuk	94
Marzena Nogieć	98
Wojciech Pająk	102
Marek Pawlikowski	106
Grażyna Perlińska	115
Kazimierz Pichlak	119
Anna Pituch-Noworolska	123
Barbara Rysz-Postawa	130
Dorota Roztoczyńska	134
Jerzy Samusik	140
Bolesław Sawicki	145
Jacek Sroczyński	149
Monika Szymczakowska	153
Jarosław Wanecki	158
Bohdan Wasilewski	161
Katarzyna Wierzbicka	164
Lidia Ziurkowska	168
<i>Majka</i> Maria Żywicka-Luckner	172



ISBN 978-83-967601-2-8

2024